

**Pierwszy islandzki kryminał,
który znalazł się na pierwszym miejscu Amazonu!**

RAGNAR JÓNASSON

Prawdy nie ukryje ani lód, ani noc polarna.
Nawet jeśli będą milczeć...

**MILCZENIE
ŁODU**




AMBER

RAGNAR JÓNASSON

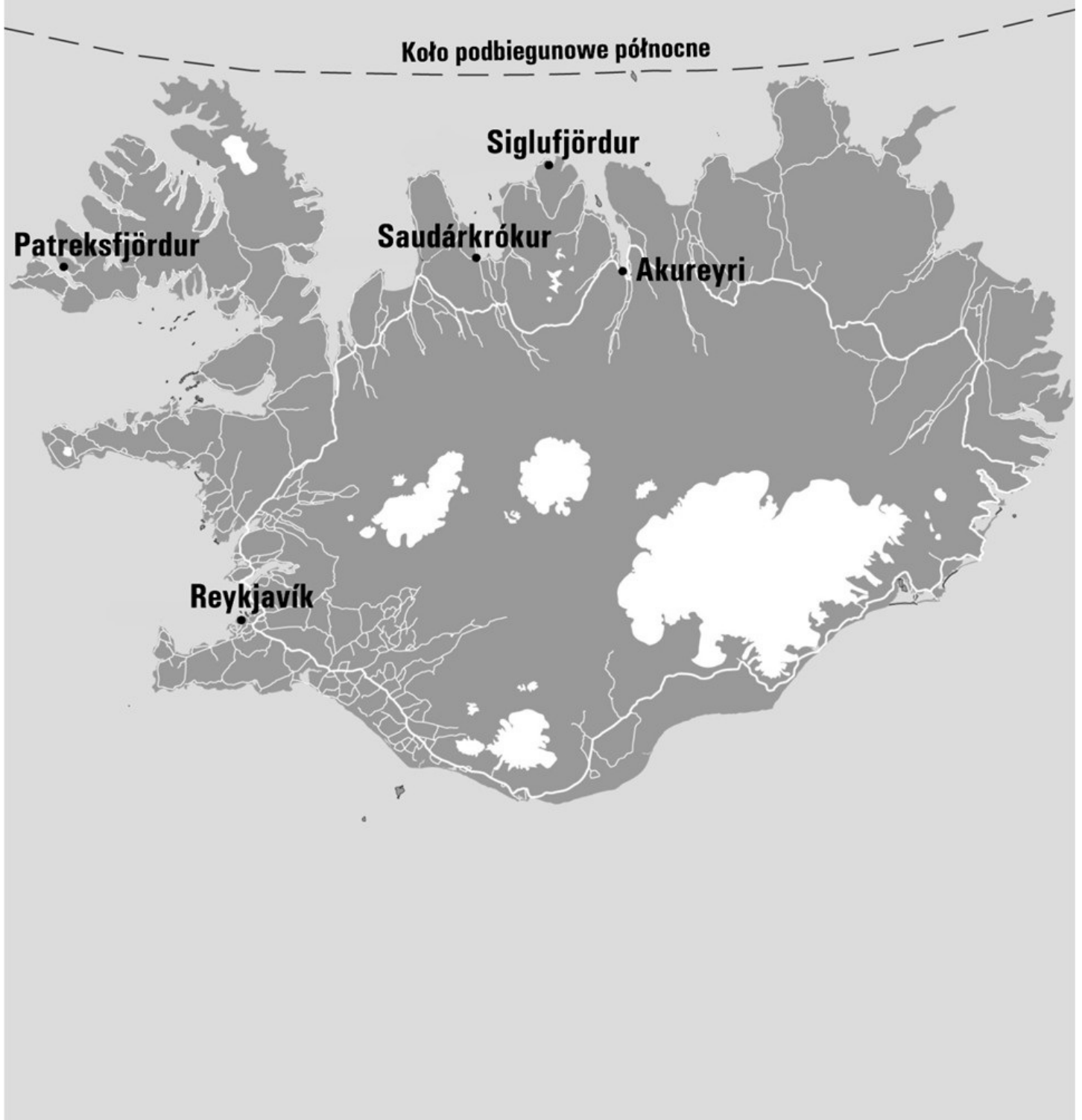
**MILCZENIE
LODU**

Przekład
RADOSŁAW JANUSZEWSKI



Dla Kiry od taty

ISLANDIA



SIGLUFJÖRDUR



Prolog

Siglufjördur: środa 14 stycznia 2009

Czerwona plama była jak krzyk w ciszy.

Pokryta śniegiem ziemia była tak biała, tak czysta, że prawie odpędzała ciemność zimowej nocy. Od tamtego ranka padał śnieg, wielkie, ciężkie płatki opadały wdzięcznie na ziemię. Tamtego wieczoru śnieg ustał i już więcej nie padał.

Ludzi w pobliżu było niewielu. Większość siedziała w domach, zadowolona, że może cieszyć się pogodą zza okna. Możliwe, że niektórzy postanowili zostać w domu po śmierci w Towarzystwie Dramatycznym. Wieści rozchodziły się szybko, atmosfera była ciężka od podejrzeń, mimo że miasteczko wyglądało spokojnie. Przelatujący nad nim ptak nie zauważyłby niczego nadzwyczajnego, nie wyczułby napięcia w powietrzu, niepewności, nawet strachu, chyba że przeleciałby nad małym ogródkiem przy domu w środku miasteczka.

Wysokie drzewa otaczające ogródek wypiękniały dzięki zimie, w ciemności przybrały zagadkowe kształty, przypominające raczej klaunów niż trolle, odziane w delikatną biel aż do samej ziemi, choć śnieg przyginał część gałęzi.

Łagodne światło dobiegało z ciepłych domów, a latarnie oświetlały główne ulice. Ten ogródek, choć było późno, wcale nie był mroczny.

Pierścień gór chroniących miasto był tamtej nocy prawie zupełnie biały, można było dostrzec najwyższe szczyty. Jakby przez ostatnie parę dni zaniedbały swoje obowiązki, jakby coś niejasnego, jakaś groźba, zakradła się do miasteczka; coś, co aż do tego wieczoru pozostawało prawie niezauważalne.

Leżała pośrodku ogródka jak śnieżny anioł.

Z daleka wyglądała spokojnie.

Ramiona miała rozpostarte. Ubrana w spłowiałe dzinsy, od pasa była naga. Długie włosy wokół niej wyglądały jak girlanda na śniegu; na śniegu, który nie powinien mieć tego odcienia czerwieni.

Wokół niej zebrała się kałuża krwi.

Jej skóra niepokojąco szybko bladła, przybierając kolor marmuru, jakby w odpowiedzi na efektowny szkarłat, który ją otaczał.

Wargi miała niebieskie. Płytki oddech był szybki.

Wyglądała, jakby patrzyła w ciemne niebo.

Potem nagle zamknęła oczy.

1

Reykjavik: wiosna 2008

Zbliżała się północ, ale nadal było jasno. Dni robiły się coraz dłuższe. Była to ta część roku, kiedy każdy nowy dzień, jaśniejszy niż dzień poprzedni, przynosił ze sobą nadzieję na coś lepszego i sprawy wyglądały jaśniej dla Ariego Thóra Arasona. Jego dziewczyna, Kristín, wreszcie wprowadziła się do jego małego mieszkania na Öldugata, chociaż nie było to nic więcej niż formalność. I tak zostawała tu na noc, poza tymi tuż przed egzaminem, kiedy lubiła czytać w spokoju i ciszy domu rodziców, często długo w noc.

Kristín weszła do pokoju spod prysznic, wokół talii miała owinięty ręcznik.

– Boże, ale jestem zmęczona. Czasem zastanawiam się, po co poszłam na medycynę.

Ari Thór obejrzał się znad małego biurka w sypialni.

– Będziesz fantastyczną lekarką.

Położyła się na łóżku, wyciągnęła na kołdrze, jej blond włosy rozsypały się jak aureola na białej pościeli.

Jak anioł, pomyślał Ari Thór, podziwiając ją, kiedy wyciągnęła ramiona, a potem przesunęła nimi łagodnie po swoim ciele.

Jak śnieżny anioł.

– Dziękuję, kochany. A ty będziesz genialnym policjantem – powiedziała. – Ale i tak myślę, że powinieneś skończyć studia teologiczne – nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie dodać.

Doskonale o tym wiedział, nie musiała mu tego mówić. Najpierw była filozofia, dopóki z niej nie zrezygnował, potem teologia. Ją też porzucił i zapisał się do szkoły policyjnej. Nigdy nie udawało mu się porządnie zapuścić korzeni, ciągle szukał czegoś, co odpowiadałoby jego temperamentowi, co niosłoby z sobą trochę ekscytacji. Doszedł do wniosku, że teologią zajął się, żeby rzucić wyzwanie jakiemuś bogowi, w którego istnienie nie wierzył; jakiemuś bogowi, który zabrał mu szansę normalnego dorastania, kiedy miał trzynaście lat, kiedy umarła mu matka, a ojciec zniknął bez śladu. Dopiero kiedy spotkał Kristín i – zaledwie przed dwoma laty – zdołał rozwiązać tajemnicę zniknięcia ojca, Ariemu Thórowi zaczął powoli powracać spokój ducha. Właśnie wtedy wpadł mu do głowy pomysł o akademii policyjnej i nadzieja, że lepszy będzie z niego policjant niż duchowny. Szkoła policyjna dała mu świetną formę fizyczną, a podnoszenie ciężarów, bieganie i pływanie uczyniły go szerszym w ramionach niż kiedykolwiek. W tak dobrym stanie zdrowia na pewno nie był, kiedy dniami i nocami ślęczał nad tekstami teologicznymi.

– Tak, wiem – odparł, lekko urażony. – Nie zapomniałem o teologii. Po prostu zrobiłem sobie małą przerwę.

– Powinieneś trochę się wysilić i skończyć ją, dopóki masz wszystko na świeżo w głowie. Trudno będzie znowu zacząć, jak ją zostawisz na dłużej – powiedziała, a Ari Thór wiedział, że nie mówi z własnego doświadczenia. Ona zawsze kończyła wszystko, do czego się brała, przechodząc od jednego egzaminu do drugiego. Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać; właśnie ukończyła piąty rok z sześciu lat studiów medycznych. Nie był zazdrosny, tylko dumny. Wcześniej czy później będą

musieli wyprowadzić się za granicę, żeby mogła zrobić specjalizację. Nigdy o tym nie mówili, ale doskonale o tym wiedział.

Podłożyła sobie poduszkę pod głowę i popatrzyła na niego.

– Czy to nie dziwne, biurko w sypialni? I czy to mieszkanie nie jest o wiele za małe?

– Małe? Nie, ja je uwielbiam. Bardzo bym nie chciał wyprowadzać się z centrum.

Leżała na plecach, z głową zagłębioną w poduszce.

– Zresztą, nie ma pośpiechu.

– Dla nas dwojga jest mnóstwo miejsca. – Ari Thór wstał. – Musimy tylko być dla siebie mili.

Zdjął ostrożnie ręcznik i położył się na niej, całował ją długo i głęboko. Odwzajemniła pocałunek, otoczyła go ramionami i przyciągnęła do siebie.

2

Jak, do diabła, mogli zapomnieć o ryżu?

Była wściekła, kiedy podnosiła słuchawkę, żeby zadzwonić do małej hinduskiej restauracyjki przy bocznej uliczce, odległej o pięć minut od ich rozległej willi. Z dwiema stylowymi kondygnacjami z cegły, pomarańczowym dachem i wielkim garażem zwieńczonym zalanym słońcem patio, był to wymarzony dom dla wielkiej rodziny. Nadal byli tu szczęśliwi, chociaż wszystkie dzieci wyfrunęły już z gniazda i niedaleko było do emerytury.

Próbowała się uspokoić, czekając, aż ktoś odbierze telefon. Nie mogła się doczekać, kiedy usiądzie przed telewizorem, żeby obejrzeć piątkowy, wieczorny sitcom przy bardzo gorącym curry z kurczaka z ryżem. Była w domu sama, mąż wyjechał w sprawach biznesowych i zapewne był teraz w drodze na lotnisko, z którego przyleci do domu następnego dnia rano.

Do wściekłości doprowadzało to, że hinduska restauracja nie prowadziła dostaw, więc wiedziała, że musi znowu wyjść, kiedy reszta kolacji będzie stygła. Cholerna sprawa. Przynajmniej dobrze, że na dworze jest dość ciepło i spacer nie będzie problemem.

Zadzwoniła do restauracji. Kiedy wreszcie ktoś odebrał, od razu przeszła do rzeczy.

– Kto robi curry bez ryżu? – poskarżyła się, podnosząc głos nieproporcjonalnie w stosunku do oczywistej krzywdy.

Kiedy kelner przeproszał, a potem z wahaniem zaproponował, że natychmiast przygotuje nowy ryż, trzasnęła słuchawką i powściągnąwszy gniew, ruszyła w ciemność.

Kiedy dziesięć minut później wróciła, dłużej niż zwykle szukała kluczy w torebce. Ryż miała w torbie, była gotowa na miły wieczór z czymś dobrym do jedzenia. Dopiero kiedy przekręcała klucz w zamku, wyczuła czyjś obecność; coś tu było nie w porządku.

Ale wtedy było już za późno.

3

Reykjavik: lato 2008

Ari Thór wrócił z deszczu. Powrót do domu w Öldugata zawsze przepełniał go ciepłym uczuciem; od zeszłego lata uczucie nie mogło być cieplejsze.

– Cześć, to ty? – zawołała Kristín od biurka w sypialni, gdzie siadywała nad podręcznikami, kiedy nie miała dyżuru w Szpitalu Państwowym.

Czuł, że mieszkanie nabrało nowego życia, dokąd się wprowadziła. Białe ściany, wcześniej neutralne, nagle zrobiły się jasne. Wokół Kristín unosiła się aura, nawet gdy siedziała w milczeniu przy biurku nad podręcznikiem; jakaś energia, dla Ariego Thóra zniewalająca. Czasem ogarniało go uczucie, że stracił kontrolę nad własnym życiem. Miał dwadzieścia cztery lata i przyszłość nie była już niezapisaną kartą. Nigdy jej o tym nie wspominał; niełatwo przychodziło mu mówienie o uczuciach.

Zajrzał do sypialni. Siedziała tam z książką.

Dlaczego przez całe lato musi siedzieć nad tymi książkami?

Słońce jakoś jej nie kusiło.

„Spacer do pracy i z pracy wystarczy mi. To prawie jak wypadki na miasto”, drażniła się z nim, kiedy grzecznie próbował przekonywać ją do spaceru po śródmieściu, gdy miał wolne w słoneczny dzień. Tamtego lata ćwiczył z policją w porcie lotniczym Keflavík; zbliżało się zakończenie zajęć w akademii policyjnej.

Czasem zastanawiał się, co go skusiło, zaledwie przed rokiem, żeby zrezygnować z teologii – chociaż chyba tylko tymczasowo – wypróbować swoje talenty w czymś innym. Przyjęto go do akademii policyjnej, chociaż już zaczynały się zajęcia. W pracy policyjnej było coś, co go fascynowało: ekscytacja i dramatyzm. Na pewno nie pieniądze. Nie był z tych, co dużo czasu spędzają nad podręcznikami. Potrzebował jakiejś aktywności, pewnego zróżnicowania zajęć.

Rozkoszował się pracą policyjną, podobały mu się odpowiedzialność i przyпіływy adrenaliny.

Teraz już prawie skończył szkolenie, jeszcze tylko jeden semestr i dostanie dyplom. Nadal nie było pewne, jaki ma być kolejny krok, kiedy ukończy akademię. Napisał podania na kilka stanowisk w policji, ale mu odmówiono i nadal nie dostał ofert.

– To ja. Co nowego? – zawołał do Kristín, wieszając wilgotny płaszcz. Poszedł do niej, zatopionej w lekturze i pocałował ją w kark.

– Cześć. – Głos miała ciepły, ale książki nie odłożyła.

– Jak leci?

Zamknęła książkę, staranie zaznaczając miejsce i odwróciła się do niego.

– Nieźle. Byłeś na siłowni?

– Tak, i poczułem się lepiej.

Zaczęła dzwonić jego komórka.

Wyszedł na korytarz, wyjął telefon z kieszeni płaszcza.

– Ari Thór? – odezwał się huczący głos. – Ari Thór Arason?

– To ja – odparł, trochę podejrzliwie, bo nie rozpoznał numeru dzwoniącego.

– Nazywam się Tómas. Jestem z policji w Siglufjördur. – Ton był już trochę bardziej przyjazny.

Ari Thór przeniósł się do kuchni, żeby nikt go nie usłyszał. Siglufjördur był jedynym komisariatem, do którego złożył podanie, nie mówiąc o tym Kristín. Niewiele wiedział o tym miejscu, poza tym, że nie da się stamtąd pojechać dalej na północ Islandii; było to miejsce położone prawdopodobnie bliżej koła podbiegunowego niż Reykjavíku.

– Chciałbym zaproponować ci pracę – powiedział mężczyzna, który przedstawił się jako Tómas.

Ari był z lekka zaskoczony. Nigdy nie brał poważnie możliwości pracy w Siglufjördur.

– Cóż...

– Chcę, żebyś odpowiedział zaraz. Wielu chłopaków ustawia się w kolejce, ludzi z większym doświadczeniem niż ty. Podoba mi się twoje wykształcenie – filozofia i teologia. Właśnie tego trzeba, żeby być dobrym gliną w małej wiosce.

– Biorę to – powiedział Ari Thór, niemal ku swemu zaskoczeniu. – Dzięki, to wiele dla mnie znaczy.

– Nic nie mów. Bierzymy cię na dwa lata – powiedział Tómas. – Dwa lata paki! – zahuczał, śmiech odbił się echem w słuchawce. – A potem na pewno będziesz mógł zostać, jeśli zechcesz. Kiedy możesz zacząć?

– Hm, tej zimy mam parę egzaminów, więc...

– Chyba stąd możesz to załatwić. Może listopad, może połowa listopada? Najlepszy czas, żeby poznać miasteczko. Słońce niedługo zajdzie aż do stycznia, a zbrocza dla narciarzy będą otwarte.

Ari Thór już miał powiedzieć, że właściwie to nie jeździ na nartach, ale tylko podziękował jeszcze raz. Miał wrażenie, że dobrze sobie ułoży życie z tym hałaśliwym, ale przyjacielskim człowiekiem.

Kiedy wrócił do sypialni, Kristín znów była zatopiona w podręczniku.

– Dostałem pracę – powiedział nagle.

Kristin podniosła wzrok.

– Co? Naprawdę? – Zamknęła książkę i szybko się odwróciła w jego stronę; tym razem zapomniała zaznaczyć miejsce. – To wspaniale!

W jej głosie było czyste szczęście. Kristín zawsze mówiła łagodnym głosem, jakby nic nie mogło jej zaskoczyć, ale Ari Thór zaczynał poznawać jej nastroje. Niebieskie oczy, które tak pięknie kontrastowały z krótkimi blond włosami, miały hipnotyzujące działanie, ale pod nimi krył się ktoś spontanicznie zdecydowany i asertywny; ktoś, kto dokładnie wiedział, czego chce.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, nie spodziewałem się niczego tak wcześniej. W grudniu wielu policjantów ukończy szkołę, a pracy nie jest dużo.

– Więc gdzie jest ta praca? Tutaj, w mieście? Pomoc dla potrzebujących?

– Nie, to dwuletni kontrakt... co najmniej dwuletni.

– W mieście? – powtórzyła Kristín, a z jej miny odczytał, co podejrzewała.

– Hm, właściwie to nie. – Zawahał się, zanim dokończył. – To jest na północy. W Siglufjördur.

Zamilkła, a każda sekunda wlokła się jak godzina.

– Siglufjördur? – zapytała podniesionym głosem, a jej ton niósł jasne przesłanie.

– Tak, to naprawdę okazja – powiedział łagodnie, prawie prosząco, z nadzieją, że weźmie pod uwagę jego punkt widzenia. To było dla niego ważne.

– I zgodziłeś się? Nawet nie pomyślałeś, żeby mnie zapytać? – Zmrużyła oczy. Jej głos brzmiał nieprzyjemnie.

– Cóż... – zawahał się. – Czasem trzeba chwycić okazję. Gdybym natychmiast nie podjął decyzji, daliby to komuś innemu. – Zamilkł na chwilę. – Wybrali mnie – dodał, niemal przepaszając. Ari Thór zrezygnował z filozofii, a potem z teologii. Stracił rodziców o wiele za wcześniej i od dzieciństwa był sam na tym okrutnym świecie. Potem znalazła go Kristín. Wtedy poczuł się tak samo jak teraz.

Wybrali mnie.

To byłaby jego pierwsza praca, taka z którą wiązałaby się odpowiedzialność. Starał się wypaść jak najlepiej w akademii policyjnej. Więc dlaczego Kristín nie miałyby się cieszyć z tego powodu?

– Cholera, nie mogłeś przecież zdecydować, że przeprowadzisz się, ot tak, do Siglufjördur, nie omawiając tego ze mną. Powiedz im, że musisz to przemyśleć – powiedziała chłodnym głosem.

– Proszę cię... nie chcę ryzykować, że to stracę. Chcą, żebym tam przyjechał w połowie listopada. Zdam jeszcze parę ostatnich egzaminów i wrócę na przerwę, w Boże Narodzenie. Dlaczego nie chcesz jechać ze mną?

– Mam tutaj pracę i studia, doskonale wiesz. Czasami po prostu cię nie rozumiem. – Wstała. – To jest śmieszne, cholera. Myślałam, że jesteśmy partnerami, że robimy wszystko razem. – Odwróciła się, żeby ukryć łzy. – Idę się przejść.

Wyszła z sypialni szybkim krokiem.

Ari Thór został, jakby wrósł w ziemię. Oniemiał, bo całkowicie stracił kontrolę nad tym, co się dzieje.

Już miał za nią krzyknąć, kiedy usłyszał, że drzwi wejściowe się zatrzasnęły.

„Sowa Ugla siedziała na pniu”.

August zawsze recytował tę starą rymowankę, kiedy siedzieli w wychodzącym na drogę oknie na poddaszu domu jej rodziców w Patreksfjörður.

To wspomnienie spowodowało, że się uśmiechnęła. Znów była w stanie się uśmiechać, kiedy o nim myślała. Minęły cztery lata, odkąd przeprowadziła się do Siglufjörður – sama.

To były też cztery lata, odkąd po raz ostatni widziała Patreksfjörður.

Rodzice regularnie ją odwiedzali, ostatnio byli tutaj w październiku i zostali z nią na dwa tygodnie, zanim wrócili na zachód. Teraz znów była samotna.

Zawarła tu parę dobrych znajomości, ale żadna z nich nie była szczególnie zażyła, a ona nigdy nie rozmawiała o przeszłości. Wiedziano tylko tyle, że jest kimś, kto przeprowadził się z Westfjords.

Wiedziała, że chłopcy w miasteczku rozsiewają o niej całkowicie wymyślone plotki. Ale odkąd wyrosła jej gruba skóra, nie miało to znaczenia. Nic jej nie obchodziło, co mówią o niej chłopcy z Siglufjörður. Był tylko jeden chłopiec, który ją troszeczkę obchodził.

To był Ágúst, najprzystojniejszy chłopak w Patreksfjörður – przynajmniej ona tak uważała.

Przyjaźnili się, odkąd mieli po siedem lat, a ich związek pogłębił się, kiedy stali się nastolatkami. Od tamtego czasu byli naprawdę nierozłączni.

Ugla i Ágúst, imiona nie do rozłączenia – przynajmniej w Patreksfjörður. Ale nie tutaj, w Siglufjörður, gdzie nic o nich nie wiedziano.

Chciała, żeby tak było. Stwierdziła, że bardzo podoba się jej być tajemniczą kobietą z zachodu, tą, o której opowiada się historyjki. Chociaż chyba nie do końca było prawdą, że nic sobie nie robiła z plotek, które szeptano na jej temat. Szczególnie jedna historyjka była przykra. Jakoś się rozeszło, że była łatwą laską. Nie potrafiła zrozumieć, jak się rozpowszechniła.

Natychmiast po incydencie, który wszystko zmienił, postanowiła opuścić Westfjords. Z początku rodzice byli stanowczo temu przeciwni. Nie ukończyła studiów, a była na przedostatnim roku Ísafjörður College.

Ugli udało się zdać egzaminy w sesji letniej, a potem złożyła podania o pracę w innych częściach kraju. Wkrótce dostała propozycję z przetwórci ryb w Siglufjörður. Jak większość ludzi z Patreksfjörður, pracowała przy rybach jako dziewczyna i wiedziała, jak to robić. Chociaż miała inne ambicje, była przyzwyczajona do tej pracy. Przepracowała w przetwórci kilka miesięcy, potem powiedziano jej, że w biurze może się znaleźć miejsce na niepełny etat. Złożyła podanie i dostała pracę. Udało się jej zmniejszyć liczbę godzin w przetwórci i połowę czasu spędzała teraz na obowiązkach urzędniczych. Miała nadzieję, że ta nieszczęsna recesja, która teraz miała opanować Islandię, nie dotknie jej za mocno. Potrzebowała pracy, a ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę to bezrobocie i konieczność powrotu do Patreksfjörður, żeby zamieszkać z rodzicami.

Kierownik kadr przetwórci ryb powiedział jej o krótkoterminowej możliwości wynajmu mieszkania w suterenie – dobrym miejscu, żeby przetrwać czas do podjęcia decyzji, jak długo zostanie w Siglufjörður.

Po mieszkaniu oprowadził ją Hrólfur, rzeński dżentelmen, który wyglądał na osiemdziesiątkę, chociaż później odkryła, że zbliżał się do dziewięćdziesiątki.

Wkrótce powiedziano jej, że ten stary to Hrólfur Kristjánsson, znany pisarz. Pamiętała ze szkoły jego książkę, *Na północ od wzgórz*. Klasie kazano przeczytać tę książkę napisaną w 1941 roku – myślała, że to jakaś drętwa, bukoliczna love story. Ale myliła się. Przeczytała powieść w jeden wieczór i była, nawet teraz, pod wrażeniem jej piękna. Reszta klasy nie była szczególnie rozmiłowana w tej książce, wcale nie bardziej niż w innych z listy lektur, ale było w niej coś, co Ugla uznała za wciągające, bez wątpienia to samo, co sprawiło, że w latach czterdziestych sprzedawano książkę furgonami – w domu, w Islandii i na całym świecie.

Był łagodny, jasny dzień wiosny 2004 roku, kiedy stanęła twarzą w twarz z autorem. Było jakieś ciepło w tym lekko pochylonym mężczyźnie, za młodu niezwykle wysokim i imponującym. Miał silny, cokolwiek ojcowski głos, chociaż sam nie miał dzieci. Był szczupły, lekko łysiejący i był w nim autorytet, który rodzi się z przyzwyczajenia do powszechnego szacunku.

Mieszkał we wspólnym domu na Hólavegur, z widokiem na fiord. Dom był dobrze utrzymany, a obok niego stał wielki garaż ze starym, czerwonym mercedesem. Ugla domyślała się, że mieszkanie w suterenie wynajmowano od czasu do czasu, głównie pracownikom, którzy dopiero co przybyli do miasta, albo przelotnym artystom szukającym spokoju i ciszy wśród gór. Ale Hrólfur najwyraźniej nie był skłonny pozwolić zostać tutaj byle komu. Spotykał się z każdym potencjalnym lokatorem osobiście, żeby się upewnić. Znany był z tego, że odmawiał z miejsca, jeśli nie spodobał mu się czyjś wygląd.

– Mówiłaś, że pracujesz w rybach, tak? – zapytał. Jego potężny głos był ochrypliwy i tak silny, że niósł się po całym mieszkaniu. Obejrzał ją od stóp do głów bystrym, pytającym wzrokiem, w którym kryła się zarówno radość, jak i rozpacz.

– To na początek – odpowiedziała cicho, raczej do podłogi piwnicznego mieszkania niż do niego.

– Co? Mów głośniej, młoda damo – powiedział niecierpliwie.

Podniosła głos.

– Tak, to na początek – powtórzyła.

– A twoi rodzice o tym wiedzą? Wyglądasz cholernie młodo. – Wpatrywał się w nią, wargi dziwnie mu się wygięły, jakby próbował się uśmiechnąć, a jednocześnie powściągnąć wesołość.

– Tak, oczywiście. Ale sama mogę podejmować decyzję. – Teraz mówiła wyraźnie, bardziej stanowczo.

– Dobrze. Lubię ludzi, którzy sami podejmują życiowe decyzje. Pijesz kawę? – Jego głos był teraz troszeczkę bardziej przyjazny.

– Tak – skłamała, uznając, że przyzwyczajenie się do kawy nie będzie większym wyzwaniem niż cała reszta.

Było oczywiste, że mu się spodobała. Zaakceptował ją jako lokatorkę mieszkania w suterenie, a ona wkrótce oswoiła się z Hrólfurem i raz w tygodniu siadała z nim przy kawie. Nie było to obowiązkowe i z pewnością nie był to ciężar. Rozprawianie z nim o przeszłości stało się prawdziwą przyjemnością: o jego pobycie za granicą, póki wybuch drugiej wojny światowej nie sprowadził go z powrotem do Islandii; o latach śledziowego boomu; o podróżach zagranicznych w późniejszych latach i o konferencjach, w których uczestniczył jako znany autor.

W zamian Hrólfur wydobyl ją ze skorupy i mogła trochę bardziej cieszyć się życiem.

Rzadko mówiła o przeszłości i nie wspominała o Ágústie. Rozmawiali głównie o książkach i muzyce. W domu w Patreksfjörður od dzieciństwa brała lekcje fortepianu. Zachęcał ją, żeby dla niego grała za każdym razem, kiedy przychodziła z wizytą. Po jednym z takich występów, po małym kawałku Debussy'ego, Hrólfur wypowiedział zaskakujące słowa:

– Dlaczego nie ogłosisz, że przyjmujesz uczniów?

– Uczniów? Nie jestem wykwalifikowaną nauczycielką. – Poczula się lekko zawstydzona.

– Grasz niezłe. Właściwie to naprawdę dobrze. Pewnie potrafiłabyś uczyć podstaw?

W jego głosie wyczuła wsparcie i wiarę. To, co zaczęło się jako zwykła znajomość, stopniowo przerodziło się w cenną przyjaźń.

– Możesz korzystać z mojego fortepianu – dodał.

– Przemyśle to – odparła skrepowana.

Pewnego dnia, kiedy poczuła, że życie zaczyna być dla niej łaskawe, przykleiła na witrynie spółdzielni ogłoszenie, pospiesznie zapisany arkusz A4: „Lekcje fortepianu. Ceny do negocjacji”, a obok swoje nazwisko i numer telefonu na pięciu paskach na dole, żeby każdy zainteresowany mógł je oderwać i później zadzwonić. Ta inicjatywa bardzo się spodobała Hrólfulowi, chociaż na razie nie było chętnych.

Rozmawiali nie tylko o polityce; przyznała, że interesowała się teatrem, kiedy mieszkała w Patreksfjörður i w koledżu w Ísafjörður, gdzie uczestniczyła w przedstawieniach amatorskich. Temat pojawił się w czerwcowy wieczór, kiedy razem z Hrólfulem siedziała nad kawą i ciastkami przy oknie. Woda fiordu nadal była jak lustro, w którym lśniło miasteczko, chociaż słońce skryło się głęboko za górami, oświetlając tylko szczyty po wschodniej stronie fiordu.

– Wiesz, jestem przewodniczącym Towarzystwa Dramatycznego – powiedział niby przypadkiem.

– Towarzystwa Dramatycznego? Tutaj, w Siglufjörður? – Nie była w stanie ukryć zaskoczenia.

– Niech cię nie zmylą pozory. To miasto było duże i nadal jest, mimo malejącej populacji. Oczywiście, że mamy Towarzystwo Dramatyczne – uśmiechnął się. Przyzwyczyła się do jego lekko krzywego uśmiešku, wiedziała że kryje się za nim prawdziwe ciepło.

– Chociaż to nie jest duże towarzystwo. Najwyżej jedna produkcja rocznie. Myślałem, czyby nie wspomnieć o tobie dyrektorowi.

– Och, nie, proszę. Z tego nie będzie niczego dobrego.

Jej odmowa nie była całkiem przekonująca, wiedziała, że on i tak to zrobi. W rezultacie jesienią została obsadzona w komedii.

Prawie nie potrafiła uwierzyć, jak łatwo zanurzyła się w scenę. Kiedy patrzyła na światła rampy, było tak, jakby wkraczała w inny świat. Widownia już nie miała znaczenia, mógł to być jeden widz, dwóch, pięćdziesięciu, wszyscy stąpiali się w jedno w blasku świateł. Kiedy była na scenie, nie było jej już ani w Westfjords, ani w Siglufjörður. Kiedy skupiała się na przypominaniu sobie tekstu sztuki i emocjach aktorskich, nie była sobą dla widowni. Tak intensywna była jej koncentracja, że nawet na chwilę zapomniała o Ágúście.

Oklaski na koniec przedstawienia tak ją radowały, jakby unosiła się nad sceną. Wyrobiła w sobie zwyczaj siedzenia w ciszy po każdym przedstawieniu, żeby zejść na ziemię, i wtedy powracał smutek; wspomnienie o Ágúście. Ale z każdym występem stawało się ono bardziej znośne i za każdym razem mijało więcej czasu, zanim powracał smutek.

Całkiem jakby scena stała się dla niej sposobem na wyjście z ciemności.

Rozumiała, że stary człowiek był źródłem jej wielkiego szczęścia i uświadamiała sobie, że sama nigdy by nie wstąpiła do Towarzystwa Dramatycznego.

Tym bardziej trudno było powiedzieć mu o decyzji, żeby wyprowadzić się z mieszkania w suterenie. Zaproponowano jej większe, w pełni umeblowane do wynajęcia w śródmieściu, na Nordurgata; zdecydował fakt, że był tam fortepian. Postanowiła się przeprowadzić, znaleźć w mieście coś bardziej stałego, co mogłaby nazwać własnym. Mieszkanie w suterenie, chociaż przytulne, nigdy nie było miejscem na dłuższą metę. Mieszkanie na Nordurgata było krokiem we właściwym kierunku. Nie tylko większe i wygodne, ale przylegał do niego mały ogródek.

Ugła nadal była singielką. Oczywiście było w mieście kilku mężczyzn, których uważała za atrakcyjnych, ale coś ją wstrzymywało. Może należałoby zacząć od wspomnienia o Ágúście, a może po prostu jeszcze nie była gotowa uznać Siglufjörður za swój dom. Nie była gotowa zapuścić korzenie, przynajmniej nie teraz.

Kontynuowała spotkania z Hrólfiurem po przeprowadzce. W każde środowe popołudnie szła po stromym zboczu wzgórza ze swojego mieszkania w śródmieściu do jego domu na Hólavegur, żeby napić się z nim kawy tak, jakby nadal mieszkała na dole. Gawędzili o tym i owym, o jego przeszłości i podróżach, o jej przyszłości. Wspaniały starzec. Nieraz myślała, zawsze z nadzieją, że zostało mu jeszcze wiele lat.

Teraz w jej życiu zaszła kolejna zmiana. Úlfur, dyrektor Towarzystwa Dramatycznego, zaproponował jej ostatnio główną rolę w nowej sztuce. Wkrótce miały się zacząć próby do premiery, zaraz po Bożym Narodzeniu.

Grać główną rolę? W brzuchu zaczęło jej burczeć ze strachu. To było tylko amatorskie stowarzyszenie, ale co z tego, główna rola to główna rola.

Dobra rola. Sztukę napisał któryś z mieszkańców i przy odrobinie szczęścia może będą ją pokazywać w innych miejscach, może w sąsiednim Akureyri, największym mieście północnego wybrzeża, a nawet w Reykjavíku.

Był listopad. Zadomowiła się już na dobre w nowym mieszkaniu, dumna, że stanęła na własnych nogach. Przede wszystkim nie mogła się doczekać swojej roli w sztuce. Padał śnieg, patrzyła przez okno na piękny, perłowobiały pejzaż. Dawało jej to poczucie głębokiego spokoju.

Otworzyła drzwi do ogródka, żeby głęboko odetchnąć chłodnym nocnym powietrzem, ale ostry północny wiatr zmusił ją, żeby je szybko zamknęła. Nagle zaczęła myśleć o Ágúście.

Dlaczego musiało jej się to przytrafić? Dlaczego musiał tak nagle umrzeć? Dlaczego musiała doświadczyć tak tragicznej straty w tak młodym wieku? To nie było fair.

Zamknęła oczy, myśląc o krześle przy oknie w domu, w Patreksfjörður. Powtarzała w myśli starą rymowaną dla dzieci.

„Sowa Ugla siedziała na pniu.

Kto następny?

Raz, dwa, trzy,

To jesteś ty”.

5

Jej pierwszą reakcją nie był strach, ale złość, bo nie zorientowała się, że coś jest nie tak, że w ciemności ktoś za nią stoi. Potem ogarnął ją strach.

Popchnął ją silnie na drzwi; pojawiła się dłoń, która zakryła jej usta, druga dłoń przekręciła klucz w zamku. Drzwi się otworzyły, popchnął ją do środka, że mało nie straciła równowagi; dłoń nadal była zaciśnięta na jej ustach. Wstrząs był tak paralizujący, że nie wiedziała, czy starczy jej siły, żeby krzyczeć, wzywać pomocy, nawet jeśli by puścił. Zamknął starannie drzwi i następne parę sekund czuła się tak, jakby znalazła się w innym świecie i straciła siły, żeby się bronić.

Nie mogła się odwrócić, nadal nie mogła go zobaczyć.

Nagle zatrzymał się i nic się nie działo; czas stanął w miejscu. Wyczuła, że musi coś zrobić. Trzymał ją prawą ręką, nie lewą, próbowała ocenić, jakie ma szanse. Może go zaskoczyć ciosem albo kopniakiem, uwolnić się od niego i pobiec wzywając pomocy...

Ale było już za późno. Za długo się wahała, rozpatrując możliwości. Dała mu czas na działanie, na wyjęcie z pochwy ostrego noża myśliwskiego.

Jeżeli goście nie chcą płynąć morzem ani jechać przez górską przełęcz, całkowicie niedostępną zimą, ani nie znają żadnego właściciela samolotu, który mógłby wylądować na małym lotnisku w Siglufjörður, z którego już nie ma regularnych lotów, to do miasta można się dostać tylko przez wąski stary tunel.

Ari Thór uznał, że w tak małym miasteczku nie będzie mu potrzebny samochód, więc zostawił małą żółtą toyotę dla Kristín. Dziewczyna była zbyt zajęta pracą i studiami, żeby zawieźć go do Siglufjörður, gdzie miał podjąć nową pracę, mimo że bardzo się starał, żeby ją przekonać, że wyprawa na północ pozwoli im побыć trochę razem w ciszy i spokoju.

Kristín nadal była niezadowolona z jego przeprowadzki. Mówiła niewiele, a za każdym razem, kiedy wspominał o Siglufjörður, milczała chłodno i nie było po co rozwijać tematu. Oboje byli zajęci studiami, a Kristín poza nauką pracowała w szpitalu. Ari Thór był zły, że nie znalazła czasu, żeby z nim pojechać, tym bardziej, że miesiąc przed Bożym Narodzeniem spędzą z dala od siebie. Unikał tej myśli, ale ciągle powracał do tego, jak wysoko figuruje na liście jej priorytetów. Na samej górze? Czy na drugim miejscu, za medycyną? A może na trzecim, za studiami i pracą?

Objęła go czule, żeby pocałować na do widzenia.

– Szczęścia, kochany – powiedziała ciepłym głosem.

Między nimi pojawiła się nowa bariera, cienka, niewidzialna linia, którą on wyczuwał, a może i ona wiedziała, że tam jest.

Tómas, sierżant policji, który był komendantem komisariatu w Siglufjörður, przyjechał, żeby go zabrać z portu lotniczego w położonym na północy mieście Saudárkrókur, jakieś sześćdziesiąt mil na południe od Siglufjörður, najbliższego lotniska, z rozkładem lotów pasażerskich.

– Miło cię poznać osobiście – powiedział Tómas jeszcze głębszym basem niż Ari Thór zapamiętał z pierwszej rozmowy telefonicznej. Tómas był po pięćdziesiątce, miał ciepłą twarz okoloną siwymi włosami – a raczej tym, co z nich pozostało; czubek głowy miał już zupełnie łysy.

– Z wzajemnością. – Ari Thór był zmęczony po turbulencjach porannego lotu.

– Zazwyczaj jedzie się stąd jakieś półtorej godziny do Siglufjörður, ale teraz drogi są w strasznym stanie, więc to może potrwać trochę dłużej... o ile w ogóle dojedziemy! – powiedział Tómas, śmiejąc się z własnego szubienicznego dowcipu. Ari Thór nie odpowiedział; zastanawiał się, jak podejść do tego człowieka.

Tómas niewiele mówił; najwyraźniej koncentrował się na drodze, chociaż na pewno często jeździł tą trasą.

– Jesteś z północy? – zapytał Ari Thór.

– Tu urodzony i wychowany i nigdzie się nie wybieram – odparł Tómas.

– Jak tu przyjmują obcych?

– Hm... po prostu świetnie, zazwyczaj. O ile się sprawdzą. Są ludzie, którzy chętnie cię przyjmą i inni, którzy nie zechcą. Większość miastowych wie o tobie i nie mogą się doczekać, żeby cię zobaczyć. – Przerwał na chwilę. – Stary Eiríkur idzie na emeryturę i ty go zastąpisz. Przeprowadził się na północ w

1964, jeśli dobrze pamiętam, i już tu został. Ale dla nas nadal jest kimś spoza miasta!

Tómas roześmiał się, Ari Thór nie.

Czy to była właściwa decyzja? Przenosić się do małej, wiejskiej społeczności, do której może nigdy się nie dopasuję?

Ostatnie kilka kilometrów drogi przed górami nie przypominały Ariemu Thórowi niczego, co do tej pory widział. Droga wiała się po zboczach, zostawiając samochodowi bardzo niewiele miejsca. Po prawej były śnieżnobiałe góry, dostojne i wspaniałe, po drugiej przerażająca przepaść prowadząca do szerokiego, omiatanego burzą bezmiaru Skagafjördur. Jeden błąd, skrawek lodu i nie będzie jutra. Może i dobrze, że Kristín z nim nie przyjechała. Na pewno martwiłby się o nią, gdyby sama miała tędy wracać.

Myśl o Kristín znów pobudziła wątpliwości. Dlaczego nie wzięła kilku dni wolnego, żeby z nim być? Czy to było za wiele?

Odprężył się, kiedy zbliżyli się wreszcie do wlotu do tunelu. Udało im się dojechać w jednym kawałku. Ale ulga była krótkotrwała. Spodziewał się szerokiego, dobrze oświetlonego, nowoczesnego tunelu, ale to, co ujrzał wyglądało odstręczająco. Był to wąski pojedynczy szlak. Ari Thór dowiedział się, że wykuto go w zboczach góry ponad czterdzieści lat temu, kiedy na Islandii było tylko parę tuneli. Co gorsza, z niewidocznej skalnej powały tu i ówdzie kapłała woda. Ariego Thóra nagle dopadło uczucie, którego się nie spodziewał – wszechogarniająca klaustrofobia.

Zamknął oczy i spróbował się z tego otrząsnąć.

Nie chciał w ten sposób zaczynać znajomości z Siglufjördur. Miał zamiar spędzić tutaj dwa lata, może więcej. Nieraz już jeździł tunelami i nie czuł żadnego niepokoju. Może to jego myśli o tym odizolowanym fiordzie tak na niego działały, a nie sam tunel?

Otworzył oczy w chwili, gdy wyjechali zza zakrętu i otworzył się przed nimi wylot z tunelu prowadzący na świeże powietrze. Bicie serca zwolniło, zdołał się uspokoić, zanim Tómas powiedział.

– Witamy w Siglufjördur.

Fiord przywitał ich przytłaczającą szarością pochmurnego dnia. Chmury burzowe skryły górski pierścień, nie pozwalały pokazać się szczytom w całej ich chwale. Dachy miejskich domów poszarzały w mroku, ogrody pokryte były lekką opończą śniegu.

Łodygi traw z rzadka wysuwały buntownicze głowy spod śniegu, jakby nie przyjmowały do wiadomości, że nadeszła zima. Wysoko nad nimi, przygnębiająco, wznosiły się góry.

– Myślisz, że zima będzie ciężka? – zapytał Ari Thór, jakby chciał się upewnić, że jednak ma przed sobą jaśniejszą perspektywę. Może ten dzień był szczególnie ponury?

Tómas roześmiał się, słysząc pytanie przybysza i odpowiedział głębokim basem:

– Każda zima w Siglufjördur to ciężka zima, przyjacielu.

Na dworze nie było wielu ludzi, ruch uliczny był rzadki. Zbliżała się połowa dnia; Ari Thór spodziewał się, że ruch zrobi się większy w godzinach lunchu.

– Bardzo tu spokojnie – powiedział, żeby przerwać ciszę. – Kryzys finansowy chyba tak samo dał się wam we znaki jak nam wszystkim?

– Kryzys? Tutaj niczego takiego nie ma. Kryzys to sprawa Reykjavíku i nie dociera na północ. Jesteśmy za daleko – powiedział Tómas i wjechał na plac w centrum miasta. – Tutaj, w Siglufjördur, nie skorzystaliśmy z boomu sprzed lat, więc kryzys też nie bardzo nas obchodzi.

– Tak samo ze mną – powiedział Ari Thór. – Dla studentów nie było wielu lat boomu.

– Jeśli tutaj jest recesja, to przychodzi z morza – mówił dalej Tómas. – Dawniej to miasto aż kipiało, zanim skończył się śledź. Teraz już nie ma tylu ludzi, ledwie tysiąc dwieście, tysiąc trzysta.

– Chyba nie ma dużo mandatów za przekroczenie szybkości? Niewiele tu samochodów.

– Posłuchaj – powiedział poważnie Tómas, głos mu spoważniał. – W tej pracy nie chodzi o dawanie mandatów. Wręcz przeciwnie. To mała społeczność, jesteśmy czymś więcej niż miejscowymi glinami. Powinniśmy dawać jak najmniej mandatów! Bardzo szybko się dowiesz, że pracujemy inaczej niż na

południu. To zamknięta i zintegrowana społeczność. Nie przejmuj się, kiedyś zrozumiesz.

Tómas jechał główną ulicą, Adalgata, upstrzoną restauracjami, sklepami i paroma szacownymi domami, które wyglądały, jakby nadal miały mieszkańców.

– Mieszkasz tam, trochę na lewo, przy Eyrargata – powiedział Tómas i wskazał drogę, nie odwracając wzroku od jezdni. – Najpierw przejedziemy obok komisariatu, żebyś wiedział, gdzie co jest.

Skręcił w prawo, potem znowu w prawo, w Gránargata, równoległą do Adalgata, i zwolnił.

– Chcesz zobaczyć czy wolisz najpierw do domu? – zapytał przyjacielsko.

Do domu?

Znów to nieprzyjemne uczucie, klaustrofobia i tęsknota za domem. Czy naprawdę znajdzie dom w tym dziwnym miasteczku ze wspaniałym fiordem? Myślami przeniósł się do Kristín. Co ona teraz robi w Reykjavíku? W domu.

– Chyba lepiej, żebym urządził się w domu – powiedział, tłumiąc westchnienie.

Chwilę później Tómas zaparkował samochód na Eyrargata, przed domem, który stał w ciasnej gromadzie innych okazałych budynków, zbudowanych co najmniej pokolenie wcześniej.

– Mam nadzieję, że ci to wystarczy, przynajmniej na początek. Miasto kupiło te domy parę lat temu. Nie dbano o nie jak należy, chociaż wymagają napraw głównie z zewnątrz. Powinno ci tu być dość wygodnie. Od wieków stoją na sprzedaż. Dla ciebie to jest za duże, ale może pewnego dnia twoja dziewczyna też sprowadzi się na północ. Dom jest doskonały dla dużej rodziny – powiedział z uśmiechem Tómas.

Ari Thór usiłował odwzajemnić się uśmiechem.

– Nie dostaniesz samochodu, ale wierz mi, w tym miasteczku nie będziesz go potrzebował – dodał Tómas. – Kiedy będziesz chciał pojechać na południe, któryś z nas podwiezie cię na lotnisko Saudárkrókur, albo znajdziemy kogoś, kto się tam wybiera.

Ari Thór odsunął się o krok i dokładniej przyjrzał się domowi. Ostatnim razem pomalowano go na bladoczerwony kolor i farba zaczęła się już łuszczyć. Miał dwie kondygnacje, piętro pokrywał okap. Dach, w żywej czerwieni, prawie cały był pokryty śniegiem. Część mieszkalną oparto na piwnicy z niskim stropem, na dole widać było dwa okna. Przy drzwiach do piwnicy stała wielka szufla.

– Będzie ci to potrzebne – powiedział Tómas i zaśmiał się ponuro, ale dobrodusznie. – Przyda się, jak naprawdę zacznie padać i będziesz musiał odśnieżyć, żeby wyjść. Na nic nam się nie przydasz, jak cię przysypie!

Niepokój rósł w Arim Thórze, serce biło mu szybciej.

Podeszli po stopniach do drzwi wejściowych. Ari Thór zawahał się.

– Na co czekasz, młody człowieku? – zapytał Tómas. – Otwórz drzwi, przeziębimy się na śmierć.

– Nie mam kluczy – odparł z zakłopotaniem Ari Thór.

– Kluczy? – zapytał Tómas, chwytając za klamkę. Otworzył drzwi i wszedł do środka. – Nikt tu nie zamyka drzwi. Nie ma sensu, tutaj nic się nie dzieje.

Ale wyłowił pęk kluczy z kieszeni i wręczył je Ariemu Thórowi.

– Pomyślałem, że i tak zechcesz mieć klucze, tak na wszelki wypadek – uśmiechnął się. – Do zobaczenia wkrótce.

Ari Thór został sam. Zamknął drzwi. W kuchni wyrztał przez okno, z którego było widać domy po drugiej stronie ulicy i miał nadzieję, że w pogodny dzień także góry.

Słowa Tómasa wracały do niego echem.

Tutaj nic się nie dzieje.

W co ja się wpakowałem? – pomyślał.

W co ja się, do diabła, wpakowałem?

7

Widziała już noże myśliwskie. Jej mąż miał kilka. Ale nic nie mogło jej przygotować do tej chwili. Zesztywniała, potem poczuła, że siła opuszcza jej ciało. Ciemność rozpostarła się przed jej oczami. Rozluźnił chwyt i pozwolił jej upaść; opadła na podłogę...

Wtedy po raz pierwszy go zobaczyła. Cały był ubrany na czarno – wytarta skórzana kurtka, ciemne dżinsy i trampki, kominiarka zakrywająca wszystko poza oczami, nosem i ustami. Nie miała wątpliwości, że to mężczyzna, wiedziała to, odkąd wyczuła jego obecność, a siła jego ręki powiedziała jej, że musi być młody. Od razu wiedziała, że nie rozpozna go nigdy, nawet jeśli uda się jej zachować życie.

Usłyszała, jak mówi, żeby była cicho, inaczej poczuje nóż, a on nie zawaha się, żeby go użyć. Musiała mu uwierzyć. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę ze swojej śmiertelności i myśl, że to mogą być ostatnie chwile jej życia, wycisnęła zimny pot na jej czoło. Pytania przelatywały jej przez głowę. Co jest potem? Czarna wieczność czy niebo? Leżała na ziemi, każda część jej ciała pulsowała bólem upadku, patrzyła, jak stoi nad nią pośrodku salonu, ubrany do swojej roboty, z bronią w ręku.

Po raz pierwszy od wielu lat zaczęła się modlić.

W pokoju, w którym Ari Thór postanowił sypiać, sufit był niski. To nie był największy z pokoi na piętrze; z jakiegoś powodu wybrał ten mniejszy i pojedyncze łóżko, a nie podwójne w większej sypialni. Całkiem, jakby podkreślał wobec siebie samego, że to interes robiony w pojedynkę.

Odwrócił łóżko, żeby mieć bezpośredni widok z okna w suficie, kładąc się i wstając, chociaż rzadko można było coś zobaczyć poza głęboką ciemnością.

Budzik zadzwonił czwarty raz. Ari Thór wyciągnął rękę w stronę guzika, który da mu cenne dodatkowe dziesięć minut snu. Za każdym razem kiedy zasypiał, pojawiał się nowy sen. To było jak oglądanie serii krótkich filmów, których był jednocześnie scenarzystą, reżyserem i główną postacią.

Zbliżała się dziesiąta, a on miał zmianę zaczynającą się w środku dnia. Pierwsze parę tygodni przemknęło błyskawicznie. Uporczywe uczucie niepokoju osłabło; trzymał je na uwięzi, koncentrując się na powtórkach przed egzaminem końcowym i ciężkiej pracy. Brał każdą zmianę, którą mu proponowano. Klaustrofobia pojawiała się zwykle pod wieczór, kiedy leżał samotnie w łóżku, gapiąc się w ciemność przez okno w dachu. Mimo wszystko wolał patrzeć przez okno, niż oglądać nagi sufit.

Czasem okresy niepogody były przytłaczające, szczególnie kiedy zdarzały się śnieżyce. Nawet nie zajęł się założeniem połączenia internetowego, co było raczej zamierzone. Poczte elektroniczną mógł sprawdzać w pracy. Podobało mu się, że jest w stanie wracać wieczorem do domu – tak, do domu, to była nowa myśl – gdzie znajdował spokój, ciszę i nie miał za dużo kontaktów ze światem. Mógł sobie przygotować coś smacznego do jedzenia.

Był tydzień, kiedy Ari Thór o mało co nie stał się stałym klientem miejscowego handlarza ryb, którego zachwycający sklep przy miejskim placu zawsze pełen był świeżego towaru. Próbował znanego sobie łupacza, którego jego matka zawsze przyrządzała w poniedziałki, i jeszcze bardziej smakowitego halibuta. Ale jego faworytem był świeżo złowiony pstrąg. Oszczędnie dodawał przypraw, owijał w folię i piekł w piecu akurat tyle czasu, żeby mięso odpadło od ości i nie straciło aromatu.

Po posiłku zatapiał się w podręcznikach i innych książkach, które wziął dla przyjemności. Pierwszego dnia poszedł do biblioteki podczas przerwy na kawę, wypożyczył naręczę książek, które zawsze chciał przeczytać, ale nigdy nie miał na to czasu; sięgał po nie, kiedy miał już dość podręczników.

Wypożyczył też kilka płyt z muzyką klasyczną. Słuchał ich, kiedy nie czytał ani nie pracował, czasem siedząc w ciemnym salonie, myśląc o Kristín, o swoich zmarłych rodzicach, o tym, jak samotnie się czuje. Jeden wieczór poświęcił na słuchanie radia, transmisji na żywo koncertu Islandzkiej Orkiestry Symfonicznej – ta nazwa zawsze wywoływała wspomnienia o matce, która zginęła w wypadku komunikacyjnym, kiedy był dzieckiem. Była skrzypaczką w tej orkiestrze.

Bardzo się starał unikać oglądania telewizji; z rzadka włączał wiadomości. O ile rozumiał, Reykjavík zanurzał się w chaosie po krachu wielkich banków, który rozpalał antyrządowe protesty, z dnia na dzień coraz głośniejsze.

Po każdej zmianie celowo wracał do domu okrężną drogą, idąc wybrzeżem, gdzie zatrzymywał się na trochę. W morzu było coś, co dawało uspokojenie, pomagało mu poczuć się na luzie w tym odległym i

odizolowanym miasteczku. Przyglądając się wzburzonym często falom mógł niemal wyobrazić sobie, że stoi na brzegu w Reykjavíku. Morze było także w zasięgu przechadzki od jego mieszkania na Öldugata. A w nocy myśl o morzu pomagała mu unikać duszącego uczucia klaustrofobii, które czasem go pochłaniało.

Nawet polubił swoją robotę. Komisariat czasem bardziej przypominał kantynę niż miejsce pracy, był prawie jak klub osiedlowy. Stali goście, którzy wpadali na kawę – niektórzy parę razy w tygodniu – żeby pogawędzić o tym i owym; kryzys, protesty i rząd były głównymi tematami rozmów, a po nich pogoda. W pierwsze dni po jego przybyciu znacząco wzrósł ruch w komisariacie; każdy chciał skorzystać z okazji i rzucić okiem na nowego chłopaka z południa.

Pewnego dnia, przy kawie, Tómas wspomniał, że Ari Thór ma stopień naukowy z teologii.

– Niezupełnie – Ari Thór szybko go skorygował.

– Ale studiowałeś teologię, prawda?

– Tak – zawahał się. – Ale nie ukończyłem studiów. Zrobiłem sobie przerwę, żeby zdać do akademii policyjnej.

Zaskoczył sam siebie, słysząc, jak mówi o przerwie. W głębi duszy wiedział, że pewnie nigdy nie zrobi stopnia naukowego z teologii.

– Hm! To już coś! – powiedział Hlynur, kolega, który pracował razem z Tómasem od paru lat.

Ari Thór wiedział, że Hlynur ma trzydzieści pięć lat, ale wyglądał starzej. Włosy zaczynały mu rzednieć i Ari Thór zastanawiał się, czy Hlynur jest w odpowiedniej formie, żeby sprostać policyjnym kryteriom kondycji fizycznej. Sprawiał też wrażenie zdystansowanego, jakby chciał zniechęcić każdego, kto chciał się do niego za bardzo zbliżyć.

– Niedoszły ksiądz jednym z nas! – mówił dalej Hlynur.

Ari Thór zmusił się do uśmiechu, chociaż daleko mu było do wesołości.

– Będiesz rozwiązywał sprawy, z którymi śmiertelnicy sobie nie poradzą? – zapytał Hlynur. – Z małą pomocą z góry?

Hlynur i Tómas roześmieli się.

– Wielebny Ari – dodał Hlynur. – Wielebny Ari Thór rozwiązuje zagadki!

Potem najrozmaitsi ludzie zaczęli go nazywać księdzem albo wielebnym Arim Thórem. Godził się na to, chociaż nigdy nie lubił przydomków, a najmniej tych utworzonych z powodu studiów, do których zabrał się bez przekonania, a potem z nich zrezygnował.

Pierwszego dnia pracy próbował dodzwonić się do Kristín, ale nie odbierała. Wysłał jej mail opisujący podróż na północ, ze szczegółami pisząc o Tómasie i domu. Nie napisał o swoim samopoczuciu; nie wspomniał, że to odcięte od świata miejsce przywitało go ponurą ciemnością, że nadal dręczyła go jej reakcja, że podjął tutaj pracę, ani o tym, że nie znalazła w sobie siły, żeby wziąć trochę wolnego i pojechać z nim – a przynajmniej, żeby spędzili razem weekend. Może nie chciała, żeby mu było za łatwo? A może miała nadzieję, że za parę tygodni wróci do Reykjavíku i zostawi za sobą śnieg i samotność północy?

Ari Thór następnego dnia przeczytał jej odpowiedź. Pisała o swojej pracy i studiach, wspomniała też, że jej ojciec stracił posadę w banku, w którym pracował od lat, jako jeden z wielu zredukowanych. Wiedział, że bardzo to ją zmartwiło; jej matka pracowała w biurze architektonicznym, gdzie wkrótce kryzys finansowy też da się odczuć. Kristín najwyraźniej nie miała ochoty rozpisywać się o szczegółach. List był krótki, pozbawiony wszelkich emocji. Tak jak jego list do niej.

Następnego dnia udało mu się do niej dodzwonić. Właśnie wrócił do domu po długiej zmianie i nie był gotów rozmawiać o tym, co go trapi. Przez jakiś czas rozmawiali o sprawach powierzchnowych, o niczym naprawdę poważnym. Kristín zawsze była łagodna i cicha, i rzadko pozwalała, żeby codzienne problemy ją niepokoiły. Nie był w stanie stwierdzić, czy to tylko on nie chce zagłębiać się w sprawy dotyczące ich obojga.

Mijały tygodnie. Rozmawiali każdego dnia, ale Ari Thór nadal nie wspominał o swoim rozczarowaniu,

że nie dość wspomogła go w sprawie jego nowej pracy. Kristín też zdawała się unikać tego tematu, zapewne nadal była zirytowana, że wyjechał z Reykjavíku. Pomyślał, że to jednak jest nie fair. Ona ma swoich rodziców i przyjaciół w Reykjavíku. On jest samotny w nowym miejscu i na pewno doceniłby każde wsparcie. Ale zamiast stawić czoło tym kwestiom, prowadzili rozmowy krótkie, przyjacielskie, ale banalne.

Teraz jednak musiał do niej zadzwonić. Była połowa grudnia, mieszkał w Siglufjörður już ponad miesiąc, zbliżało się Boże Narodzenie. Musiał jej powiedzieć o decyzji Tómasa, że będzie pracował w okresie świątecznym. Tómas właściwie ujął to jako prośbę, ale praktycznie Ari Thór nie mógł nic powiedzieć; odmowa nie wchodziła w rachubę, a on chciał się wykazać.

Zaczął dzień od płatków zbożowych, zimnego jak lód mleka i gazety z poprzedniego dnia. Przyzwyczajał do opóźnień w dostawach prasy, bo poranne wydania nie dochodziły nad odległy fiord wcześniej niż w połowie dnia. I tak nie miało to znaczenia. Rytm życia był tutaj inny, czas mijał wolniej i mniej było pośpiesznej krzątania niż w wielkim mieście. Gazety dochodziły, kiedy dochodziły.

Zadzwonił do Kristín; musiał chwilę poczekać, zanim odebrała.

– Cześć, jestem w pracy, nie mogłam od razu podejść do telefonu. Jak tam sprawy?

– Nieźle – powiedział i zawahał się, patrząc przez okno kuchenne. Miasteczko było pokryte grubą warstwą śniegu. Nie było to miejsce dla samochodów innych niż ciężkie wozy z napędem na cztery koła. Wszystko, czego tutaj człowiek potrzebował, to porządne buty albo narty. – Macie tam śnieg? Tutaj pada non stop.

– U nas nie ma śniegu. Tylko zimno i bez wiatru. Ale jest lód na chodnikach. Wygląda na to, że w Reykjavíku będzie Boże Narodzenie bez śniegu. Cały bożonarodzeniowy śnieg poszedł na północ.

Ari Thór milczał przez chwilę, staranie dobierał słowa, których chciał użyć.

Kristín mówiła dalej:

– Rozmawiałam z mamą i tatą i planujemy wspólną bożonarodzeniową kolację, tak jak w ubiegłym roku, więc nie będziemy musieli kupować choinki, chyba że uważasz, że powinna być w domu...

– Posłuchaj... Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Tak?

– Tak. Tómas wziął mnie wczoraj na słówko i będę musiał przepracować kilka zmian w Boże Narodzenie...

Zaległa cisza.

– Kilka? – zaczęła ostrym głosem. – Co to ma znaczyć?

– Hm... Wigilię, pierwszy dzień świąt i parę dni przed Nowym Rokiem.

Przeciągająca się cisza stała się ogłuszająca.

– Więc kiedy się wybierasz na południe?

– Najlepiej chyba będzie, jak przyjadę na początku stycznia, kiedy będę mógł dostać tydzień wolnego.

– W przyszłym roku? Żartujesz! Nie przyjeżdżasz na Boże Narodzenie? – Ton był lodowaty, ale Kristín nie podnosiła głosu. – Postanowiliśmy omówić wszystko w Boże Narodzenie, uporządkować nasze plany na następny rok. Więc nie zobaczę cię przed styczniem? Może nawet przed lutym?

– Spróbuję przyjechać w styczniu. Jestem tutaj nowy, więc nie mogę rzucić na szalę swojego autorytetu. Powinienem być wdzięczny, że w końcu dostałem prawdziwą szansę na karierę zawodową. – Był trochę zirytowany, ale próbował to ukryć, nie chciał wywoływać spięcia.

– Szansę? Ari Thór, zdejmij wreszcie końskie okulary... Czy to szansa na zbudowanie kontaktów, czy założenie rodziny? Między nami jest pół tysiąca kilometrów. Pół tysiąca, Ari Thór.

Mniej więcej czterysta kilometrów, nie pół tysiąca, powiedział sobie w duchu, ale wiedział, że nie czas ją poprawiać.

– Nic na to nie poradzę. Inni są tutaj dłużej niż ja i mają rodziny... – powiedział i pożałował swoich słów w chwili, gdy wymknęły mu się z ust.

– No to co? A ty nie masz rodziny w Reykjavíku? A ja? A moi rodzice?

– Nie to chciałem powiedzieć.

Znowu cisza.

– Muszę iść. – Mówiła przyciszonym głosem, były w nim jakby łzy. – Muszę iść. Dostałam wiadomość na pagera. Porozmawiamy później.

9

Nie miała pojęcia, co on zamierza.

Ogarnęło ją straszne przeczucie, myśli, z których nie śmiała wyciągać wniosków. Czy to zwyczajne włamanie, czy coś znacznie gorszego?

Przez głowę przemknęła jej myśl, żeby zignorować jego ostrzeżenie i po prostu krzyknąć, wykorzystując każdą uncję energii, jaka w niej była. Ale wokół było za mało ludzi, którzy mogli to usłyszeć, a między domami rozciągały się wielkie ogrody.

Była więźniem własnego bogactwa, tutaj, w przestronnej willi, w cichym sąsiedztwie, gdzie ludzie płacili, żeby odciąć się od problemów świata.

Milczał, rozglądał się. Nie śmiała się odezwać, ledwie odważyła się popatrzeć na niego. Obejrzał salon, nic nie mówiąc, cisza była przygniatająca; cisza i niepewność.

Co u diabła; dlaczego on nic nie mówi? Cokolwiek, żeby nie musiała nieruchomo leżeć wśród własnych myśli.

Wróciła myślami do dwojga swoich dzieci, które już dawno wyfrunęły z gniazda. Oboje mieli własne rodziny. Niemożliwe, żeby się pojawiły teraz, kiedy ich potrzebuje; rzadko odwiedzały rodziców, chyba że w święta, albo w Boże Narodzenie.

Nie, zostanie sama z tym nieznanym.

Stał nieruchomo, jakby oceniał rozmiary salonu. Był to wspaniały pokój, pięknie urządzone, jak w magazynie o nieruchomościach, z dwiema akwarelami na ścianach, przedstawiającymi wiejskie krajobrazy, ze stylowym stoliczkiem i prawie nową kanapą, starym drewnianym sekretarzykiem odziedziczonym po rodzinie męża i wreszcie z fotelem, śmiesznie kosztownym designerskim egzemplarzem, do którego była bardzo przywiązana. Wstrząśnięta zaczerpnęła tchu, kiedy usiadł na fotelu, zaczął wodzić czubkiem noża po oparciu i popatrzył na nią. Coś powiedział, jedno słowo ochryplym głosem, prawie szeptem, jakby nie chciał, żeby później zidentyfikowała go po głosie. To rokowało nadzieję, jak i fakt, że miał zakrytą twarz. Może pozwoli jej żyć.

Wysilała się, żeby zrozumieć, co powiedział.

– Słucham? – powiedziała przerażona niemal szeptem.

– Pytałem, gdzie jest biżuteria.

To tylko jakiś cholerny złodziej, pomyślała z ulgą.

Wstała, ale czuła się słabo, mało nie zemdlała, próbując utrzymać równowagę. Pokazała na korytarz, w stronę schodów. Część biżuterii była w sypialni na piętrze, chociaż jej mąż odłożył najcenniejsze sztuki do sejfu, w małym gabinecie na dole, razem z dokumentami i innymi kosztownościami. Trochę pocieszył ją fakt, że nie zna kombinacji, żeby otworzyć sejf.

Trzymał nóż niemal niedbale, ale i tak wyglądało, że umie się nim posłużyć. Jakby nie po raz pierwszy go używał. Weszła po schodach, on szedł za nią. Szybko pokazała mu biżuterię w sypialni, nierozważnie uznając, że nie ma sensu przeciąganie tego. Miała nadzieję, że weźmie to, po co przyszedł i zostawi ją przy życiu.

Wysypał zawartość pudła z biżuterią na łóżko, przejrzał ją, pobudzając jej pamięć: pierścionełk zaręczynowy, prezenty urodzinowe, prezenty ślubne. Myślała o swoim mężu; a jeśli ten człowiek jej nie przepuści? A jeśli...?

*Myślała o przyszłości, o złotych latach, które chcieli spędzić na podróżach i odkrywaniu świata.
Czy ten drań odbierze im to wszystko?*

Siglufjördur: niedziela 14 grudnia 2008

Całe dwa lata. Trudno uwierzyć. Ari Thór wspominał, jakby to było wczoraj, jak szedł do śródmieścia, żeby po raz pierwszy kupić Kristín prezent na Boże Narodzenie. Takie wspomnienia ślizgały się po powierzchni jego umysłu, kiedy stał obok domu Ugli. Dzwony kościelne odbijały się echem wzdłuż fiordu, trudno było stwierdzić, z której strony napływa dźwięk. Odruchowo odwrócił się twarzą w stronę gór; miało się wrażenie, że dźwięk dzwonów nie dochodzi z kościoła, tylko stacza się ze zboczy. Nagle doświadczył wizji – nie gór, ale spokojnego wieczoru nad jeziorem w Reykjavíku, zaledwie przed dwoma laty.

Ponieważ wtedy zbliżały się egzaminy końcowe, wieczorami poświęcał się książkom teologicznym i zostawiał Kristín w domu z podręcznikami, z którymi niechętnie się rozstawała. Poszedł do centrum, gdzie kupił dwie książki w księgarni, która była otwarta do późna, potem przespacerował się nad śródmiejskie jezioro, z którego sływał Reykjavík. Tamtego dnia pogoda, mimo pory roku, była ładna, doprawiona chłodem sączącym się pod kołnierz jego kurtki. Chociaż niebo było zasnuwane chmurami, jeszcze się nie ściemniało, a każdy zaułek miasta był oświetlony na Boże Narodzenie. Stał nad jeziorem, plecami do gmachu parlamentu, z ratuszem po prawej stronie. Wokół było mało ludzi. Patrzył na domy, jakby oddzielił się od siebie, ot, zwykły obserwator chłonący piękny widok, sekwencję filmu przewijającego się z lewej do prawej. Była dziewiąta wieczór, rozciągała się przed nim perspektywa dostojnych gmachów, okien udekorowanych adwentowymi świecami, choinek połyskujących światłkami, słyszał kościelne dzwony. Jakby spokój miasta przeważał nad bożonarodzeniowym pośpiechem. Kaczki kwakały na jeziorze, wtórując dzwonom. Stał zupełnie nieruchomo, oddychał duchem chwili; czas biegł wolniej, niż był w stanie sobie wyobrazić.

Dzwony nadal biły, ale tym razem były to dzwony Siglufjördur. Ari Thór zatrzymał się ogarnięty wspomnieniami. Ugla położyła mu na ramieniu dłoń lekką jak piórko, ale i tak się wzdrygnął. Z nadzieją pomyślał o Kristín, chociaż wiedział, że to nie ona.

Rozejrzał się i uśmiechnął.

Oto ona, Ugla, nauczycielka gry na fortepianie, w ciemnych dżinsach i białym T-shircie, tuż po dwudziestce, wysoka i szczupła. Była wokół niej ciepła aura, mimo chłodu w powietrzu, ale też cień smutku w jej oczach. Blask latarń lśnił w długich jasnych włosach. Odwzajemniła mu się uśmiechem.

– Nie wchodzisz? Zamarzniesz tutaj na śmierć.

Parę tygodni temu Ari Thór zobaczył jej ogłoszenie w oknie spółdzielni. Zawsze chciał grać na fortepianie, ale nigdy nie miał czasu ani ochoty, żeby się tym zająć. Oderwał jeden z pasków z jej nazwiskiem i numerem telefonu i teraz był tutaj, na swojej drugiej lekcji.

Był ciepło ubrany, ale widział gęsią skórę na ramionach Ugli, kiedy stała w koszulce z krótkimi rękawami na schodkach.

Kurczenie się mięśni pod skórą – przypomniał sobie, co powiedziała mu Kristín, podając medyczne wyjaśnienie zjawiska, kiedy wyrzucił z siebie stary stereotyp, że ma gęsią skórę za każdym razem, kiedy ją widzi.

– Dziękuję – powiedział, powiesił kurtkę na haczyku w przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. – Oczywiście nie miałem możliwości, żeby ćwiczyć od ostatniej lekcji. Prawdopodobnie jestem twoim najgorszym uczniem.

– O to się nie martw. Jesteś najlepszy i najgorszy. Powiedzmy od razu: jesteś najlepszy, bo jedyny. Nadal się zastanawiam, dlaczego w ogóle powiesiłam to ogłoszenie, ale chyba to stary Hrólfur wykrzesał ze mnie zainteresowanie.

– Hrólfur? Ten pisarz? – zapytał Ari Thór. Słyszał o starym mistrzu, który tutaj mieszkał.

– Ten sam. To cudowny starszy pan. Powinieneś się z nim spotkać, da ci autograf. Kto wie, może to ostatnia szansa! Jest dziarski jak na swój wiek, inteligencję ma wyostrzoną jak brzytwa.

– Chętnie skorzystałbym z okazji, żeby się z nim spotkać, chociaż nie czytałem żadnej z jego książek.

– Musisz przeczytać *Na północ od wzgórz*. To prawdziwy majstersztyk. Jego jedyna powieść, genialna. Potem pisywał nowele i poezje.

– Nie wiedziałem...

– Pożyczę ci tę książkę – obiecała Ugå, przerywając mu. – Podpisał mi ją, więc lepiej, żebyś na nią niczego nie wylał – uśmiechnęła się ciepło. – Co chcesz do picia? Kawy?

– A masz herbatę?

Ari Thor pijał tak dużo kawy w czasach uniwersyteckich, że teraz sam jej zapach wzbudzał nieprzyjemne wspomnienia uczenia się do późna w noc, pełnego niepokoju, kofeiny i stresu. Wolał przestawić się na herbatę.

– Jasne. Usiądź, proszę, zaraz przyniosę.

Zapadł się w głęboki czerwony fotel, położył ręce na poręczach i przyjrzał się salonowi. Podczas pierwszej lekcji Ugå powiedziała mu, że wynajęła umeblowane mieszkanie, bo był tu fortepian. Na pewno nikt by nie pomyślał, że młoda kobieta tak wyposaży swój salon. Jakby się cofnął w czasie: piękna drewniana podłoga, prawie cała pokryta brązowo-białym dywanem w dziwne wzory. Dwie wąskie biblioteczki, ciemnobrązowe, solidne. Właściciel musiał zabrać wszystkie książki – na półkach stało ich zaledwie kilka w miękkich oprawkach, mieszanka kryminałów i powieści romantycznych, no i jeden pięknie oprawny egzemplarz *Na północ od wzgórz* Hrólfura Kristjánssona. Na długiej ścianie za kanapą wisiała reprodukcja popularnego obrazu, a naprzeciwko stał fortepian pokryty stosem nut.

Ugå wyszła z kuchni z parującym kubkiem.

– Mam nadzieję, że nie łamię prawa, dając lekcje fortepianu bez zezwolenia – powiedziała, wręczając mu kubek i dwie saszetki herbaty. – Mam tylko dwa rodzaje herbaty – powiedziała przepraszająco.

– Dziękuję. Gdyby się okazało, że to niezgodne z prawem, popatrzę na to przez palce – Ari Thór uśmiechnął się i zanurzył saszetkę w gorącej wodzie. – Policja ma ważniejsze sprawy na głowie niż ściganie nielicencjonowanych nauczycieli – powiedział i zastanowił się, czy rzeczywiście prawo tego zakazuje. Tamte pierwsze dni w Siglufjördur były interesującym doświadczeniem – regularne patrole wielkim dżipem i niewiele roboty. Z rzadka ktoś złamał ograniczenie prędkości, choć na pewno nie w miasteczku i nie na pokrytych śniegiem górskich drogach z przepaścią z jednej strony za tunelem. Ludzi bardziej zaprzątało niebezpieczeństwo, niż możliwość narażenia się na mandat. Bywał przy wypadkach drogowych, niegroźnych stłuczkiach, gdy ktoś najechał na wóz od tyłu, a dwa razy proszono go o pomoc przy otwieraniu drzwi samochodu. Kilka razy podwoził pijanych do domu; było jasne, że tutejsza policja świadczy szeroki zakres usług.

– Pójdę po kawę dla siebie – powiedziała Ugå. – Potem zaczniemy lekcję.

Lekcja miała z założenia trwać czterdzieści pięć minut, ale w poprzednim tygodniu Ari Thór spędził po lekcji godzinę na rozmowie z Ugå.

Przez ostatnie kilka tygodni czuł się do szpiku kości kimś nowym w obcym miejscu. Nikt się do niego nie zbliżał, a jednak wszyscy wiedzieli, kim jest – każdy wiedział, kto jest kim w tym odosobnionym miasteczku. Nikt z nim nie rozmawiał w sali sportowej ani na basenie, chociaż często chwycił oceniające

spojrzenia miejscowych, którzy sprawdzali nowy nabytek miasteczkowej policji.

Pewnego razu miał wystawić mandat jednemu z miejscowych za używanie komórki za kierownicą.

– Kim ty do diabła jesteś? Funkcjonariuszem policji? Nie wiedziałem, że mamy tu nowego policjanta – powiedział zgryźliwie kierowca.

Ari Thór wiedział doskonale, że ten człowiek wie, z kim ma do czynienia.

– Skąd mam wiedzieć, że nie ukradłeś po prostu samochodu i munduru? – naciskał kierowca z aroganckim półuśmieszkiem.

Ari Thór uśmiechnął się.

– Tym razem nie wystawię mandatu. – Był uprzejmy mimo zdenerwowania. – Tylko nie rób tego więcej. – Następnym razem nie będzie taki wyrozumiały.

Wiedział, że ludzie mają na niego oko. Raz zapomniał włączyć kierunkowskaz, kiedy był na patrolu. Kiedy przy najbliższej okazji natknął się na Tómasa, dowiedział się, że jakiś przechodzień złożył skargę.

– Nie sądziłeś, że to będzie przechadzka po parku, prawda? Tu nie ma morderstw i tak dalej, ale i tak to nie jest przedszkole – ostrzegł go Tómas.

Poczuł się wtedy bardzo samotnie. Jak obcy, który przyjechał do Siglufjördur na weekend, a potem okazało się, że jego pobyt przedłuża się dzień po dniu; jak podróżny, który zapomniał kupić biletu powrotnego.

Mógł w komisariacie gawędzić, przy kawie z Tómasem i Hlynurem o codziennych sprawach, ale to była powierzchowna gadanina o polityce i sporcie.

Od razu zauważył, że Ugla jest inna. Była ciepła i przyjazna, nie skąpiła swojego czasu i uważnie słuchała, kiedy było trzeba.

Ugla wróciła z kawą; nie wyglądało, żeby się spieszyła z rozpoczęciem lekcji.

– Jak ci się spodobało w Siglufjördur? – zapytała z półuśmieszkiem.

– Hm, jest w porządku – powiedział z pewnym wahaniem.

– Wiem, wiem. Trudno tu się żyje, to taka mała miejscowość. Ludzie obgadują cię za plecami. – Głos miała pocieszający, kojący. – Przyjazd tutaj z Patreksfjördur pomógł mi, bo po prostu wiedziałam, jak to jest w takich małych miejscowościach... chociaż nie ma dwóch takich samych. Życie tutaj bardzo się różni od życia w Westfjords, choć nie potrafię dokładnie powiedzieć czym. Myślę, że każde miasteczko ma swój własny urok – powiedziała z uśmiechem, jakby chciała pomóc mu lepiej się poczuć.

W Ugli było coś ujmującego, co pozwalało jej zaufać.

– Słyszałam, że uczyłeś się na księdza – powiedziała.

– Niespecjalnie. Zrezygnowałem z tego już dość dawno.

– Powinieneś dokończyć.

Ari nie chciał dać się wciągnąć w tę dyskusję, więc spróbował zmienić temat.

– A ty co? Uniwersytet?

– Tak – odpowiedziała szybko. – To potem. Najpierw muszę ukończyć koledż... Wyjechałam z Patreksfjördur trochę pośpiesznie. – Mówiła coraz ciszej.

Ari Thór wyczuł, że podczas jej pobytu w Patreksfjördur zdarzyło się coś, o czym nie chce mówić.

Po chwili nieprzyjemnej ciszy podjęła wątek.

– Może pójdę na uniwersytet w Akureyri albo w Reykjavíku, chociaż nie wydaje mi się, żeby podobało mi się życie w takim dużym mieście.

– Nie jest takie duże, spodobałoby ci się. Mam mieszkanie w śródmieściu Reykjavíku, blisko portu.

Był zdziwiony, bo rozmawiał z nią, jakby była starym przyjacielem, ale jakoś nie wspominał o Kristín i o tym, że razem mieszkali w tym mieszkaniu w Reykjavíku. Ale uczciwie mówiąc, Ugla nie zapytała go o to wprost, więc nie skłamał.

– Dla ciebie to musiała być spora zmiana – powiedziała. – Cóż, nadal jesteś blisko portu, tyle że innego.

Nadal było w niej coś, czego nie potrafił zgłębić. Oczywiście, znalazła się z dala od rodziny, ale jej smutek był głębszy. Każdemu uśmiechowi towarzyszył jakiś cień w oczach.

– I te góry, wiesz... – uśmiechnął się.

– Jakby się nad tobą zamykały, prawda?

– Właśnie – zgodził się i zaraz zmienił temat na przyjemniejszy. – Będiesz tutaj w Boże Narodzenie?

– Tak, moi rodzice przyjeżdżają, żeby spędzić święta ze mną. Kolacja bożonarodzeniowa to nie jest moja mocna strona, więc powiem matce, żeby ugotowała coś specjalnego. – Sądząc po jej głosie, nie mogła się tego doczekać.

– To nie jest również moja mocna strona. – Ari Thór powiedział to z fałszywą skromnością. – Ale spróbuję ugotować coś świątecznego. – Popijał jeszcze gorącą herbatę. – W Wigilię mam zmianę. Będę zdany na własne siły, więc zabiorę ze sobą kolację i parę dobrych książek.

– To musi być przykre.

Ariemu Thórowi spodobała się jej szczerość.

– Masz rację. Ale nie mam wielkiego wyboru.

– Czy twoi rodzice przyjadą w Boże Narodzenie na północ?

Pytanie dość niewinne. Nie miał w zwyczaju przedstawiania się jako sierota, ale nie widział w jej pytaniu powodu do smutku.

– Nie... rodziców straciłem dawno temu – powiedział, patrząc jej w oczy. Szybko opuścił wzrok, bo ze skrępowaniem spojrzała na swój kubek z kawą.

– Przepraszam – powiedziała cichym głosem. – Naprawdę mi przykro, nie miałam pojęcia.

– Nic się nie stało – odparł. – Człowiek się do tego przyzwyczaja.

– Naprawdę? – zapytała Ugå ze zdziwieniem.

Ari Thór wzruszył ramionami.

– Tak... Tak chyba można powiedzieć – odparł. – Ale na to trzeba czasu. Długo trwa, zanim człowiek się z tym pogodzi i to nie jest coś, co dzieje się z dnia na dzień. Ale potem robi się łatwiej. Trzeba iść przed siebie razem z życiem.

Ugå siedziała w milczeniu.

– Dlaczego pytasz? – zapytał w końcu Ari Thór.

Przez chwilę milczała, wpatrując się w swój kubek, jakby w nim były zawarte wszelkie odpowiedzi.

Wreszcie podniosła wzrok.

– Straciłam... parę lat temu straciłam chłopaka – powiedziała. – Dlatego przeniosłam się tutaj.

Ari Thor nie wiedział, jak zareagować. Przyzwyczał się, że to on cierpiał stratę, to jemu ludzie współczują.

– Wyrazy współczucia – powiedział, bo nie wiedział, co innego powiedzieć. Rozumiał, że to słowa pozbawione znaczenia, mógł jej z równym powodzeniem dać standardową kartkę z życzeniami z kwiaciarni.

– Dziękuję.

– Jak umarł?

– Hm... byliśmy na mieście, w Patreksfjörður. Tam jest mały bar, a on... – Águst, chciała dodać, ale zawahała się, jakby nie mogła wypowiedzieć na głos jego imienia. – Wdał się w sprzeczkę z kimś spoza miasta, kimś bardzo pijanym. Gdy tamten go uderzył, upadł i już nie odzyskał przytomności... Wystarczył jeden cios – dodała.

Miała smutną minę, ale Ari Thór odniósł wrażenie, że wyrzucając z siebie tę historię, poczuła ulgę.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział. – Bardzo przykro.

– Dziękuję – znowu wymruczała.

Odstawiła kubek z kawą i spojrzała na zegar.

– Nie chcę zatrzymywać cię na cały wieczór – powiedziała ze sztuczną wesołością w głosie. – Może

już czas, żebyśmy zaczęli?

– Oczywiście. Powinienem powtórzyć to, co robiliśmy w ubiegłym tygodniu. Nie będziesz zadowolona!

Usiadł za fortepianem i położył dłonie na klawiaturze.

– Nie, to nie tak – poprawiła go Uglą, podniosła jego prawą dłoń i przesunęła ją. Zaczerwienił się na jej dotyk. Poczuł od niej przyjemną, ciepłą energię.

– Dziękuję. Tak jest lepiej – powiedział i nagle zrobiło się tak, jakby Kristín była o tysiące mil stąd.

11

Znowu zapytał, gdzie są pieniądze, tym razem głośniej. Tak głośno, żeby nastraszyć, ale nie na tyle, żeby było go słychać z ulicy. Nadal miała na sobie płaszcz, który włożyła, żeby przynieść ryż. Już zdążyła oddać mu portmonetkę, kiedy zapytał po raz pierwszy.

Ryż. Zapomniała o ryżu? Odsunęła tę myśl. Zdziwiona, że może niepokoić się o ryż na wynos w takiej chwili.

Zerknął do jej portmonetki, zobaczył, że mało w niej gotówki i ponownie zapytał, gdzie są schowane te cholerne pieniądze.

Pokręciła głową, a on zapytał o sejf.

Znowu pokręciła głową, ale chyba wydały ją oczy. Jak kot myślący o zdobyczy trafił na ślad.

Zbliżył się o krok, przyłożył jej nóż do gardła.

– Masz jedną szansę. Wykorzystaj ją. – Jego głos przerażał.

Mówił dalej:

– Jeśli mi powiesz, że nie ma sejfu, to zabiję cię na miejscu. Nie toleruję bzdur.

Odpowiedziała natychmiast i pokazała drogę na dół, wzdłuż korytarzyka prowadzącego z holu do gabinetu. Włączył światło i słaba żarówka oświetliła przestrzeń razem z ciężkim sejfem stojącym przed nimi.

Popatrzył na nią.

Błyskawicznie odpowiedziała, zanim zdążył zapytać.

– Nie znam kombinacji. Musisz mi uwierzyć! – prawie krzyknęła. – Musisz poczekać, aż mój mąż wróci do domu!

Uniósł nóż, serce jej mocno zabiło.

Wtedy telefon ocalił jej życie – a w każdym razie przedłużył je.

Siglufjördur: Boże Narodzenie 2008

Wesołych świąt, chłopcze! – zawołał wesoło Tómas, wychodząc w zimną noc. Ari Thór chciał odpowiedzieć, ale usłyszał, że drzwi się zamykają i pomyślał, że nie ma co składać życzeń, skoro tylko on je usłyszy. Siedział sam przed komputerem. W komisariacie rozwieszono czerwone i białe łańcuchy z papieru, przy wejściu stała plastikowa choinka ozdobiona tanimi bombkami; do tego sprowadzało się Boże Narodzenie w budynku policyjnym.

Może to wystarczało; przecież podczas świąt nie należało się tutaj spodziewać tłumów. Miał tu być tylko Ari Thór, na dyżurze od połowy Wigilii do połowy pierwszego dnia świąt. Miał to być samotny, ale dobrze płatny dyżur, a nadgodziny były mile widziane. Przypomniawszy sobie, że przy kryzysie, w jakim znalazł się kraj, powinien się cieszyć, że w ogóle ma pracę.

Przyznawał, że nie jest to Boże Narodzenie, jakiego się spodziewał – pierwsze, odkąd zamieszkał razem z Kristín. Jednocześnie uderzyła go myśl, że wątpi, żeby w ogóle mieli dłużej mieszkać razem. Przeprowadził się na drugi koniec kraju i nie zanosilo się na to, żeby za nim przyjechała. Niewielką pociechą było, że nadal zajmowała jego mieszkanie w Reykjavíku. Tamto mieszkanie nie było już jego domem, tak jak Siglufjördur nie było domem Kristín.

Chciał wysłać jej maila albo zadzwonić, ale coś go wstrzymywało. To on był samotny i porzucony w odizolowanym miasteczku, całe mile od najbliższej ludzkiej osady, daleko od wszystkich przyjaciół, w otoczeniu absurdalnych papierowych łańcuchów.

Na dworze nieustannie padał śnieg, a uwaga Ariego Thóra przerzucała się z ekranu komputera na coraz głębszy śnieg. To będzie samotny dyżur. Wszedł, żeby stanąć na chodniku i odetchnąć mroźnym powietrzem – nie było wątpliwości, że było świeższe niż powietrze w Reykjavíku – a także odgarnąć śnieg sprzed drzwi. Nie chciał, żeby go zasypało; liczył się z tym, że będzie się musiał wydostać, gdyby zdarzył się jakiś nagły wypadek.

Ari Thór zapamiętał słowa Tómasa: „Tutaj nic się nie dzieje”.

Jak do tej pory, jego praca była wybitnie monotonna: patrole i mniejszej rangi wezwania. Jedyny poważniejszy incydent, który wylądował mu na biurku, to była sprawa marynarza, który złamał nogę na frachtowcu i na Ariego Thóra spadło wysłuchanie zeznań. Zrobił to sumiennie, najlepiej jak potrafił, spisał to, co mu powiedziano o wypadku, ale trudno mu było w pełni zrozumieć, co się stało. Podejrzewał, że załoganci robili, co mogli, używając fachowych terminów nautycznych, żeby speszyć młodzika z południa bez marynarskiego doświadczenia. Ale nie wziął udziału w ich zabawie i nie prosił o wyjaśnienia.

Patrzył na spokojne miasteczko.

Poprzedniego dnia wstąpił do małej księgarni i kupił świeżo wydaną powieść ze swojej bożonarodzeniowej listy prezentów. Wiedział, że nie ma co liczyć, żeby ktoś mu ją kupił. Prawdę mówiąc, lista istniała tylko w jego głowie i nawet Kristín nie domyślała się, co na niej było, kiedy kupowała mu książkę w ostatnie Boże Narodzenie. Rodzice zawsze dawali mu książki na Gwiazdkę. W jego domu liczyła się islandzka tradycja czytania nowej książki w Wigilię do wczesnych godzin rannych.

Kiedy matka i ojciec umarli, a on został sierotą we wrażliwym wieku trzynastu lat, zaczął mieszkać z babcią. Od tamtego czasu pilnował, żeby kupować sobie książkę na Boże Narodzenie, taką, którą bardzo chciałby przeczytać.

„Jak będziesz chciał, to możesz iść na kolację do domu około szóstej, tylko weź z sobą telefon”, powiedział mu Tómas, zanim wyszedł. Ale czekała na niego tylko cisza i cztery ściany, więc niewiele czasu zajęło mu podjęcie decyzji. Uznał, że nie ma sensu iść do domu, żeby samotnie zjeść kolację. Tego dnia rano przyrządził sobie tradycyjną islandzką potrawę bożonarodzeniową – wędzoną słoninę – zapakował ją w folię i przyniósł ze sobą, razem z parom puszkami jasnego, mocnego piwa, wielką białą świecą, nową książką i CD, które wypożyczył w bibliotece.

W to Boże Narodzenie nie dostanie prezentów, nawet od Kristín.

Próbował myśleć o czymś innym, ale ciągle wracał do Kristín i czuł niewytłumaczalny, piekący żal. Cóż, bądźmy sprawiedliwi, on też nie wysłał jej prezentu. Wiedział, że popełnił błąd, zostawiając ją i podejmując pracę bez omówienia tego z Kristín – ale był zbyt dumny, żeby to przyznać. Nie rozmawiali, odkąd jej powiedział, że nie może wrócić do Reykjavíku na Boże Narodzenie. Czuł się zawstydzony, że ją zawiódł i bał się, że nadal jest na niego zła. W głębi duszy miał nadzieję, że to ona zrobi pierwszy krok, wyciągnie do niego rękę, powie, że wszystko będzie dobrze.

Cały długi dzień czekał na pocztę, licząc na to, że coś mu wysłała. Prezencik, kartkę bożonarodzeniową. Wreszcie coś wpadło przez otwór na listy: kartka na Boże Narodzenie. Niecierpliwie rozerwał kopertę, serce podskoczyło mu do gardła.

Cholera.

Kartka była od przyjaciela z dzieciństwa. Od Kristín nic. Próbował otrząsnąć się z rozczarowania i cieszyć się, że stary przyjaciel pomyślał o nim.

Od czasu do czasu podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić do Kristín, jakby jakiś głos szeptał mu do ucha, żeby pozwolił działać duchowi Bożego Narodzenia i zapomniał o różnicy zdań. Ale bał się ewentualnej odpowiedzi. Lepiej unikać rozczarowania i nie zadzwonić.

Tómas poprawił krawat przed lustrem. Oczy miał zmęczone i niewyspane.

Nie rozumiał, dlaczego jego żona chce się wynieść z Siglufjördur. Po prostu nie był w stanie tego pojąć. Czy to dlatego, że on coś zrobił?

Byli małżeństwem od trzydziestu lat. Poprzedniej jesieni zaczęła robić aluzje; chciała się przeprowadzić, wyjechać z miasta, przenieść się na południe i zapisać na studia. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego tym wieku poczuła chęć powrotu do szkoły. Powiedziała, że może do niej dołączyć w Reykjavíku, jeśli zechce – ale to było wykluczone, bo nie mógłby zmusić się do opuszczenia Siglufjördur, ani do zrezygnowania z pracy. Miał nadzieję, że ona zmieni zdanie, ale nie zanosilo się na to.

– Rozwód? To o tym mówisz?

– Nie... Chcę, żebyś ty też pojechał – powiedziała tonem oznajmującym jasno, że on nie ma tu nic do powiedzenia. – Potrzebuję zmiany.

Nie sądził, żeby i on potrzebował zmiany.

I tak musieli omówić to wszystko z synem. Chociaż Tómas nie był już chłopcem, raczej piętnastoletnim wyrostkiem i w najbliższą zimę wybierał się do koledżu w Akureyri. Starszy syn dawno już odszedł, opuścił dom przed dziesięciu laty i rzadko przyjeżdżał na północ.

Żona poczeka do wiosny, żeby zrobić swój ruch.

Zmiana.

Poznał po wyrazie jej twarzy, że nie wróci. Ich syn pojedzie do koledżu, a on zostanie sam.

Próbował się skupić przed lustrem; krawat nadal był za krótki.

Cholerny krawat, pomyślał.

Dała mu go na poprzednie Boże Narodzenie.

Ona nie wróci.

Dochodziła już szósta wieczór, kiedy zadzwonił telefon w komisariacie, aż Ari Thór podskoczył. Była całkowita cisza, słycać tylko było szum komputera i tykanie zegara na ścianie.

Zaczęła go ogarniać klaustrofobia, pogłębiająca się wraz z coraz gęściej padającym wokół komisariatu śniegiem. Jakby bogowie pogody próbowali zbudować mur wokół budynku, żeby Ari Thór nie mógł się wydostać. Wszystko wokół niego robiło się oraz bardziej niewyraźne, nagle zaczął walczyć o oddech. Ale tym razem to uczucie szybko przeszło.

Kiedy usłyszał dzwonek przerywający ciszę, pomyślał z nadzieją, że to dzwoni Kristín.

Popatrzył na pusty ekranik swojej komórki i doszło do niego, że dzwoni nie jego telefon, ale ten na biurku.

Tutaj nic się nie dzieje.

Ari Thór odebrał pośpiesznie.

– Policja.

Nie usłyszał odpowiedzi, chociaż ktoś najwyraźniej był na linii. Popatrzył na identyfikator dzwoniącego; był to numer komórki.

– Halo?

– ...on...

Zaledwie słaby szept, trudno było zgadnąć, czy dzwoni mężczyzna, czy kobieta, ktoś młody czy stary.

Ariego Thóra przebiegły dreszcze. Nie wiedział, czy przez ten telefon, czy dlatego, że dotarł do niego chłód śniegu. Nieustannie padającego śniegu.

Zastanawiał się, czy kiedyś w ogóle przestanie padać.

– Halo? – zapytał ponownie grubszym głosem, żeby nadać mu trochę autorytetu.

– ...on chyba chce mi zrobić krzywdę...

Ari Thór nie miał już wątpliwości, że słyszy w głosie strach. Strach i rozpacz. A może tylko przeniósł własne obawy – klaustrofobię i samotność – na dzwoniącego?

– Nie słyszę, proszę powtórzyć – powiedział i połączenie się urwało.

Próbował oddzwonić, ale nikt nie odpowiadał. Poszukał numeru w policyjnej bazie danych. Nie było zarejestrowanego użytkownika, więc prawdopodobnie telefon był na kartę SIM, kupioną gdzieś w kiosku, może nawet w kiosku w Siglufjörður. Ale telefon mógł do niego dotrzeć z dowolnego miejsca w kraju.

Nie miał pojęcia, co robić, więc odczekał chwilę i znowu zadzwonił pod ten numer.

Tym razem była odpowiedź, ten sam szepczący głos.

– Przepraszam... nie należało... przepraszam... – I połączenie znów się urwało.

Ari Thór, zakłopotany, patrzył w ciemność.

Tę cholerną ciemność.

„Jakby co, po prostu zadzwoń”, powiedział Tómas przepraszająco; miał świadomość, że to nie fair zostawiać nowego rekruta samego w komisariacie w Boże Narodzenie.

Było wpół do szóstej. Tómas, człowiek, który brał życie na spokojnie i nie pozwalał sobie na stres, a na pewno nie w Boże Narodzenie, pewnie jeszcze nie ubrał się w garnitur.

Do diabła, pomyślał Ari Thór i wystukał numer Tómasa.

– Halo? – Po drugiej stronie linii odezwał się znajomy, potężny, ale przyjazny bas.

– Tómas? Tu Ari Thór... Przepraszam, że dzwonię o tak niezwykłej porze...

– Dobry wieczór. – Tómas mówił, jakby był rozkojarzony i wyraźnie mniej zadowolony z życia niż zazwyczaj. – Boże Narodzenie nie zacznie się, póki nie będziemy gotowi, a ja nie mam ochoty się

spieszyc. Jeszcze pakujemy prezenty. Najgorsze, że ksiądz zawsze zaczyna nabożeństwo punkt szósta, ale to nie będzie pierwszy raz, kiedy przyjdziemy w czasie mszy – powiedział z wyraźnie wymuszonym śmiechem.

– Dostałem dziwny telefon, nie wiem, co z tym zrobić – powiedział Ari Thór. – Osoba dzwoniąca, mężczyzna albo kobieta, szeptała, że jest w niebezpieczeństwie, a przynajmniej tak to zabrzmiało. Potem, kiedy oddzwoniłem, to chyba była pomyłka.

– Nie przejmuj się tym – powiedział z roztargnieniem Tómas. Było słychać, że jest zmęczony. – Co jakiś czas dostajemy takie telefony, ktoś robi nam psikusa, zazwyczaj młodzież. Te dzieciaki... – zawahał się, zanim dokończył: – Więc on albo ona przyznali, że zrobili psikusa, kiedy oddzwoniłeś?

– Hm, chyba tak.

– Więc się tym nie przejmuj. To utrapienie być policjantem w Boże Narodzenie; są ludzie, którym brakuje sumienia. Cóż, wielebny, nie masz nic innego do roboty? Może jakaś msza?

Śmiech znów był wymuszony, a Ari Thór spróbował się uśmiechnąć, żeby otrząsnąć się z niepokoju, który wzbudził w nim tamten telefon.

– Cóż, pozdrowienia dla rodziny.

– Przekażę im.

– I wesołych świąt – dodał, ale Tómas już się rozłączył.

Ari Thór sięgnął po książkę, którą kupił, chociaż obiecał sobie, że weźmie się za nią po kolacji. Przedłużał swoje przyjemności, żeby trzymać nudę na uwięzi. Po paru stronach uświadomił sobie, że niczego nie rozumie. Nie był w stanie się skoncentrować, więc wstał, otworzył drzwi, wyszedł na śnieg i spojrzał na góry. Człowiek pokonał góry, bijąc przez nie tunel i robił, co w jego mocy, żeby trzymać w ryzach siły natury mocnymi zaporami przeciw lawinom, tak wielkimi, że wyglądały jak trolle, a nie jak dzieło ludzkich rąk. Ale ciemności i śniegu nie da się pokonać. Ari Thór uniósł głowę ku niebu i zamknął oczy, pozwalając, żeby lekkie jak piórko płatki osiadały mu na twarzy, jeden po drugim. Dawał im schronienie.

Z komisariatu dobiegł jakiś dźwięk, tym razem nie było wątpliwości, że to jego komórka, a nie telefon służbowy. Wiadomość tekstowa.

Kristín!?

Otarł śnieg z twarzy i ruszył, a że buty miał wilgotne, o mało się nie poślizgnął. Wrócił do biurka. Stary mebel z jasnego drewna był chyba najbardziej eleganckim elementem wyposażenia posępnego komisariatu. Jego telefon leżał na biurku, błyskające czerwone światełko wskazywało, że czeka na niego esemes. To maleńkie światełko było mu miłsze niż wszelkie świetlne ozdoby bożonarodzeniowe.

Ari Thór zapomniał o wcześniejszym telefonie, o szepczącym głosie, o strachu i niepewności i chwycił komórkę, żeby przeczytać wiadomość. Cóż, rozczarował się. Nie była od Kristín. Nawet nie rozpoznał numeru.

Był bardzo zaskoczony.

„Wesołych świąt! Miłego dyżuru!”, przeczytał. Pod spodem było imię: Ugla.

Ugla pamiętała, żeby przesłać mu esemesa na Boże Narodzenie, a Kristín nie?

Zauważył, że złość na przeoczenie ze strony Kristín – na jej nieprzejednanie – stopniowo przeradza się w zadowolenie z wiadomości od Ugli. Myśl o niej sprawiła, że się uśmiechnął. Wyobraził ją sobie: wysoka, ale nie tak jak on... i te delikatne palce muzyka.

Ugla była pewnie w domu z rodzicami, przygotowywała dom do Bożego Narodzenia, a jednak o nim pamiętała. Przesłał jej miłą odpowiedź, życząc wesołych świąt, potem zasiadł do książki. Tym razem łatwiej przyszło mu się skupić.

Dzwony kościelne wydzwoniły Boże Narodzenie, odbijały się echem po miasteczku, niosły się po

górach, ale nie dalej, jakby przeznaczone były tylko dla miejscowych.

Ari Thór odłożył książkę, wyjął świeczkę z torby, ustawił ją na oknie i przystawił zapalnik do knotu. Potem odepchnął na bok papiery, żeby zrobić miejsce na posiłek, i nalał do szklanki puszkę bożonarodzeniowego jasnego. Myślami przeniósł się do matki, która zawsze podawała na Boże Narodzenie wieszadełko z wędzoną słoniną i zawsze puszczała tę samą muzykę ze starej płyty, zanim przez radio dotarły do nich kościelne dzwony ogłaszające święta w całym kraju.

Wyjął z torby płytę i włożył ją do starego, ale zdatnego do użytku odtwarzacza stojącego w komisariacie. Podkreślił głośność, zanim popłynęła muzyka. Dokładnie wiedział, czego teraz chce posłuchać: *largo* z *Zimy* Vivaldiego.

Wtedy nadeszły święta.

13

Telefon komórkowy w kieszeni płaszcza – dlaczego nie spróbować i go nie użyć? Dlaczego nie spróbowała jeszcze zawiadomić policji? Dałaby radę bez szczególnego trudu. Wystukać na wycucie trzy cyfry... Cholera. Już za późno, żeby o tym myśleć. Telefon dzwonił, ostry dźwięk dochodził z kieszeni płaszcza.

Podskoczył; ostra jak brzytwa klinga znów oparła się o jej szyję, kalecząc ją. Przyłożyła dłoń do rany i stwierdziła, że jest płytka.

Chwycił telefon, popatrzył na ekranik i pokazał jej numer. To był jej mąż, na pewno chciał zamienić słowo, zanim wejdzie na pokład samolotu.

– Proszę, daj mi telefon – wyszeptła. – To mój mąż. Będzie się niepokoił, jeśli nie odbiorę.

Mimo wszystko wiedziała, że to nieprawda. Zadzwoił na jej komórkę, nie na telefon domowy, wiedząc, że może już śpi i wyciszyła dzwonek.

Ubrany na czarno mężczyzna pomyślał chwilę, jakby próbował ocenić, czy mówi prawdę. Telefon dalej dzwonił, każdy kolejny sygnał był głośniejszy od poprzedniego.

Potem popatrzył na nią i powoli włożył telefon do kieszeni swojej skórzanej kurtki.

– Dawaj kombinację, ale już!

– Nie znam jej! – jęknęła, a serce mocno jej waliło. – Musisz mi uwierzyć!

Ugla wstała. Siedziała na starym kuchennym krześle z podartym plastikowym siedzeniem. Zatrzymała się na chwilę i głęboko zajrzała w oczy mężczyzny, który przed nią stał. Karl. Jego gęste ciemne włosy nie zaczęły jeszcze siwieć, chociaż miał już po czterdziestce. Ugla wyczuła coś dziwnego w jego minie, w tych oczach z niewielkim, ale stałym zezem, które mówiły jednocześnie: chodź tutaj i nie zbliżaj się. Podeszła bliżej; przyciągnął ją do siebie, pocałował namiętnie.

Úlfur, dyrektor artystyczny, klasnął w ręce, dźwięk rozniósł się echem po sali.

– Genialne! Chyba jesteśmy prawie gotowi na sobotę.

Robiło się późno, a próba trwała od piątej.

– To się zobaczy – powiedział głęboki, stanowczy głos z galerii, z której próbę obserwowali Hrólfur, prezes Towarzystwa Dramatycznego i Pálmi, dramaturg. – To się zobaczy – powtórzył Hrólfur.

Ugla i Karl czekali na scenie na dalsze instrukcje dyrektora. Uwaga Hrólfura chyba położyła kres ambicjom Úlfura.

Próba odbywała się w teatrze na Adalgata. W holu wisały stare czarno-białe plakaty, anonsujące przedstawienia z wczesnych dni Towarzystwa Dramatycznego, z lat pięćdziesiątych.

Od głównego wejścia do widowni, gdzie urządzono scenę, prowadził korytarz. Klatka schodowa po lewej stronie prowadziła na galerię, a w sali poustawiano krzesła. Wszystko było gotowe na sobotni wieczór inauguracyjny.

Karl zszedł ze sceny kilkoma szybkimi krokami. Zatrzymał się i czekał, aż dyrektor oznajmi, że próba się skończyła. Nie opłacało się obrażać go tuż przed wystawieniem sztuki. Było oczywiste, że Úlfur lubi rządzić, a to było jego przedstawienie. Jedynie stary Hrólfur, prezes Towarzystwa Dramatycznego, nie uznawał jego autorytetu. Siedział na galerii i z zapalem oglądał wszystkie próby. Te oceny, które rzucał, były nieodmiennie negatywne.

Karlowi uderzało do głowy, kiedy był na scenie, patrzył z góry na widzów – zwyczajnych ludzi – a światła skierowane były na niego. Wtedy był niezaprzeczalnym gwiazdorem, przyciągał uwagę i oklaski. Główne role męskie zapewniały mu więcej czasu w światłach rampy.

Wyjął komórkę z kieszeni i wystukał wiadomość tekstową do Lindy, która czekała na niego w domu. „Jeszcze na próbie, za godzinę będę. Na razie”. Kłamiąc, ryzykował. Ale był z tych mężczyzn, którzy kochają ryzyko.

Mijało pół roku, odkąd razem z Lindą przeprowadził się na północ, do wynajętego mieszkania na Thormódsgrata, za które Linda płaciła z pensji pielęgniarki w szpitalu.

Nie było odpowiedzi od Lindy, ale Karl wiedział, że miała dyżur i było mało prawdopodobne, że znajdzie czas na odpowiedź. Tym lepiej, pomyślał. Może wykorzystać próbę jako pretekst do nieodbierania, gdyby zadzwoniła. Teraz ona nie będzie mogła się spodziewać telefonu z jego strony. Z

uśmiechem wstukał drugą wiadomość, tym razem nie do Lindy.

– Na dzisiaj chyba koniec – oznajmił Úlfur. Jego uroczystemu głosowi mocy dodawał autorytet. – Do zobaczenia, do jutra, i bądźcie gotowi na to, że spędzimy tu cały wieczór. To musi być doskonale – orzekł. – Doskonale – dodał dla wzmocnienia.

Karl szybko się pożegnał i zniknął w ciemnej, zimowej nocy.

Pálmi zszedł z galerii do Úlfura, w stronę wyjścia z widowni wybrali się razem. Obaj byli emerytami i znaleźli w Towarzystwie Dramatycznym ujście dla swojej energii; Pálmi wcześniej był nauczycielem, Úlfur miał za sobą karierę dyplomatyczną.

– Może byśmy usiedli i jeszcze raz wszystko omówili? – zaproponował Úlfur, patrząc na schody. Najwyraźniej czekał, aż zejdzie Hrólfur. – Może Hrólfur zaprosi nas do siebie na kieliszek wina i dobrą opowieść? – uśmiechnął się i ściszył głos. – Albo kieliszek dobrego wina i opowieść. – Uśmiechnął się jeszcze raz z własnego żartu.

– Niestety, nie teraz – powiedział smętnie Pálmi. – Mam gości, przyjechali dziś rano z Danii.

– Gości?

– Tak, starszą panią, ma na imię Rosa. Dziś rano przybyła z synem, zostają na tydzień. Nie rozumiem, jak mogłem się na to zgodzić.

– Rozumiem. Będiesz ich bawił przez cały tydzień?

– Bo ja wiem... Powiedziała, żebym się nie fatygował. Ona chce po prostu odpocząć i zrelaksować się, skoro tu w końcu przyjechała.

– Krewna?

– Nie, ale dobrze znała mojego ojca w Danii. – Pálmi pożałował swoich słów i tonu. Nie chciał sugerować niczego romantycznego ani nieprzyzwoitego, chociaż podejrzewał, że właśnie tak można zrozumieć to, co powiedział.

– Hm... Chcesz powiedzieć...?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. To rozegrało się między nim a moją matką, zanim przeprowadził się do Kopenhagi. Nie mam zamiaru zadawać zbyt wielu pytań, chociaż sędzę, że powinienem chwycić się okazji, kiedy mogę, i dowiedzieć się, co staruszek robił, zanim złapał tutaj gruźlicę – przerwał na chwilę.

– Czasem myślałem, żeby zapytać Hrólfura – mówił dalej. – Wiesz, że w tym samym czasie studiował w Kopenhadze? Ale chociaż byli dobrymi przyjaciółmi, kiedy mieszkali w Siglufjörður, to chyba nie spędzał zbyt wiele czasu z moim ojcem, w każdym razie nie licząc samego końca.

– Chwytaj okazję obiema rękami, możesz nie mieć drugiej. Mam nadzieję, że starsza pani nie pomyśli, że wpadła w śnieżną pułapkę.

– Oczywiście, ja też mam taką nadzieję!

Pálmi dotknął przelotnie ramienia Úlfura i odszedł.

Leifur, złota rączka Towarzystwa Dramatycznego, szybko zwinął rekwizyty. Spieszył się do spółdzielni. Dotarł do sklepu, kiedy już go zamykano. Był jedynym klientem. Bez specjalnego zainteresowania patrzył na lady chłodnicze. Zwróciła jego uwagę etykieta mielonej wołowiny w promocji. Mięso wyglądało bardziej kusząco niż szereg nieszczęsnych pałek z kurczaka i sflaczałe kurze piersi, które je otaczały.

Leifur był po trzydziestce i bardzo mu się podobała rola, jaką odgrywał w Towarzystwie Dramatycznym. Zostały jeszcze dwa wieczory przed dniem premiery. Teatr był doskonałym sposobem na ukojenie wspomnień. Leifurowi szczególną ulgę przynosiło, że wieczór inauguracyjny odbędzie się w

dniu, w którym bardzo potrzebował zapomnienia. Piętnastego stycznia.

To była data wyryta w jego pamięci, tak samo jak inna data: przeddzień Nowego Roku przed ponad dwudziestu laty.

Miał wtedy jedenaście lat. Jako dziecko nie bardzo przeżywał Boże Narodzenie, ale uwielbiał Nowy Rok – przyglądał się fajerwerkom i był już na tyle duży, żeby odpalać je z ojcem i starszym bratem. Całymi tygodniami nie mógł się doczekać tego dnia. Jego brat, Árni, prawie siedemnastoletni, tamtego roku kierował akcją i specjalnie oszczędzał, żeby kupić więcej fajerwerków niż zazwyczaj. A potem przyszła grypa – rodzice stanowczo odmówili Leifurowi wyjścia z domu i wzięcia udziału, skazując go na oglądanie przedstawienia przez szybę. To było nic w porównaniu z podnieceniem, kiedy widziało się to na żywo na tle ciemnej zimowej nocy. Za duży, żeby ronić łzy, rozczulając się nad sobą, wściekły zatrzasnął się w swojej małej sypialni na tyłach domu. Zerkał przez okno, kiedy przeleciało kilka fajerwerków, ale zdecydowanie odmówił opuszczenia swojego pokoju, żeby obejrzeć święta od frontu.

W następnych dniach rodzina Leifura nieraz wspominała, jak dobrze poszło Árniemu, ale Leifur odmawiał brania udziału w rozmowie. Przez cały czas przekonywał sam siebie, że dobrze zrobił, zamykając się w swoim pokoju. Árni oczywiście przejrzał go i próbował pocieszyć, obiecywał, że za rok razem obejrzą pokaz. Ale to był ich ostatni wspólny Nowy Rok.

Według książki telefonicznej Leifur był cieślą, chociaż w rzeczywistości ten tytuł był pochodną życzeń i rzeczywistości. Zawsze miał zwinne ręce i tak czy inaczej chciał zostać cieślą. Kiedy miał zaledwie dziesięć lat, postanowił razem z Árnim założyć pewnego dnia wielki własny warsztat w Siglufjördur. To była podniecająca perspektywa dla chłopca, dla którego nie było większej przyjemności niż spędzanie czasu w garażu z deskami, młotkiem i piłą. Wiedział przy tym, że ma starszego brata, który nigdy nie złamał słowa.

Ale jak to bywa, dobre intencje spełzły na niczym.

Po ukończeniu szkoły Leifur wstąpił do technikum, a po powrocie do Siglufjördur założył własny warsztacik w swoim mieszkaniu. Dom podzielony był na dwie części, a Leifur kupił mieszkanie na piętrze. Było prawie w sam raz dla samotnego mężczyzny i jego wiernego labradora. Jeden pokój przerobił na warsztat i przyjmował dorywcze zlecenia. Stawkę za godzinę miał dość niską, ale nie było też wielkiego zapotrzebowania. Wszystkiego było tutaj mniej niż w większych miastach, a ludzie woleli, nie spiesząc się, samemu robić różne rzeczy dla siebie, niż wynajmować zawodowego stolarza. Ale Leifur nie poddawał się, w wolnym czasie nadal prowadził warsztat. Chciałby tego jego zmarły brat.

Jeśli chodzi o stały dochód, Leifur musiał zdać się na stację benzynową, w której pracował, odkąd ukończył koledż i wrócił do Siglufjördur. Nigdy nie brał pod uwagę zamieszkania w innym miejscu, choćby miał tam znaleźć znacznie lepsze perspektywy. Myśl o opuszczeniu rodziców nie wchodziła w rachubę, nawet o tym nie wspominał. Nie zmuszali go do powrotu, ale czuł, że nie może ich zawieść i zostawić samych.

Nie zasługiwali na to, żeby stracić drugiego syna.

Małe mieszkanie na Thormóðsgata stało się jego domem, czuł się w nim u siebie. Cieszyła go praca w drewnie, kiedy tylko nadarzała się okazja, wtedy czuł się najszczęśliwszy – tkwił w innym świecie, w swoim świecie, gdzie nic nie mogło przyprawić go o troskę. Teatr był darem niebios, dawał mu mnóstwo okazji do wykorzystania uzdolnień, mimo że pracował na ochotnika. O ile wiedział, nikomu nie płacono za udział w przedstawieniach amatorskich, za to wiązało się to z pewnym prestiżem.

Z latami piękne dzieła jego rąk zyskiwały coraz większe uznanie. Teraz obarczano go budowaniem dekoracji do każdego przedstawienia – dostawał carte blanche w granicach określonych przez Hrólfa i Úlfura, barwnej pary ludzi, którzy wiedzieli, czego chcą. Leifur nie był skłonny do prowadzenia dyskusji, wolał, żeby to inni się wypowiadali.

Nie skończyło się na stolarce. Dano mu też szansę zagrania roli w przedstawieniu. W małym towarzystwie wszystkie zadania były podzielone, a on został dublerem aktora grającego główną rolę,

poza tym wypowiadał kilka zdań w innych częściach sztuki. Ćwiczył bez końca, póki nie nauczył się wszystkiego na pamięć. Chociaż miał ogromną treść, w Towarzystwie Dramatycznym był w swoim żywiole. Jednak to, co najważniejsze, robił za kulisami.

Dzień zaczynał zazwyczaj od wyprowadzenia psa na spacer. Kiedy kończył pracę na stacji benzynowej, szedł na basen – nie żeby pływać, ale żeby skorzystać ze znajdującej się tam siłowni i podnosić ciężary. Często wpadał na innych stałych bywalców, chociaż mało było takich, którzy by przychodzili tak regularnie. Zazwyczaj ćwiczyli tam chłopcy z drużyny piłkarskiej, oczywiście młodsi od niego. A sąsiad z dołu, Karl – z grupy teatralnej – i jego żona Linda byli częstymi gośćmi. To było dobre miejsce, żeby zapomnieć o troskach dnia, zrelaksować się i nabrać energii na kolejny spacer z psem i pracę w warsztacie. Spędzał w nim każdy wieczór, czy miał robotę, czy nie miał; jak nic nie było, to robił coś dla siebie, albo na prezent.

W Siglufjörður czuł się jak w domu. Poza piętnastym stycznia. Ten dzień nigdy nie zblednie w jego pamięci.

Mówi się, że czas leczy wszelkie rany, ale Leifur chyba już w to nie wierzył. Smutek pozostał. Nadal czuł gniew na zabójcę swojego brata.

On, a może ona, żył teraz spokojnie, pewnie przestało go to już obchodzić. Mógł to być ktoś, kto nawet nie znał Árniego i nie obchodziło go, kogo ten młody człowiek osierocił.

Árni na pewno chciałby, żeby jego rodzina żyła sobie dalej i odpuściła nieostrożnemu kierowcy. Właśnie taki był Árni – prostoduszny nastolatek, zawsze gotów przebaczać.

Leifur nie przebaczał nigdy.

Linda Christensen powiedziała, że źle się czuje i wcześniej wróciła do domu.

Cieszyła się, że przez ostatnie parę dni padało mało śniegu. Zimno było ciężkim brzemieniem, ale ciemność ją dobijała.

– Wychodzę – powiedziała dyżurnej pielęgniарce. Urodzona w Islandii Linda wiele lat spędziła w Danii. Po islandzku mówiła prawie doskonale. Duński akcent, który miała jeszcze przez rok po powrocie, teraz prawie zupełnie zniknął. Ale Linda nadal czuła się jak outsiderka – bardziej Dunka niż Islandka. Może i to zmieni się z czasem.

Włożyła płaszcz i poszła do domu.

Kiedy Leifur wracał do domu, pogoda była wyjątkowo ładna.

Panowało przejmujące zimno, ale z teatru miał niedaleko, wzdłuż kolorowych domów na skrzyżowaniu Adalgata i Thormóðsgata. Niektóre wymagały remontu, w inne nowi właściciele tchnęli nowe życie. Leifur wiedział, że niektóre ze starych domów w centrum miasteczka kupili ludzie z Reykjavíku i korzystają z nich w czasie wakacji. Nie był pewien, czy to dobrze, czy źle, ale przynajmniej ożywiło to trochę miasteczko.

Kiedy skręcił za róg w Thormóðsgata, zobaczył przed domem swoją sąsiadkę, Lindę. Otuliła się mocno płaszczem, twarz miała bladą, oczy zmęczone. Wyglądało na to, że zaskoczył ją jego widok.

– Cześć – powiedziała i przerwała. – Urwałeś się wcześniej z próby?

Zatroskanie w jej głosie było oczywiste, chociaż robiła, co mogła, żeby je ukryć pod nieprzekonującym uśmiechem.

– Ależ skąd, Úlfur w życiu by na to nie pozwolił – odparł Leifur, odpowiadając uśmiechem. – Wszyscy skończyliśmy przed kwadransem.

Nie mógł nie zauważyć zmieszania, złości, rozczarowania, które przemknęły jej przez twarz. Po chwili się opanowała. Skinęła głową, wyjęła klucz i weszła do mieszkania.

Siglufjördur: piątek 9 stycznia 2009

Anna Einarsdóttir poprzedniego wieczoru nie było na próbie, tak jak w każdy czwartek, kiedy miała popołudniowy dyżur w szpitalu. Nie miało to wielkiego znaczenia, bo jej rola nie była znacząca. Dla reżysera było wygodnie przeprowadzać próby samodzielnie z Uglą i Karlem.

W piątek Anna była w teatrze punkt czwarta, ledwie się skończył jej dyżur w spółdzielni. Miała niedaleko, wystarczyło przejść na drugą stronę placu. Biegła w deszczu. Przez większą część dnia pogoda była dobra i spokojna, ale niedługo przed czwartą zaczęło padać, i to mocno.

W korytarzu starannie wytarła buty o wielką matę przed drzwiami. Nína Arnardóttir siedziała w kiosku z robótką na kolanach; podniosła wzrok i ciepło przywitała Annę.

– Cześć – odpowiedziała Anna. – Od dawna tu jesteś? – zapytała, chociaż znała odpowiedź. Kiedy Towarzystwo Dramatyczne przygotowuje się do wieczoru inauguracyjnego, teatr staje się drugim domem Níny. Mieszkała samotnie, a uwielbiała wrzawę i napięcie; zawsze przychodziła pierwsza i ostatnia wychodziła.

– Jestem tutaj od przerwy na lunch. Ktoś musi sprawdzić, czy wszystko jest gotowe dla gwiazd, kiedy wyjdą na scenę – odpowiedziała z uśmiechem Nína.

Anna rozejrzała się po holu obwieszonym starymi plakatami; niektóre pochodziły z lat wojny. Miała wrażenie, że przeniosła się w odległą epokę, którą znała tylko z książek i filmów. Miała dwadzieścia cztery lata, urodziła się i wychowała w Siglufjördur, potem przeniosła się na południe, do Reykjavíku, do koledżu, a potem prosto na uniwersytet. W koledżu mogła mieszkać u ciotki, ale kiedy zaczęła studia historyczne na uniwersytecie, przy pierwszej okazji przeniosła się do mieszkania studenckiego. Teraz, po studiach, po magisterium, postanowiła dotrzymać danego sobie kiedyś słowa i zrobić sobie wolny rok, żeby wrócić do domu i dopiero potem postanowić o następnym kroku w życiu. W Siglufjördur nie było łatwo o pracę; jedyne stanowisko zaproponowano jej w spółdzielni, poza tym miała kilka zmian w szpitalu, co dawało jej dodatkową korzyść: możliwość widywania się z dziadkiem, który tam leżał.

W pierwszym tygodniu nowego roku będzie musiała podjąć decyzje na temat przyszłości. Niedługo po przeprowadzce na północ dowiedziała się, że wiosną będzie mogła objąć posadę nauczycielki w szkole podstawowej. Ten zawód podobał się jej, no i mogła zostać w miasteczku, gdzie zawsze czuła się jak w domu. Na południu trudno było znaleźć etaty nauczycielskie, przy powszechnych cięciach wynikających z kryzysu. Od dawna marzyła o tym, żeby móc się dzielić wiedzą nabytą podczas studiów. Nauczanie w szkole podstawowej całkowicie jej odpowiadało. Już powiedziała dyrektorowi, że jest zainteresowana i najwyraźniej wszyscy się o tym dowiedzieli, bo wielu wyrażało zadowolenie na myśl, że ta młoda kobieta dołączy do zespołu nauczycielskiego. Jeszcze niczego nie podpisała, ale ludzie zakładali, że ma już tę pracę.

Kiedy wszedł Leifur, otrząsając włosy z deszczu, zobaczył Annę przyglądającą się plakatowi, zatopioną we własnym świecie. Z jego punktu obserwacyjnego Anna wyglądała prawie jak modelka, z długimi ciemnymi włosami, delikatnie wyrzeźbionym nosem i pięknymi wargami. Odwróciła się do niego.

– Cześć – uśmiechnęła się uprzejmie, ledwie przyjmując do wiadomości jego obecność.

Leifur odpowiedział na pozdrowienie, spostrzegając jednocześnie, jak się zmieniła, gdy tylko odwróciła się do niego przodem. Nagle zaczęła wyglądać pospolicie, cały urok wyparował, jakby istniał tylko w jej profilu. Aż dziwne, jak zmiana punktu widzenia na to wpłynęła: stała się dziewczyną o dwóch twarzach.

Może powinien poznać ją lepiej. Chociaż kontakty towarzyskie nie były jego mocną stroną – no i ona miała dobrych parę lat mniej od niego. Był pewien, że nie będzie zainteresowana spędzaniem z nim czasu. Ale potem popukał się w głowę: czas skończyć z tą biernością.

Wyjrzał przez otwarte drzwi na ulicę i zobaczył czerwonego mercedesa, który zatrzymał się przy chodniku. Przybył prezes Towarzystwa Dramatycznego.

– Może spróbujemy coś zrobić, żeby ta żałosna sztuka jakoś poszła! – oznajmił Hrólfur, kiedy wysiadł z wozu i wszedł do holu. Mówił głośniej, niż było to potrzebne.

– Myślę, że pójdzie bardzo dobrze – rzekła uprzejmie Anna.

– Och, doprawdy tak myślisz? Nie będzie to nic nadzwyczajnego, z takim scenariuszem, ledwie przeciętnym, i sceną pełną amatorów. Ale może nam to ujdzie na sucho.

Zdjął płaszcz i odruchowo, bez słowa, podał go Nínie.

– Przypominam sobie, jak byłem w Edynburgu, chyba jakoś tak w pięćdziesiątym piątym. Miałem czytać fragmenty swojej książki i zobaczyć kilka przedstawień na festiwalu sztuki. To był teatr, mówię wam, prawdziwy teatr. Czasem zastanawiam się, co ja tu robię z tymi gwiazdoram.

Nína powiesiła płaszcz Hrólfura i odwróciła się, bo przyszli Pálmi i Úlfur. Pálmi złożył parasol, zanim wszedł. Úlfur kroczył za nim, tupiąc, żeby otrząsnąć wodę z butów. Twarz miał gniewną.

– Cóż, może czas, żebyś się usunął – powiedział cicho Úlfur, ale i tak wszyscy słyszeli.

Hrólfur odwrócił się i popatrzył z góry na krępa postać stojącą przed nim. Úlfur, w okrągłych okularach i czarnym filcowym kapeluszu, wyglądał na starego i zmęczonego.

Úlfur zawsze przypominał Leifurowi starego męża stanu, który już wycofał się z polityki. Wyglądał prawie odpowiednio, prawie wiedział, jak się zachować, trochę za bardzo szukał szacunku i podziwu. Leifur zapamiętał go z dawnych czasów jako dość komiczną postać, ale po rezygnacji z kariery dyplomaty Úlfur zrobił się arogancki, co – przynajmniej dla Leifura – tylko wzmacniało jego śmieszność.

– Usunąć się? Rozum postradałeś? Tylko ja potrafię utrzymać to w garści. Nadal będę poświęcać temu swój czas, a zostało mi jeszcze wiele lat. Nie obawiaj się, Úlfurze.

Było oczywiste, że Úlfur ma gotową gniewną odpowiedź; policzki mu się zaczerwieniły, zmrużył oczy i zerwał filcowy kapelusz z głowy, obnażając łysinę.

Hrólfur nie dał mu szansy na odpowiedź, zwrócił się natomiast do Níny.

– Níno, moja droga. Mogłabyś znaleźć mój płaszcz? Coś zostawiłem w kieszeni.

Bez słowa podała mu płaszcz.

Leifur patrzył, jak Hrólfur wyjmując gazetę z kieszeni płaszcza, a wraz z nią coś, co podejrzenie przypominało buteleczkę. Oddał płaszcz Nínie i poszedł w stronę widowni tak szybko, jak tylko mógł. Nie po raz pierwszy Hrólfur pojawiał się na próbach z buteleczką. Tym razem także siedział za kierownicą, więc wiele wskazywało na to, że poprosi Annę, żeby wieczorem odwiozła go do domu. Leifur już to nieraz widział.

Patrzył w ślad za starszym dżentelmenem, kiedy Karl i Uglą przybyli do teatru. Úlfur rozejrzał się. Było oczywiste, że jest zdenerwowany, ale robił co mógł, żeby wyglądać, jakby nic się nie stało. Klasnął w ręce i wymusił na sobie uśmiech.

– Dobrze, no to do roboty!

Anna z miejsca, w którym stała na scenie, widziała Uglę i Karla zatopionych w rozmowie pośrodku

widowni. Odwróciła się, żeby popatrzeć na Pálmiego, który wydawał się bardzo zajęty. Pomyślała, że jest szybki jak na starego człowieka, ale wiek było po nim widać zarówno w rysach, jak i w ruchach. Nadal był przystojnym mężczyzną, mimo swoich lat, i bez trudu mogła sobie wyobrazić, że w młodości uważano go za niezłą partię. Jednak z jakichś powodów pozostał kawalerem.

Teraz był na emeryturze, mieszkał sam w Siglufjörður i zajął się w zimnie i ciemności pisaniem.

Czy tego Anna chciała dla siebie? Czy postąpiła właściwie, starając się o pracę w szkole? Zapuszczając tutaj korzenie? Nie byłoby jej lepiej w Reykjavíku? Nie była do końca pewna, czy podjęła właściwą decyzję, ale był to najbardziej oczywisty i najprostszy wybór – łatwiejszy niż powrót do Reykjavíku, gdzie musiałaby żyć na własną rękę. Tutaj może mieszkać w suterenie domu swoich rodziców jeszcze przez parę lat, zanim znajdzie sobie w miarę tanie miejsce do życia. Czasem jednak myślała, że zabrakło jej energii kierującej niektórymi z jej znajomych. Samotne życie w Reykjavíku było na swój sposób zabawne, ale też pełne obowiązków trudniejszych, niż się jej zdawało. Chciała to wszystko odłożyć na jakiś czas; no i ta niewypowiedziana prośba rodziców, żeby nie wyjeżdżała.

Przeniosła wzrok z Pálmiego na galerię, gdzie zasiedli Hrólfur i Úlfur, władczym wzrokiem przyglądający się wszystkiemu, co działo się na dole. Ugla i Karl stali na scenie, gotowi do próby w kostiumach, a Leifur na pewno czaił się gdzieś za kulisami. Anna zawsze czuła ukłucie irytacji, kiedy widziała Uglę, która ukradła jej główną rolę. Ta obca, spoza miasteczka, powinna być wdzięczna, że w ogóle jest częścią zespołu.

Anna nie miała wątpliwości, jak do tego doszło. Stary Hrólfur od razu polubił dziewczynę, która wynajęła od niego mieszkanie w suterenie, i spotykali się na kawie długo po tym, jak Ugla się wyprowadziła. Najwyraźniej trzymał nad nią parasol protekcji i Anna nie miała wątpliwości, że to zaważyło, kiedy doszło do obsadzania ról. Oczywiście, dyrektorem był Úlfur, przynajmniej z nazwy, i zapewne to on podejmował decyzje, ale Anna wiedziała swoje.

Silna, władcza postać Hrólfura zawsze majaczyła w tle. Każdy o tym wiedział.

16

Wydawał się równie zaskoczony jak ona ostrym dzwonkiem z drugiej kieszeni swojej kurtki, jakby zapomniał, że on też ma telefon.

To dało jej szansę na złapanie tchu, opanowanie się i myślenie. Co będzie dalej? Nie może mu dać kombinacji do sejfu bez telefonu do męża, a niewielkie były szanse, że pozwoli jej zadzwonić. Prawdę mówiąc, mało prawdopodobne, żeby osiągnęła coś sensownego, nawet gdyby pozwolił.

Teraz nie była mu już potrzebna. Może postanowił poczekać na powrót jej męża i zmusić go do otwarcia sejfu. Może jest coś warta: jej życie w zamian za kombinację. Ale nie mogła być pewna.

Odpowiedział na telefon kilkoma ostrymi słowami:

– Tak... Nie... Jeszcze nie...

Już raz groził, że ją zabije. Błefował czy mówił serio? Tego też nie mogła być pewna.

Wyszedł na korytarz, żeby kontynuować rozmowę telefoniczną. Patrzyła, jak odwrócił się w lewo, w stronę korytarza prowadzącego do pokojów gościnnych i drzwi do ogrodu. Po prawej była salon, hol i wyjście na ulicę. To była niespodziewana okazja, wymagała szybkiej decyzji.

Jego pomrukiwania stawały się coraz cichsze, co dowodziło, że idzie dalej korytarzem, pewien, że ona zostanie tam, gdzie była, w pozbawionym okien, przytulnym gabineczku, jak złapane w potrzask zwierzę.

Zwróciła myśli ku mężowi; pewnie właśnie wsiada na pokład samolotu do domu. Co by chciał, żeby zrobiła? To na pewno była jej jedyna szansa – zaryzykować czy czekać i mieć nadzieję?

Nie da się stwierdzić, dlaczego podjęła decyzję, instynkt przejął prowadzenie.

Zerknęła szybko na korytarz i zobaczyła, że stoi tyłem do niej. Nadal jej nie widział. Szybkim, niesłyszalnym krokiem oddaliła się od niego. Nie sądziła, żeby poszedł za nią.

Serce waliło jej mocno, aż się bała, że usłyszy.

Była za rogiem, już nie mógł jej zobaczyć, jeszcze tylko kilka kroków zostało jej do drzwi wejściowych. Wiedziała, że są zamknięte i że będą jej potrzebne obie ręce, żeby je otworzyć. Zsynchronizowane ruchy obu dłoni.

Wtedy go usłyszała. Rzuciła się do klamki; majstrowała przy zamkach, ale ręce nie chciały działać tak, jak powinny. Wiedziała, że zostały jej sekundy, że zaraz ją dopadnie.

Dławiąc łyzy frustracji, sięgnęła do drzwi.

I spróbowała raz jeszcze.

„Tutaj nic się nie dzieje”.

Foyer teatru było wspaniałe. Plakaty, świadkowie dawnych czasów, atmosfera ciężka od historii Siglufjördur, gdzie w czasach dobrych i złych rozkwitała sztuka. Towarzystwo Dramatyczne wystawiało liczne przedstawienia w złotych czasach miasteczka, kiedy morze tak obfitowało w śledzie, że solarnie pracowały dzień i noc. Przedstawienia kontynuowano, kiedy śledzie się skończyły, a prosperity stało się słowem, które można znaleźć tylko w słownikach, chociaż na południu nadal było faktem. Miłość na scenie kwitła i więdła, ludzie żyli i umierali, a nawet bywali mordowani, wszystko przed pełną widownią.

Od popołudnia lało bez przerwy, wreszcie niebo zaczęło się przejaśniać. Ari Thór nie wyrobił sobie nawyku chodzenia do teatru, ale i tak rozumiał podniecenie kryjące się za dobrym przedstawieniem. Napięcie w powietrzu bywało wyczuwalne, ale nigdy tak intensywne, jak w tamten piątkowy wieczór w teatrze w Siglufjördur. A przecież tym razem nie było przedstawienia, a widownia była pusta. On i Tómas – obaj mieli tego wieczoru dyżur – nie mogli uniknąć widoku ciała. Nie było wątpliwości, że patrzą na trupa, ale Tómas i tak sprawdził mu puls.

W Towarzystwie Dramatycznym już widywano krew, a przynajmniej coś, co widownia brała za krew. Jednak ta krew, sącząca się z ciętej rany w głowie starca, wyglądała bardzo nierealnie, jakby nie było tu dla niej miejsca, jak keczup w marnym filmie klasy B.

– Musiał spaść ze schodów – powiedział Ari Thór.

– To oczywiste – odparł opryskliwie Tómas. Opuściła go charakterystyczna dobroduszość; dla każdego, kto to widział, było oczywiste, że wypadek jest poważny i przyciągnie uwagę.

Przed nimi, na podłodze, leżał najznakomitszy mieszkaniec miasteczka: Hrólfur Kristjánsson, niegdyś najwybitniejszy islandzki autor. Chociaż jego dzieła w ostatnich latach wyszły z mody – może nawet w ostatnich dekadach – i tak nie było wątpliwości, że jego śmierć trafi na czołówki gazet.

Ari Thór i Tómas nie mogli nie zauważyć, że Hrólfur musiał coś wypić – zapach alkoholu był wyraźny.

– Do jasnej cholery – zaklął półgłosem Tómas. – Nie możemy zakazać tym przeklętym dziennikarzom wyciągnąć z tego więcej, niż zobaczą. Ani słowa prasie, rozumiesz? – Głos miał stanowczy.

Ari Thór kiwnął głową. Nie wiedział, jak zareagować. Tómas był zazwyczaj sympatycznym, ojcowskim typem, a już tyle lat minęło odkąd Ari Thór miał prawdziwego ojca, któremu mógł okazywać szacunek. Tatę stracił jakieś dziesięć lat temu i prawie zapomniał, jak wygląda ojcowska troska czy ojcowska dyscyplina. Próbował zachować równowagę. Rozejrzał się dokoła. Hrólfur leżał na plecach u dołu schodów, z głową na podłodze przy ostatnim stopniu.

– Wygląda na to, że upadł do tyłu – powiedział Ari Thór. – To może być wskazówka, że został popchnięty.

– Nie opowiadaj głupot – warknął Tómas. – Dość tych cholernych bzdur, młody człowieku.

Ari Thór był wstrząśnięty.

– Skup się na robieniu zdjęć.

Ari Thór sfotografował ciało, potem poszedł do holu, gdzie czekała Nína, która zadzwoniła, żeby zgłosić zdarzenie. Wyglądała na zmartwioną, ale nie była specjalnie zdenerwowana. Ari Thór boleśnie odczuł wymówkę Tómasa. Chciał zrobić coś pożytecznego, pokazać, że może się przydać. W końcu zwrócił się do Níny.

– Czy była próba teatralna? – zapytał. – Jutro macie premierę?

– Tak... była próba.

– Więc gdzie są wszyscy? – zapytał.

– Jest... teraz jest... przerwa na kolację. Właśnie wróciłam i znalazłam go... Hrólfura... jak tu leżał.

Ari Thór włożył mały aparat cyfrowy do kieszeni i wrócił na widownię. Zatrzymał się w wejściu na widok Tómasa.

– Nie powinniśmy wezwać... hm, specjalistów?

– Chciałeś powiedzieć, gliny z Reykjavíku? To wypadek, który łatwo da się wyjaśnić. Stary musiał...

– Tómas ściszył głos. – Musiał wypić kapkę za dużo. Zmęczenie, zdenerwowanie. To wypadek. Nie potrzeba nam zespołu specjalistów, żeby to za nas stwierdził.

Ari Thór zobaczył, że Nína podeszła z holu do widowni i uważnie przysłuchuje się każdemu słowu wypowiedzianemu przez policjantów. Patrzyła w bok, jakby chciała ukryć fakt, że podsłuchuje. Potem włożyła wytarty czerwony płaszczyk, zdjęła z haczyka cętkowany parasol i weszła na widownię, żeby smutno popatrzeć na funkcjonariuszy.

– Czy jest jakiś powód, że nie mogę iść do domu? Słabo się czuję. W życiu nie widziałam zwłok.

– Ambulans jest już w drodze? – zapytał Tómas Ariego Thóra i zwrócił się do Níny: – Przepraszam.

Będziemy musieli z panią porozmawiać, zanim pani pójdzie. Może pani usiądzie i spróbuje się uspokoić?

Po jej uśmiechu widać było zmęczenie. Westchnęła.

Ari Thór potwierdzi, że ambulans już jedzie.

– Będą mogli zabrać ciało? – zapytał. Denerwował się, bo nie chciał kolejny raz zblądzić się wobec szefa.

– Tak. Chyba tak. Zrobiłeś wszystkie zdjęcia, prawda? Tu nie ma niczego podejrzanego. Czy był tutaj jeszcze ktoś? – zapytał Ninę.

Była jakby wiele mil stąd. Nie odpowiedziała.

Tómas zakaszłał.

– Nína, czy ktoś jeszcze tutaj był, kiedy to się stało?

– Co? – wyjąkała, rozglądając się z przestraszeniem.

Tómas spojrzał na nią wściekle, jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Czy ktoś jeszcze tutaj był? – zapytał ponownie, a jego huczący głos odbijał się echem po pustym korytarzu z budką biletera.

– Tak... – Jakby się namyślała. – Nie, to znaczy... Nie sędzę. Podczas przerwy na kolację byłam na dole, w piwnicy. Scena jest podpiwniczona. Schody do piwnicy są od tyłu. Sprzątałam – w piwnicy trzymamy stare kostiumy – i polegiwałam na starej kanapie, która tam stoi. Zjadłam, kiedy oni mieli próbę. W czasie kolacji nikogo tutaj nie było, nie licząc mnie i Hrólfura. On był sam, na galerii.

– I jest pani pewna, że nie było tutaj nikogo innego, kiedy pani przyszła i znalazła... ee... ciało? – zapytał Tómas.

Ari Thór zrobił, co mógł, żeby potwierdzić, że Nína była jedyną osobą w budynku, kiedy przyjechał z Tómasem. Sprawdził piwnicę i galerię, gdzie znalazł tylko kilka starych krzeseł i parę stolików. Na stole leżała otwarta gazeta.

– Tak, jestem pewna. Nikogo nie słyszałam.

– Wiedziała pani, że pił? – zapytał Tómas.

– Tak, przyniósł z sobą butelkę, płaską flaszczykę. Dlatego myślę, że nigdzie nie wychodził podczas przerwy na kolację. Pogoda jest pod psem, a on prowadził.

Ari Thór już miał zadać Nínie pytanie, ale Tómas go uprzedził.

– To wystarczy. Może pani iść do domu i odprężyć się. Jutro z panią porozmawiamy, gdyby było więcej pytań.

– Kiedy inni wracają z kolacji? – zapytał Ari Thór.

– Úlfur dał wszystkim godzinną przerwę. Wkrótce zaczną się schodzić, za jakieś dziesięć, piętnaście minut.

Załoga ambulansu przyjechała, zanim Tómas zdołał coś jeszcze powiedzieć. Nie trzeba im było słów, wzięli się do pracy ze spokojną fachowością.

– Ari Thór, mógłbyś popilnować na zewnątrz? Przyjdą ludzie, a my nie potrzebujemy tutaj tłumu. Powiemy im, że zdarzył się wypadek, że Hrólfur poślizgnął się na schodach i... zginął.

Siglufjördur: piątek 9 stycznia 2009

Drzwi skrzypnęły, kiedy Leifur wszedł na scenę tylnym wejściem. Zobaczył, że Tómas szybko podnosi wzrok, jakby dał się zaskoczyć.

Leifur wymamrotał przywitanie i rozejrzał się. Załoga ambulansu wynosiła na noszach zwłoki Hrólfula.

– Była pan tutaj przez cały czas? – zapytał Tómas.

– Cały czas? – Leifur był zdumiony. Przejechał dłonią po krótko ostrzyżonej głowie i po brodzie, która wykluła się w ciągu kilku ostatnich dni. – Nie, właśnie wróciłem z kolacji.

Tómas czekał.

Leifur wiedział, jakie będzie następne pytanie, zanim je zadano.

– Za sceną są tylne drzwi. Co się stało? – zapytał.

– Wypadek na schodach – powiedział Tómas stanowczym tonem. – Hrólfur musiał się potknąć... nie żyje.

„Nie żyje”.

Tych słów Leifur nigdy nie zapomni; słów, z którymi ksiądz zwrócił się do jego rodziców. Było to wieczorem, piętnastego stycznia, dwadzieścia trzy lata temu. Leifur właśnie przyjechał, siedział w salonie i prawdopodobnie nie miał tego usłyszeć.

Rodzina wiedziała, że Árni, brat Leifura, wyjechał z kilkoma kolegami z miasteczka. Jechali niebezpieczną, wąską drogą z Siglufjördur do pobliskiego miasta. W drogę ruszyli wczesnym popołudniem, wieczorem spodziewano się ich z powrotem. Leifur pamiętał, jak matka prosiła Árniego, żeby nie jechał. Warunki były fatalne, zbity lód na drogach i ograniczona widoczność. Ale Árni nie chciał słuchać, postanowił wykorzystać swoje nowiutkie prawo jazdy. Późnym wieczorem tego dnia rozległo się pukanie do drzwi, Leifur pamiętał, że otworzył ojciec. Ksiądz, w towarzystwie policji, powiedział ojcu Leifura, że na drodze zdarzył się wypadek, samochód przekoziółkował. Kolega Árniego, który siedział na fotelu pasażera, znajdował się na oddziale intensywnej opieki medycznej i spodziewano się, że wyzdrowieje.

– Ale Árni nie żyje – powiedział ksiądz.

Leifur ocknął się z zamyślenia i spojrział na Tómasa.

– Co pan powiedział? Hrólfur... nie żyje? – zapytał.

– Tak. To wygląda na wypadek.

– On pił – powiedział Leifur. – Więc...

– Chłopcze, wszystko jest w porządku. Nie ma wątpliwości, że potknął się i spadł ze schodów. W czasie kolacji byłeś poza teatrem?

– Tak – odparł Leifur. – Nie wiem, co się stało.

– Po prostu upadł – powiedział surowym głosem Tómas. – Najlepiej będzie, jak pójdziesz do domu. Dziś wieczór nie będzie próby. Możemy się później skontaktować, żeby ustalić szczegóły, jeśli to będzie niezbędne.

Leifur skinął głową i wyszedł tymi samymi drzwiami, którymi wszedł.

Ari Thór zamknął za sobą drzwi do teatru i stanął na zewnątrz, jakby pełnił tutaj straż. W powietrzu po deszczu było tyle wilgoci, aż się wzdrygnął.

– Co tutaj robi policja? – zapytał jakiś mężczyzna, podchodząc do budynku. Nie wyglądał jednak na zbyt zaniepokojonego. Razem z nim szła kobieta, miała jakieś dwadzieścia parę lat. – I ambulans? Czy coś się stało?

– Jesteście z Towarzystwa Dramatycznego?

– Tak. Ja jestem Karl, a to jest Anna.

Ari Thór przedstawił się i powiedział, co się stało.

– Nie żyje? Naprawdę? – zapytał Karl. Był wstrząśnięty.

Ari Thór pokiwał głową.

– Musimy przeszukać to miejsce – wyjaśnił. – Najlepiej, gdybyście poszli do domu. Skontaktujemy się później, gdybyśmy musieli z wami porozmawiać.

Anna wyglądała na kompletnie zaskoczoną. Karl objął ją ramieniem, ku jej oczywistemu zdumieniu. Do grupki dołączyło dwóch starszych mężczyzn.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytał niższy z dwójki. – I kim pan niby jesteś?

– Nazywam się Ari Thór. Jestem funkcjonariuszem policji – dodał, jakby nie było tego widać po mundurze.

– Oczywiście. Wielebny. Mam na imię Úlfur, jestem dyrektorem Towarzystwa Dramatycznego. Co tu się dzieje? Dlaczego ambulans?

– Był wypadek.

– Wypadek?

– Hrólfur spadł ze schodów.

– Ten stary dureń znowu wypił kapkę za wiele. – Úlfur wyglądał raczej na zirytowanego niż wstrząśniętego.

– On nie żyje – powiedział Ari Thór.

Úlfur oniemiał.

Załoga ambulansu wyszła przez drzwi z noszami.

– Przerazające. Stary biedaczyna – powiedział drugi ze starszych mężczyzn.

– Pańskie nazwisko? – zapytał Ari Thór.

– Pálmi – odparł tamten. – Jestem... jestem pisarzem. Piszę sztuki teatralne. – Było widać, że mimo okoliczności nie potrafi ukryć dumy.

Úlfur już chciał wejść do budynku, ale Ari Thór go zatrzymał; zagroził mu drogę wyciągniętym ramieniem.

– Ze względu na to, co się stało, prosimy wszystkich, żeby poszli do domu. Prowadzimy śledztwo na miejscu zdarzenia.

– Na miejscu zdarzenia? – Úlfur zrobił parę kroków do przodu, odsunął ramię Ariego Thóra. – Czy jest tutaj Tómas? Chcę z nim pomówić! – Wściekłość wzbierała w nim z każdym słowem. – Nie możecie ot, tak sobie zamknąć mojego teatru na dzień przed premierą!

Ari Thór myślał szybko. Były dwie możliwości: postawić się twardo i zaryzykować głośną kłótnię albo wezwać Tómasa. Raz już Tómas go skarcił, więc Ari Thór niewiele musiał się zastanawiać, zanim wysłał problem po schodach na górę. Tómas najwyraźniej chciał prowadzić sprawę po swojemu.

– Chwileczkę – powiedział, udając autorytet władzy. Zajrzał przez drzwi i zawołał Tómasa, który wkrótce pojawił się w wejściu.

– Cześć – przywitał Tómas Úlfura i spojrzał na jego towarzysza. – Dobry wieczór, Pálmi. – Skinął

głową pod adresem Anny i Karla, którzy cofnęli się o krok. – Ari Thór powiedział wam, co się stało?

– To straszny szok – powiedział ponuro Úlfur, ułagodzony obecnością Tómasa. – Możemy porozmawiać w środku?

– Chyba już pójdziemy – powiedział Karl, nadal obejmując Annę. Tómas kiwnął głową i szybko odeszli.

– Tak, wejdźcie – powiedział do Úlfura i Pálmiego – ale na litość boską, nie zbliżajcie się do schodów. Jeszcze musimy je zbadać, zanim będziemy mogli powiedzieć z całą pewnością, co się stało, chociaż dla mnie to wygląda całkiem prosto.

– Naprawdę? Więc jak myślisz, co się stało? – zapytał Pálmi, jak tylko razem z Úlfurem znaleźli się po drugiej stronie drzwi. Ari Thór poszedł za nimi; trzymał się z tyłu, bo Tómas przejął pałeczkę.

– Stary biedaczyna spadł ze schodów – powiedział Tómas kategorycznym głosem.

– Co pan tutaj ma? – zapytał Ari Thór, kierując pytanie do Pálmiego, który trzymał torbę na zakupy.

– Ostatnią wersję scenariusza. Parę egzemplarzy. – Wydawał się zdziwiony jego zainteresowaniem.

– Razem z Hrólfulrem dokonaliśmy wcześniej kilku ostatecznych poprawek. Pálmi wpisał je w domu, na komputerze, i wydrukował – wyjaśnił Úlfur. – Jutro wieczorem mamy prapremierę.

– Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe – odpowiedział stanowczo Tómas.

– Przecież nie możemy pozwolić, żeby śmierć Hrólfulra to zniszczyła! – zaprotestował żarliwie Úlfur; ale zaraz pożałował swojego wybuchu.

– To mnie nie obchodzi – powiedział beznamiętnie Tómas, uważając przy tym żeby zachować się uprzejmie. – Możliwe, że jutro oddamy wam teatr, ale najlepiej, gdybyście o parę dni przesunęli wieczór inauguracyjny.

Úlfur pociemniał na twarzy, oczy wyszły mu z orbit.

– To niemożliwe! – wybuchł. Ari Thór rozpoznał człowieka, który zwykł stawiać na swoim.

Popatrzył na jednego, potem na drugiego i uznał, że w tej sytuacji Tómas da sobie radę bez jego pomocy. Szybko wyszedł i stanął przed wejściem. Spodziewał się, że wkrótce nadejdzie Ugła – był pewien, że brała udział w próbie i czuł dziwną chęć, żeby osobiście powiedzieć jej, co się stało. Nie musiał się niepokoić o to, co dzieje się w teatrze. Był pewien, że ani Tómas, ani Úlfur, ani Pálmi nie są zainteresowani jego zdaniem. Na pewno znali się od lat, mogli się pokłócić, pogodzić, a potem każdy szedł w swoją stronę. Ari Thór pamiętał, że jest żółtodziobem nowym w miasteczku – nowym gliną, którego nie spodziewano się długo gościć w Siglufjördur. Ari Thór przybył tutaj tylko po to, żeby zebrać trochę doświadczenia, tymczasem Tómas to długodystansowiec.

– Cześć, co tutaj robisz? – zapytała Ugła, wytrącając Ariego Thóra z zamyślenia. Nie zauważył, jak podeszła.

Milczał przez chwilę; nie był siebie pewien, chociaż nie wiedział dlaczego.

– Coś się stało – powiedział w końcu. – Wypadek... wypadek na schodach.

Mrok, który wcześniej widział w jej oczach, nagle znowu się pojawił. Spojrzała pytająco.

– Stary Hrólfulr spadł ze schodów – powiedział poważnym tonem.

– Co z nim? – zapytała natychmiast, twarz miała szarą jak popiół.

– Nie żyje. Właśnie zabrał go ambulans.

Ugła stała przez chwilę, otulona milczeniem, potem kilka łez spłynęło jej po policzkach. Podeszła bliżej i objęła go ramionami. Ari Thór zawahał się, ale odwzajemnił uścisk.

Po chwili puściła go i osuszyła oczy.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała ze szlochem, walczyła, żeby nie okazywać uczuć. – Po prostu nie mogę uwierzyć. – Szybkim ruchem otarła łzy, spróbowała się uśmiechnąć. – Był taki miły. – Zamilkła na chwilę, jakby nie była pewna, co ma zrobić.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli pójdę do domu. Nie chcę, żeby ludzie widzieli mnie w takim stanie – powiedziała w końcu i szybko się odwróciła.

– Tak, oczywiście – rzucił za nią Ari Thór. Stał zmieszany, kiedy odchodziła w ciemność.

W drzwiach pokazał się Úlfur. Najwyraźniej zawarł rozejm z Tómasem. Tuż za nim szedł Pálmi, gniewnie zmarszczony. Przechodząc, nic nie powiedzieli do Ariego Thóra. Wślizgnął się z powrotem do środka, nie patrząc w ich stronę.

– Wracamy na komisariat? – zapytał.

Tómas zerknął na zegarek.

– Skończę raport wstępny. Jak chcesz, możesz iść do domu. Zobaczymy się jutro. I tak muszę odrobić kilka nadgodzin – powiedział. W jego głosie była dziwna ulga, że czeka go dalsza praca.

Ktoś mógłby pomyśleć, że nie spieszy mu się do domu, do rodziny, pomyślał trochę zdziwiony Ari Thór. Wyszedł z teatru i poszedł do siebie.

Siglufjördur: sobota 10 stycznia 2009

Ari Thór poderwał się ze snu. Ociekał potem, nie wiedział, gdzie jest. Czuł się jak więzień własnego ciała, walczył o oddech. Usiadł, wyteżał wzrok, oddech miał krótki, urywany, próbował głęboko zaczerpnąć powietrza. Rozglądał się z przerażeniem. Widział, jak ściany się nad nim zamykają; miał ochotę głośno krzyknąć, ale wiedział, że to nie ma sensu. To było to samo miażdżące uczucie, które ogarnęło go w komisariacie w Wigilię. Wstał, spojrzął przez okno w czarną jak atrament noc. Zerknięcie na zegarek jarzący się słabo w ciemności powiedziało mu, że jest środek nocy; na dworze zaczął padać śnieg. Był we własnej sypialni w Siglufjördur. Sięgnął do okna, otworzył je, nabrał do płuc świeżego powietrza, czystego, zimnego jak lód, ale nadal się trząsał, a myśli kotłowały mu się w głowie. Musi pozbyć się tego uczucia obezwładnienia, braku kontroli. Popatrzył na łóżko, na pościel splątaną i wilgotną. Na pewno już nie zaśnie. Może powinien wyjść na dwór – z domu w noc. Ledwie ta myśl powstała mu w głowie, odrzucił ją. To by nie wystarczyło. Nie znajdzie spokoju, stojąc na ulicy, z oczami skierowanymi na gwiazdy, ze śniegiem w myślach – świadom, że każdy opadający płatek zwiększa prawdopodobieństwo, że śnieg zatrzyma go w tym obcym miejscu.

Nagle zrozumiał, dlaczego tak nagle się obudził.

Ktoś był w domu.

Zaskrzypiały deski podłogi na dole.

Nie był sam.

Obudził go dźwięk dobiegający z parteru. Serce biło mu ogłuszająco. Wiedział, że musi szybko zareagować. Musi przestać myśleć o śniegu, który przed chwilą go dławił. Ale nie był w stanie się ruszyć.

Pokręcił głową i jak najciszej zakradł się na korytarz prowadzący do schodów. Nadal był świadom, że na dole ktoś się rusza, ciche odgłosy wskazywały, że intruz nie chce przyciągać uwagi.

Ari Thór coraz bardziej miał się na baczności, zaklął cicho.

Dlaczego, do cholery, nie zamknął drzwi na klucz?

Nie trzeba było słuchać Tómasa.

Zszedł na dół, starając się robić jak najmniej kroków, pamiętał, że poluzowane deski w niektórych stopniach będą trzeszczeć, ale nie przypominał sobie które.

Zawahał się, zanim zszedł ze schodów za róg, do holu. Trochę wyżej czuł się bezpieczniejszy. Miał przewagę. Wiedział, że intruz tutaj jest, i mógł go zaskoczyć. Ale wolał nie wychodzić z za rogu, nie ujawniać się. Próbował uspokoić myśli.

Mimo wszystkich treningów i tak się bał.

Nie miał pojęcia, na kogo może się natknąć: na jedną osobę, na kilka? Pijak szukający schronienia na noc, włamywacz czy ktoś, kto chce mu zrobić coś złego?

Zadrzał na myśl o kimś, kto skrada się w ciemnościach po domu.

Cholera!

Światła były wyłączone; tylko blask latarni na dworze, dochodzący przez okienko na końcu korytarza,

pozwalał mu cokolwiek zobaczyć. Drzwi do salonu były zamknięte, wiedział, że zasłony są zaciągnięte, więc musi tam panować całkowita ciemność. Korytarz prowadził do salonu, stamtąd Ari Thór mógł przejść do kuchni, za którą był mały gabinet. Nieproszony gość mógł być w którymś z tych pokoi. Przyszedł czas: działaj lub giń.

Tak cicho, jak tylko się dało, otworzył drzwi do salonu. Drzwi, stare jak cały dom, były solidne, pomalowane na biało, ozdobione wycinanymi laubzegą ornamentami. Zawiasy oliwiono pewnie wiele lat temu.

Patrzył w ciemność i wsłuchiwał się z napięciem, ale panowała cisza. Zastygł z dłonią na klamce, czekał w napięciu na jakąś zmianę w ciszy.

Znów szelest, teraz wiadomo, że z pomieszczenia obok. Drzwi między kuchnią a salonem były zamknięte, ale nie miał wątpliwości, że ktoś tam jest. Nie zamknął za sobą drzwi do salonu, żeby wykorzystać słabe światło z korytarza, zrobił kilka ostrożnych kroków na palcach, żeby nie alarmować gościa.

Zdał sobie sprawę z błędu, kiedy był już w połowie pokoju. Stare deski były nierówne, podłoga – a właściwie cały stuletni dom – ustawiona pod kątem. Drzwi do salonu zaczęły się powoli zamykać, redukując do słabej poświaty to marne światło, którym dysponował Ari Thór. Bez ogranicznika, który utrzymałby drzwi na miejscu, zamykały się, szukając równowagi. Odwrócił się szybko, ale cicho, bez powodzenia spróbował złapać za klamkę.

Trzask, z którym w końcu drzwi się zamknęły nie był taki głośny, ale w ciszy nocy rozległ się jak uderzenie w bęben.

Cholera.

Stał bez ruchu pośrodku pokoju, mając nadzieję, że hałas nie rozniósł się daleko, ale wiedział, że było inaczej. Intruz zareagował natychmiast, teraz już nie próbował zachować się cicho, Ari Thór domyślił się, że pobiegł do drzwi wejściowych, żeby uciec najprostszą drogą.

Złapię go, muszę go złapać, pomyślał.

Ledwie ruszył z salonu, w którym teraz było zupełnie ciemno, usłyszał, jak z trzaskiem zamykają się drzwi wejściowe. Przewrócił się w ciemności, upadł mocno na stół, ostry ból szarpnął go za ramię. Był pewien, że zanim zemdleł, usłyszał udręczony krzyk gdzieś na zewnątrz.

Ugla siedziała przy fortepianie, grając starą melodyjkę, lekki kawałek z połowy ubiegłego stulecia – piosenkę, którą znała na pamięć. Hrólfur uwielbiał jej słuchać. Grała niemal bezwiednie, czekając na Ariego Thóra, który spóźniał się na lekcję fortepianu.

Nadal trudno było uwierzyć, że Hrólfur nie żyje. Wydawał się taki sprawny i zdrowy jak na swój wiek... Cholera! Mógł bardziej uważać na schodach. Nadal spotykałby się przy kawie, nadal pogłębialiby przyjaźń. Nagle przestała grać, bo przypomniała sobie kłótnię między Hrólforem a Úlfurem w teatrze. Czy źle się skończyła? Czy Hrólfora popchnięto?

Musiała przyznać, że tamtego wieczoru Hrólfur był nieźle podпиты. Zawsze próbowała go unikać, kiedy pił. Alkohol przywoływał jego ciemną stronę. Hrólfur szybko zrozumiał, że Ugla woli się z nim nie spotykać, gdy jest w takim stanie i nie zapraszał jej na kawę, jeśli nie był całkowicie trzeźwy. Chociaż potrafił być szorstki, w głębi był łagodny jak jagniątko i Ugla będzie za nim tęskniła. Nagle zaczęła myśleć o swoich sprawach. Hrólfur zawsze był jej aniołem stróżem w Towarzystwie Dramatycznym, doskonale o tym wiedziała. Co teraz? Czy nastąpi zmiana? Raczej nie będą mogli odebrać jej teraz głównej roli, ale następnym razem? Może w przyszłości prowadzenie przejmie Anna?

Úlfur rozesłał do wszystkich maila potwierdzającego, że prapremiera przeniesiona została o dwa tygodnie. Tekst był krótki, jasny, bez zbędnych słów, a nawet bez wyrazów żalu, naturalnych w takiej sytuacji.

Oczywiście, można było tylko czekać na nowy wieczór inauguracyjny. Ugla wolałaby, żeby tej przerwy nie było. Przygotowywała się do przedstawienia, jakby to był egzamin do zdania w tym tygodniu i nie wiedziała, czy zdoła wytrzymać jeszcze czternaście dni.

Spojrzała na zegar na ścianie. Nie mogła się doczekać wizyty Ariego Thóra i to nie tylko dlatego, że był jej jedynym uczniem. Lubiła jego towarzystwo, było w nim coś, co ją uspokajało. Nie mogła zaprzeczyć, że był przystojny, nawet elegancki, ale przyciągało ją coś innego, coś niewidzialnego i niewyczuwalnego. Podobał się jej, owszem. Dziewczyna z innych stron ze słabością do chłopaka z innych stron? Nie, skądże... ale... Wcześniej nie pozwalała sobie na takie rozmyślenia. Nawet nie wiedziała, czy on nie ma dziewczyny gdzieś na południu. Nie rozmawiali o takich sprawach, a on o tym nie wspominał. Przynajmniej nie miał obrączki na palcu. Musiała przyznać, że siła i ciepło jego uścisku przed teatrem po informacji o śmierci Hrólfora sprawiły jej przyjemność.

Zapukano do drzwi, aż podskoczyła, wracając do rzeczywistości. Pół godziny później, ale jednak się pojawił. Uśmiechnęła się na tę myśl. Kiedy jednak otworzyła drzwi, jej radość zastąpił szok.

– Popatrz na siebie! Co ci się stało?

Na czole miał wielki plaster, a spod drugiego plastra na łuku brwiowym wyłaniał się siniak.

Ari Thór uśmiechnął się do niej.

– Żałuję, ale nie mogę powiedzieć, że uszkodziłem się, łapiąc przestępcę – rzekł. – Nie poprosisz, żebym wszedł?

– Spóźniłeś się, ale wejdź – powiedziała ciepło, odwzajemniając uśmiech.

– Więc co ci się stało? – zapytała, kiedy usiedli, i delikatnie dotknęła jego głowy. Była zadowolona, że się nie uchylił.

– Przewróciłem się.

Wyczuła, że to nie koniec, więc siedziała spokojnie i czekała.

– Ktoś włamał się do mnie przedwczoraj wieczorem. Hm, o ile można to nazwać włamaniem, bo drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Tu, w okolicy, ludzie nie zamykają drzwi na klucz. Tak samo jest w Patreksfjörður. Złapałeś go?

– Nie – powiedział Ari Thór, wskazując na plaster. – Potknąłem się w ciemności i wylądowałem na stoliku, trochę mnie to zamoczyło. Krwawiło obficie, więc musiałem znaleźć coś, żeby zatrzymać krwotok i nie mogłem gonić tego drania. Myślałem, że tu nie ma włamań.

– Może to był ktoś spoza miasteczka? – powiedziała.

– Może.

– Potrzebne są szwy?

– Nie. Zakleiłem plastrami i wygląda na to, że będzie w porządku.

– Jesteś pewien, że to nic poważnego?

– Mam nadzieję. Obolała głowa, ale uderzyłem też ramieniem i to bardziej boli.

– Masz jakieś pojęcie, kto to był?

– Najmniejszego. Powiedziałem Tómasowi i prawdę mówiąc, nie podszedł do tego zbyt poważnie. Stwierdził tylko, że w miasteczku jest kilku ostrych pijaków, którzy czasem, jak wychylą za dużo głębszych, włączają do niewłaściwego domu. Powiedział, żebym się tym nie przejmował i że powinienem się cieszyć, że ten ktoś nie zdecydował się wleźć mi do łóżka, myśląc, że dobiera się do swojej żony!

– Ale co Tómas myśli... – zaczęła, przerwała, ale dokończyła: – Co on myśli o Hrólfurze?

– O Hrólfurze?

– Tak. Czy to był wypadek?

Zawahał się, zanim odpowiedział, a ona zrozumiała, że Ari Thór może się czuć niezręcznie, mówiąc o sprawie, w której nadal prowadzone jest śledztwo.

Odpowiedział pytaniem:

– Tak to wygląda, nie sądzisz?

– Chyba. Ale co ty o tym myślisz?

– Tómas jest pewien. Całkowicie pewien. Chce jak najszybciej zamknąć sprawę. Uważa, że to bardzo nieprzyjemne, znany pisarz po pijanemu spada ze schodów...

– Ale co ty o tym myślisz? – powtórzyła.

Ari Thór przyłożył rękę do czoła, jakby chciał złagodzić ból głowy.

– Prawdę mówiąc, nie myślałem o tym.

– Zastanawiałam się, czy to miało coś wspólnego z tą kłótnią – powiedziała.

– Z kłótnią?

– Hrólfura z Úlfurem.

– Naprawdę? Nic o tym nie wiedziałem – powiedział Ari Thór. – O co się kłócili?

– Raczej o nic... albo o wszystko. Im bliżej wieczoru, tym było gorzej. Obaj siedzieli na galerii, obaj byli źli i w paskudnych nastrojach. Hrólfur wtrącał się bardziej niż zwykle i można było poznać, że pił. To naprawdę działało Úlfurowi na nerwy. W końcu zamieniło się to w połajankę. Úlfur powiedział coś takiego, że... – przerwała na chwilę. – Zamkniesz się dopiero, jak umrzesz. Wszyscy wtedy ucichli, a parę minut później Úlfur ogłosił przerwę w próbie, przerwę na kolację, a potem... hm, kiedy wróciliśmy, Hrólfur nie żył.

– Myślisz, że...?

Nagle dotarło do niej, jak poważne jest to, co mu powiedziała.

– Nie, oczywiście, że nie. Chyba że... chyba że to było niechcący, przypadkiem – powiedziała i na

chwilę zamilkła. – Ostatni wyszedł chyba Úlfur. Kiedy wychodziliśmy z Karlem, ani na widowni ani w foyer nikogo nie było. Pamiętam, że Anna już poszła, Pálmi też, ale Úlfur jeszcze był na galerii z Hrólfurem. Musiał wyjść zaraz po mnie.

– Tak – powiedział cicho Ari Thór, unikając wzroku Ugli. – Musiał wyjść.

21

Siglufjördur: poniedziałek 12 stycznia 2009

Poniedziałek. Jeszcze nie było siódmej rano, gdy na plac Ratuszowy spadła gruba warstwa śniegu.

Úlfur Steinsson, pogrążony w myślach, wszedł na plac; w tej samej chwili z drugiej strony pojawił się Pálmi, szedł w jego stronę. Pálmi był wyższy, chudy, lekko pochylony i zmęczony, jakby niósł na plecach ciężar.

Úlfur pierwszy podniósł wzrok. Skinęli głowami, powoli, prawie jednocześnie i milcząco, jakby przypadkowe słowo o tej porze mogło obudzić całe miasteczko. Úlfur pomyślał, że powinien się zatrzymać, ale nie był w nastroju do pogawędki. Szczęśliwie Pálmi też się nie zatrzymał, każdy poszedł w swoją stronę.

Pamiętał Pálmiego sprzed lat, jako młodego człowieka. Teraz Pálmi przekroczył siedemdziesiątkę i wyglądał na starego człowieka, którym w istocie był.

Jeszcze rok, pomyślał Úlfur. Jeszcze rok i też będę miał siedemdziesiątkę. Musiał zaakceptować fakt, że wiek zaczyna dawać mu się we znaki. Widział to za każdym razem, kiedy patrzył w lustro, czuł w całym swoim ciele każdego dnia. Nawet najmniejszy wysiłek przyprawiał go o zadyszkę.

W powietrzu panował całkowity bezruch, śnieg nie padał. Úlfur jak zwykle miał na głowie czarny filcowy kapelusz zakrywający łysinę. Z rzadka, kiedy padał gęsty śnieg, zostawiał filcowy kapelusz w domu i wkładał grube nauszники i wełnianą czapkę.

Jak, do diabła, skończył tutaj, w Siglufjördur? – pomyślał.

Znał odpowiedź lepiej niż ktokolwiek. Wiedział, że odpowiedzialność za przeprowadzkę do domu w Siglufjördur, gdy przeszedł na emeryturę, spada na niego i tylko na niego. Ale w dni, kiedy najbardziej żałował tej decyzji, wolał zrzucić winę na byłą żonę.

Sonja była dwanaście lat młodszą od niego, niezwykle piękną kobietą. Była tak atrakcyjna, że nigdy nie zrozumiał, co w nim zobaczyła, w czterdziestoletnim mężczyźnie pracującym w islandzkiej ambasadzie w Szwecji. Zanim się spotkali, spędził tam cztery lata i wyrobił sobie reputację. Weekendy spędzał w nocnych klubach i był znany jako szczodry gospodarz – ekscytujący dyplomata z Islandii, z zapowiadającą się ciekawie karierą.

Ona miała zaledwie dwadzieścia osiem lat i oczarowała go, ledwie się spotkali. Mieszkanka Sztokholmu, właśnie zakończyła długi związek z ojcem swojego sześćioletniego syna, którym razem z nim się opiekowała. Nie była nazbyt macierzyńska i odkładała odpowiedź, czy powinna mieć dziecko z Úlfurem.

Dziwny Islandczyk, który tak długo zmagał się z poprawnym językiem szwedzkim, nie był w stanie nawiązać właściwych stosunków z jej synem. Czasem zastanawiał się, czy nie powinien mocniej naciskać w sprawie własnych dzieci, ale był nazbyt zajęty swoją karierą, stopniowo zbliżając się do samego szczytu.

A teraz był sam, szedł pustymi ulicami Siglufjördur i głęboko wdychał świeże, pokrzepiające poranne powietrze. W miasteczku padał gęsty śnieg, ale widok i tak zapierał dech. Wiedział, jak niebezpieczny może być śnieg na północy; oślepiające śnieżyce, ludzie, którzy czasem musieli się wykopywać z

własnych domów po ciężkich opadach, zagrożenie lawinowe. Ale w tej chwili panował spokój. Może to cisza przed burzą?

Mieszkał na Sudurgata, parę minut na piechotę od teatru w domu, który wcześniej należał do jego rodziców. Jego ojciec nie żył od dawna, zmarł w wieku dwudziestu sześciu lat, kiedy Úlfur miał tylko cztery latka. Mgliście go sobie przypominał, a wspomnienia łączyły się z morzem, ze spokojnym morzem w ładną pogodę. Ale morzu daleko było do spokoju w dzień ostatniej podróży ojca. Łódź była wielka, solidna, przetrwała wiele sztormów. Ojciec Úlfura i paru jego starych kolegów szkolnych obsadzali ją na zmianę, nieraz żeglowali prawie pod wiatr, ale zawsze docierali do domu. Aż do tego dnia, o którym ludzie mówili, że był najgorszy tamtej zimy. Łódź, którą dopadła gwałtowna burza, wreszcie z trudem dotarła do portu, posiniaczona, potrzaskana wściekłym zimowym sztormem z północnego wschodu. Brakowało dwóch członków załogi. Całe miasteczko opłakiwało mężczyzn, którzy nie wrócili, a czteroletni chłopczyk opłakiwał ojca.

Myśl pójścia w ślady ojca nigdy nie powstała Úlfurowi w głowie. Jak tylko mógł, unikał wypraw łodzią, odrzucała go praca w czymkolwiek, co miało coś wspólnego z rybami czy rybactwem. Siglufjördur nie było miejscem dla młodego człowieka, który nie potrafił docenić morskiego srebra, jak nazywano śledzie. Kiedy tylko mógł, przeprowadził się do Akureyri, najbliższego dużego miasta, ukończył koledż, a potem przeniósł się do Reykjavíku. Ale fiord, który był domem, silnie przyciągał mimo związanego z nim smutku i obecności doku, ostatniego miejsca, w którym jego ojciec stał na suchym lądzie.

Matka Úlfura po jego wyjeździe mieszkała w Siglufjördur aż do śmierci, samotna, w dużym domu; często miał poczucie winy, że ją tam zostawił. Bywało, że kiedy siedział w ciemności rozświetlanej tylko przez lampę nad podręcznikami, myślami kierował się ku matce, samotnej nad potężnym fiordem, gdzie przyroda potrafi być taka okrutna. Nigdy nie narzekała, sama zachęciła go do przeprowadzki, do znalezienia własnej drogi i wykorzystania talentów.

Talentów? Czy w pełni wykorzystał swoje talenty? Rozmyślał o tym podczas długich, codziennych spacerów po miasteczku, kiedy grzebał w przeszłości. Był w wieku, w którym dobrze byłoby usiąść i napisać coś w rodzaju pamiętników, ale kto byłby chociaż trochę zainteresowany czytaniem o jego życiu? Nie przyszło mu do głowy, żeby spisać słowa. Zamiast tego, podczas długich spacerów, wspominał i układał pamiętniki w głowie.

Odkąd przeprowadził się na północ, nie pozwolił sobie na luksus próżniactwa i napisał kilka sztuk, z których był zadowolony. Teatr go inspirował. Wyreżyserował te sztuki, a teraz został stałym reżyserem Towarzystwa Dramatycznego. Był to wyczyn, choćby i w trupie amatorów. I bezpłatna praca. Sztuka zawsze go fascynowała, chociaż w głębi duszy wiedział, co go tak oczarowało w tym stanowisku: szefował, wydawał polecenia, traktowano go z szacunkiem. Tyle lat był na stanowisku kierowniczym w służbie dyplomatycznej, że utrata tego wszystkiego była dla niego szokiem... został zwyczajnym emerytem w islandzkim miasteczku.

Towarzystwo Dramatyczne dawało mu nowy fundament, ale ambicje miał większe.

Wieczorami siadywał nad swoją najnowszą sztuką, polerował ją, udoskonalął. Marzył, że zobaczy ją na scenie za rok, kiedy będzie świętował siedemdziesiąte urodziny, zarazem jako dramaturg i reżyser. Do tej pory główną przeszkodą był Hrólfur. Úlfur pokazał mu szkic sztuki, z której był dumny, ale Hrólfur odrzucił ją po przeczytaniu zaledwie paru pierwszych stron.

„To marne, Úlfurze. Może był z ciebie dobry dyplomata, ale pisarzem nie zostaniesz. Trzymaj się tego, w czym jesteś dobry”.

To wystarczyło. Teraz, zamiast jego sztuki, mają wystawić sztukę Pálmiiego.

Ale wszystko zmieniło się po śmierci Hrólfura.

Kimże był Hrólfur, żeby go oceniać? Owszem, napisał dobrą książkę. Úlfur musiał przyznać, że bardzo dobrą. Ale Hrólfur spoczywał na laurach od dziesięcioleci. Nie pisał od lat, wykorzystywał do

maksimum swoją dawną sławę, nadal sprzedawał prawa autorskie na całym świecie i podróżował na wszystkie strony, żeby dawać wykłady. Po wojnie mieszkał w Reykjavíku, ale kiedy jego gwiazda przygasła, przeniósł się do Siglufjördur. Praktycznie rzecz biorąc, Hrólfur przeszedł na wczesną emeryturę, co z jego strony było prawdopodobnie sprytnym posunięciem. Powrót do rodzinnego miasteczka, gdzie go szanowano, gdzie wszyscy go znali i czytali jego książkę, pozwolił mu odzyskać część chwały. Nadal dawał wykłady, uczestniczył w obchodach literackich, czasem w zamian za szczodre honoraria. Nie można zaprzeczyć, że stary sprytnie rozegrał swoją karierę i pewnie udało mu się zgromadzić niezły mająteczek.

Úlfur musiał przyznać, że pod pewnymi względami będzie mu go brakowało. Hrólfur zapraszał czasem jego i Pálmiego do siebie na drinka, gdzie we trzech gawędzili do późna w nocy jak równi sobie, zapominając o wszystkich kłótniach. Z Hrólfura był jednak niezły typ, kosmopolita. Wiele było tych pamiętnych wieczorów, kiedy siedzieli w półmroku, popijali czerwone wino i słuchając opery, dyskutowali o sztuce, kulturze albo o bieżących wydarzeniach. Czasem po prostu panowała cisza, nie licząc muzycznego tła. Wszyscy trzej milkli, kiedy Jussi Björling śpiewał *Una furtiva lagrima* i panowała między nimi zgoda, że rozmowa podczas takiego popisu byłaby bliska herezji. Zazwyczaj słuchali płyt winylowych i było dla nich niespodzianką, że Hrólfur kupił odtwarzacz CD – on i technologia nigdy nie byli w dobrej komitywie. Odtwarzacz o tajemniczej proveniencji głównie stał w kącie i pokrywał się kurzem. Úlfur słyszał, że to Ugla, tajemnicza dziewczyna z Patreksfjördur, przekonała Hrólfura, żeby kupił odtwarzacz i garść dysków. Poszedł za jej radą, a Úlfur nie mógł się nadziwić, jaki to czar Ugla rzuciła na starego. Hrólfur był niezwykle zadowolony z tej dziewczyny, która kiedyś wynajmowała u niego mieszkanie w suterenie. Kontynuowali spotkania przy kawie. Całe Siglufjördur o tym wiedziało i z zainteresowaniem przyglądało się niezwyklej parze.

Úlfur był pewien, że Hrólfur za nic nie zgodzi się na jego prace dla Towarzystwa Dramatycznego. Hrólfur był łaskawszy dla Pálmiego, starego nauczyciela. Istotnie, mimo niezbyt obiecujących pierwszych prób Pálmiego, wspierał go przez cały czas. Dawał mu jedną okazję za drugą. Warto było. Styl Pálmiego poprawił się – nawet Úlfur musiał to przyznać. Nie było wątpliwości, że ten cholerny nauczyciel ma talent.

Ale to już nie był problem.

Úlfur już się zdecydował. Po cichu zaproponuje, że sam opłaci wystawienie swojej sztuki – to na pewno wystarczy, żeby przekonać Towarzystwo Dramatyczne do przedstawienia w jego siedemdziesiąte urodziny. Pieniądzy mu nie brakowało; zadbał o to podczas swojej długiej służby dyplomatycznej. Mimo skłonności do wystawnego życia, inwestował trafnie. Rozwód był drogi, ale zostało mu mnóstwo oszczędności

Ten rozwód! Mniej więcej w okolicach pięćdziesiątych urodzin Sonji podejrzenia, że coś jest nie tak, zaczęły być zbyt mocne, żeby je zignorować. Aż do tego czasu różnica wieku nie stanowiła problemu. Ona miała pięćdziesiątkę, on był ponad sześćdziesięcioletnim attachè ambasady w Oslo, szanowanym dyplomatą wysokiego szczebla, ale z paroma funtami nadwagi w talii i dawno już bezwłosym. Sonja zdumiewająco długo zachowała młodzieńczy wygląd. Wiedział, co nadchodzi, w chwili, gdy tylko wspomniała – słodkim głosem, bez śladu skrupułów – że jest coś, o czym powinni porozmawiać. Spotkała młodszego. Istotnie, znacznie młodszego, czterdziestopięciolatka z Oslo, inżyniera.

Chociaż podskórnie spodziewał się tej informacji, i tak wstrząsnęła nim nieodwołalność w jej słowach. Całe noce nie spał, po raz pierwszy od lat poszedł na chorobowe. Leżał w ciemności i próbował dociec, co zrobił nie tak.

Był z nią dobre dwadzieścia lat, chciał więcej. Czuł, że to nie będzie wieczne, ale lata upływały, a on trzymał się wątej nadziei, że jednak tak.

W końcu wzięli rozwód i Sonja przeprowadziła się do swojego norweskiego inżyniera. Úlfur został sam. Nagle się postarzał, wykonywał obowiązki siłą przyzwyczajenia i nie wychodził już naprzeciw

wyzwaniom. Czekał spokojnie, aż nadejdzie czas spoczynku.

Dwa lata później, w Siglufjördur, zmarła jego matka. Do późnej starości mieszkała w tym samym wielkim, starym domu, w którym żyła z rodziną. Úlfur wziął trzytygodniowy urlop i poleciał na Islandię, żeby zorganizować pogrzeb. Był jedynym dzieckiem, ostatnim z rodu. Niewielka była szansa, żeby teraz spłodził potomka.

Nabożeństwo pogrzebowe odbyło się w kościele w Siglufjördur, był łagodny letni dzień. Matka była lubiana, miała wielu przyjaciół. Úlfura ogarnął głęboki smutek po jej śmierci, ale w głębi duszy wiedział, że ponad sześćdziesiąt lat cierpliwie czekała, żeby po tej drugiej stronie spotkać się z jego ojcem. Ceremonia była bardzo wzruszająca. Bliska przyjaciółka matki z kościoła śpiewała, a Hrólfur zaproponował, że przeczyta piękny wiersz ze swojej książki *Na północ od wzgórz*.

Stary przyjaciel z czasów szkolnych prowadził na pół etatu handel nieruchomościami i zaproponował, że wystawi dom na sprzedaż. „Elegancki budynek w najlepszej części miasta”, głosił projekt ogłoszenia. „Doskonale nadaje się na letnią rezydencję”.

Úlfur poprosił o trochę czasu na zastanowienie i postanowił zostać w Siglufjördur do końca urlopu. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz spędził tyle czasu w rodzinnym miasteczku. Starał się jeździć do matki raz w roku, przeważnie na Boże Narodzenie, Wielkanoc albo latem i na ogół z Sonją. Przez parę lat matka ich odwiedzała, ale przestała przyjmować zaproszenia i jeździć z wizytami, kiedy zaczęło ją zawodzić zdrowie.

W starym miasteczku spędził parę dziwnych tygodni. Poczucie straty powiększało się, kiedy przebywał w domu, tęskniąc za matką i opłakując ojca. Czuł wtedy, że powinien tutaj zostać. Miasteczko miało w sobie coś, co go mocno przyciągało: morze, wysokie góry, stare domy. Zdał sobie sprawę, że tęsknił nawet za śniegiem.

Przynajmniej raz dziennie szedł do doków i patrzył na fiord. Myślał przy tym o ojcu, którego zabrało mu morze.

W świadomości, że pogodził się z fiordem i morzem, było coś z objawienia.

Przyszedł czas, żeby wrócić do domu.

Informacja znalazła się na pierwszej stronie gazety leżącej w kąciку z kawą w komisariacie. Gazeta dotarła do Siglufjördur dopiero w poniedziałek i na piśmie potwierdziła to, co wszyscy już wiedzieli: że Hrólfur nie żyje.

„Zmarł Hrólfur Kristjánsson”.

Nie było wielkiego nagłówka, tylko zamknięty w czarnych obwódkach artykuł na dole strony:

Pisarz Hrólfur Kristjánsson zmarł w Siglufjördur w piątek wieczorem w wieku pięćdziesięciu jeden lat. W 1941 roku zasłynął w całym kraju, kiedy opublikowano jego powieść *Na północ od wzgórz*. Książka oceniana jest jako jedno z najświetniejszych osiągnięć beletrystyki islandzkiej dwudziestego wieku, a jej niepowtarzalny styl rozpoczął nową szkołę pisarstwa, rewolucyjnie nowatorskie podejście do klasycznego romantycznego stylu islandzkiej dziewiętnastowiecznej powieści. Zawarte w książce poematy miłosne, w tym *Wersety dla Lindy*, pisane dla bohaterki powieści, od dawna zajmują własne miejsce w duszy narodu. Hrólfur Kristjánsson urodził się w Siglufjördur 10 sierpnia 1917 roku, w 1937 roku ukończył koledż w Reykjavíku, potem wstąpił na uniwersytet w Kopenhadze, gdzie najpierw studiował historię, a potem literaturę.

Wrócił na Islandię statkiem pasażerskim „Esja”, płynącym z Petsamo w Finlandii z dwustu pięćdziesięcioma ósmioma obywatelami Islandii na pokładzie, wkrótce po wybuchu II wojny światowej. Pisarz osiadł potem w Siglufjördur, swoim rodzinnym mieście, i mieszkał w nim do końca życia. Hrólfur Kristjánsson był wielokrotnie nagradzany za swoje dzieło. Powieść, wydana w Stanach Zjednoczonych i

Europie, uzyskiwała bardzo przychylne recenzje. Stała się bestsellerem wśród czytelników w różnych krajach. Publikował też poezje i zbiorki nowel aż do przejścia w stan spoczynku w 1974 r. W 1990 roku prezydent Islandii odznaczyła go Orderem Sokoła. Uzyskał doktoraty honoris causa na uniwersytetach zarówno na Islandii, jak i w Kopenhadze. Nie miał żony ani dzieci.

Hrólfur Kristjánsson zginął w wypadku w piątek, podczas próby amatorskiego Towarzystwa Dramatycznego w Siglufjörður, któremu przewodniczył od wielu lat.

– Dzwonił do mnie – powiedział Tómas.

Ari Thór podniósł wzrok.

– Kto?

– Ten dziennikarz do mnie dzwonił. Niewiele czasu potrzebował, żeby się dowiedzieć. Pytał, czy stary był pijany.

Tómas podrapał się po głowie i uniósł jedną gęstą brew, co nadało dziwnie dramatyczny wyraz jego twarzy. Druga brew została na swoim zwykłym miejscu.

– I co mu powiedziałaś?

– Już wiedział. Ktoś musiał mu donieść. Odmówiłem komentarza. Niech stary spoczywa w pokoju.

– Nadal jesteś pewien, że to był wypadek?

– Jestem. Nie róbmy z igły wideł. – Tómas mówił stanowczym głosem.

– Słyszałem, że w piątek się pokłócili.

– O co ci chodzi? – Tómas podejrzliwie spojrzał na Ariego Thóra.

– Nie wiedziałaś? Słyszałem, że Úlfur i Hrólfur ostro się starli.

Tómas wyglądał na zaskoczonego.

– Úlfur o tym nie wspominał – powiedział i zamyślił się. – To pewnie nic nadzwyczajnego tuż przed pierwszym przedstawieniem. Wiesz, jacy są ci artyści – za bardzo się podniecają. Mnóstwo jest takich. Przy okazji, skąd o tym wiesz?

– Wczoraj to i owo usłyszałem – powiedział Ari Thór z nadzieją, że nie będzie musiał dalej tego wyjaśniać. Wolał, żeby Tómas nie wiedział, że rozmawiał z Uglą o sprawach policyjnych. – Nie powinniśmy jeszcze trochę popytać?

– O co popytać? To był wypadek. Nie mam zamiaru wkładać kija w mrowisko – powiedział Tómas podniesionym głosem. Rąbnął pięścią w stół.

Cóż, to było jasne, a sprawa wyglądała na prawdopodobną.

– W czasie lunchu idę na salę gimnastyczną i na basen, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział Ari Thór i zobaczył, że Tómasowi ulżyło, kiedy zmienił temat.

– Świetnie. Idź.

„Zachować ostrożność. Nie biegać”.

„Głęboko”. „Płytko”.

Ari Thór po raz setny przeczytał napisy na ścianie, schodząc po schodach z szatni na basen. Kusiło go, żeby zanurkować i sprawdzić, jak ramię sprawuje się po kontuzji, ale przeszedł obok basenu i wyszedł na świeże powietrze, gdzie wanny z gorącą wodą otoczone były wysokim drewnianym płotem. Było przenikliwie zimno, powietrze stało nieruchome, jakby wstrzymywało oddech. Śnieg nie padał, a słońce świeciło nieprzyjemnie ostro, odbijając się od pokrytego szronem krajobrazu. Ari Thór dygotał i mrużył oczy, idąc ku wannom.

Úlfur już tam był, tak jak Ari Thór podejrzewał.

Ari Thór był już kilka razy na basenie – zazwyczaj podczas przerwy na lunch, kiedy na jego dyżurze

panował spokój. Zanurzenie się w gorącej wodzie relaksowało mięśnie, więc spokojnie zanurzał się w wodzie i rozmyślaniach. W przeszłości Úlfur często kąpał się około południa, ale nie rozmawiali z sobą – milczeli z wzajemnego szacunku. To miało się zmienić. Oczywiście, Tómas miał prawo zdecydować, czy należy prowadzić śledztwo w sprawie incydentu w Towarzystwie Dramatycznym, ale nie mógł zabronić Ariemu Thórowi rozmawiania o tym.

W wannach z gorącą wodą byli tylko oni dwaj.

– Nie rozumiem – zaczął Ari Thór – dlaczego w tak pięknym miejscu nie ma basenu pod gołym niebem, z widokiem na fiord. Naprawdę szkoda, że basen jest zadaszony.

– Słucham? – zapytał przestraszony Úlfur.

– Dzień dobry. Mam na imię Ari Thór. Spotkaliśmy się w piątek.

Úlfur pociągnął nosem.

– Tak, hm. Chyba tak – powiedział. – Wielebny, prawda? – dodał ściszym głosem.

– Zgadza się – powiedział Ari Thór, puszczając to słowo mimo uszu. – Nie sądzi pan?

– Że co? Basen?

Ari Thór kiwnął głową.

– Właściwie to nie. Doskonale pamiętam, jak tutaj był basen pod gołym niebem, dawno temu. – Wyraz twarzy Úlfura i zmęczone spojrzenie mówiły, że miał na myśli dawne, dobre czasy. – Wcale nie było fajnie, jak zimą padał śnieg, uwierz mi. Co to była za ulga, kiedy wreszcie pokryli go dachem.

Lody przełamane, Ari Thór zmierzał prosto do celu.

– Słyszałem, że premiera została odłożona.

– Tak, nie było wyboru. Musieliśmy ją odłożyć, odbędzie się po pogrzebie.

– Pan dobrze znał Hrólfura?

– Całkiem nieźle. On był z innego pokolenia, chociaż z wiekiem podziały zaczęły się zacierać – powiedział z uśmiechem Úlfur. – Obaj należeliśmy do klubu emerytów.

– Biedny stary, żeby tak spaść ze schodów.

Úlfur skinął głową i popatrzył w niebo.

– Znosi się na śnieg – powiedział.

– Musiał pan być jednym z ostatnich ludzi, którzy z nim rozmawiali – stwierdził Ari Thór, starając się, żeby jego słowa zabrzmiały niedbale.

Úlfur chyba tak je przyjął i odpowiedział bez zastanowienia:

– To bardziej niż prawdopodobne... podczas próby wnieśliśmy kilka małych poprawek do scenariusza. Czasem trzeba tak zrobić, chociaż to irytujące, zmiany na ostatnią chwilę. Kiedy inni już poszli na kolację, omawialiśmy te poprawki. Przedstawił jak zwykle bardzo trafne uwagi. Z pewnością był zdrów jak ryba. – Po tych słowach Úlfur przerwał. – Przepraszam, to było niesmaczne.

– Ale razem pracowało wam się dobrze, prawda?

– Owszem, nieźle – odparł Úlfur i znów spojrzął w niebo, jakby czekał, aż spadną pierwsze w tym dniu płatki śniegu.

Przyszła młoda kobieta i dołączyła do nich, wchodząc do wanny. Nie odezwała się słowem do Úlfura ani do Ariego Thóra.

Ari Thór chciał zapytać, czy Hrólfur był bardzo pijany, ale takimi słowami mógł napytać sobie biedy. To byłby zbyt smakowity kąsek dla rozplotkowanej społeczności, w miasteczku, w którym niewiele się działo. Kobieta, która do nich dołączyła, była prawie na pewno miejscowa, nie wyglądała na turystkę – o tej porze roku, kiedy miasteczko było otulone śniegiem i ciemnością, a drogi śmiertelnie niebezpieczne, niewielu gości przyjeżdżało w te okolice. Prognoza pogody też była marna, Ari Thór usłyszał to przypadkiem. Przestał zwracać uwagę na prognozy pogody, kiedy przeprowadził się na północ, bo perspektywa niepogody była tu codziennością.

– Nie miał łatwego charakteru? – dociekał Ari Thór.

– Cóż, hm, jak kiedy. Jak kiedy – powtórzył Úlfur i popatrzył w niebo.

Ari Thór nie mógł się oprzeć pokusie.

– Słyszałem, że w piątek się pokłóciliście – powiedział.

Úlfura nie zmylił swobodny ton Ariego Thóra.

– Coś ty, do cholery, chciał przez to powiedzieć? – zapytał i wstał, jakby chciał odejść. Zaczęły padać pierwsze płatki śniegu. – Czy to jakieś cholerne przesłuchanie?

Ari Thór nic nie powiedział, uśmiechnął się i spojrzał na młodą kobietę, żeby uniknąć wzroku Úlfura. Nie zmieniła wyrazu twarzy i było jasne, że przyszła wziąć gorącą kąpiel i nie chce wdawać się w cudze kłótnie.

Zanim Ari Thór zdążył odwrócić wzrok, Úlfura już nie było, a śnieg opadał jak gęsta biała ciemność. Ari Thór głęboko zaczerpnął powietrza, próbując odgonić zbliżający się atak klaustrofobii.

Siglufjördur: poniedziałek 12 stycznia 2009

Pálmi Pálmason był zadowolony, że Úlfur ograniczył powitanie do skinięcia głową, kiedy wczesnym rankiem spotkali się na placu Ratuszowym. Pálmi szedł przez plac do nabrzeża. To był jego codzienny poranny spacer. Nabrał tego zwyczaju, odkąd przed trzema laty jako nauczyciel przeszedł na emeryturę, kiedy to koledzy i uczniowie urządzili mu święto w jego ostatni dzień pracy, żeby życzyć mu wszystkiego najlepszego na nowym etapie życia. To było w piątek, w ostatni dzień semestru, kiedy praktycznie na całej Islandii zapanowała wiosna. Poza Siglufjördur, z jego górami o białych stokach. Śniegu było dość, żeby domyślać się, że do lata jeszcze daleko, ale za mało, żeby jeździć na nartach. Pálmi nadal był zapalonym narciarzem, mimo że miał już siedemdziesiąt trzy lata.

Siedemdziesiąt trzy. Z trudem w to wierzył. Zdrowie miał doskonałe, a przyjaciele i znajomi nieustannie mówili, jak młodo wygląda. „Pálmi, wyglądasz najwyżej na sześćdziesiątkę. Jak ty to robisz?” Oczywiście wiedział, że to kłamstwo. Włosy mu posiwiały, ale to tylko dodawało mu dostojeństwa. Spojrzenie w lustro mówiło jednak, że oddalił się bardzo od młodości; na wychudzonej twarzy pojawiły się żyłki, policzki się zapadły. Jego matka dożyła zaledwie sześćdziesięciu siedmiu lat, zanim uległa nagłemu zawałowi. Kiedy Pálmi był młodszy, często bał się, że pójdzie tą samą drogą, ale już dawno dał sobie spokój z tymi obawami. Zanim matka umarła, w 1983 roku, uczył już od wielu lat w miejscowej podstawówce. Matka mieszkała w starym mieszkaniu niedaleko placu i uparcie odmawiała przeprowadzenia się do niego, do domu z widokiem na fiord, który kupił na Hvanneyrarbraut. Sam mieszkał tam do dzisiaj. Dom znajdował się znacznie bliżej placu i teatru, w miłym miejscu – prawie na brzegu, gdzie nic nie zasłaniało widoku morza.

Te silne geny musiały pochodzić ze strony ojca, chociaż ojciec żył krótko, zmogła go gruźlica, kiedy miał dwadzieścia cztery lata. Pálmi zawsze czuł silny związek z ojcem, którego nie znalazł. Zostało kilka zdjęć przedstawiających ich dwóch razem, zrobionych w 1936 i 1937 roku, na krótko przed tym, jak ojciec zostawił rodzinę i wyjechał do Danii robić pieniądze. Pálmi miał wtedy zaledwie roczek. Został z matką w Siglufjördur, ale nigdy nie wyczuł u niej gorczy. Kiedyś usłyszał, jak mówi, że mąż potrzebuje wolności. Jego własne gorące uczucia do dawno zmarłego ojca wyrastały nieświadomie z jej pozytywnego stosunku do niego, bo przecież kochała męża, przynajmniej przez jakiś czas.

Nie było jej łatwo samej, pozostawionej z małym dzieckiem, w odległej mieścinie na północy w ciężkich kryzysowych latach. Jak wielu innych, ojciec zaraził się w Danii gruźlicą i umarł w bardzo młodym wieku, zaledwie rok po opuszczeniu Islandii.

Pálmiego lubiono w szkole podstawowej. Był sumiennym nauczycielem, a lato spędzał na wędrownościach po wzgórzach i górskich łańcuchach. Za granicą był tylko trzy razy, za każdym razem na szkolnych wycieczkach z uczniami. Nigdy go nie kusiło odkrywanie szerokiego świata, uważał, że odziedziczył to z genami matki. Zawsze była ostrożna, nie żyła ponad stan, cierpliwie liczyła pensy. Po jej śmierci Pálmi był zdumiony, kiedy stwierdził, że pozostawiona przez nią nieruchomość ledwie wystarczy na koszt pogrzebu.

Zawsze był samotnikiem, dobrym, szanowanym nauczycielem, ale z trudem zdobywał przyjaźnie poza

miejszem pracy. W jego życiu były też romanse, które wysoko cenił, ale teraz było już na nie za późno. Czyżby? Może to jego wina, że się wahał, nie rzucał się na okazję, kiedy go przyzywała. W młodości bywał zakochany, ale pozwalał szansie, żeby mu się wymknęła, nie śmiał ryzykować. Do tej pory wspominał to z żalem, żyjąc dniem dzisiejszym. Miał praktyczną naturę i nauczył się nie oglądać za siebie, bo to zazwyczaj niosło z sobą zbyt wiele bólu.

Od przejścia na emeryturę poświęcił się pisaniu. Budził się wcześniej każdego dnia, na długo zanim reszta miasteczka rozsunała zasłony i z wyrobionego przyzwyczajenia pisał w swoim gabinecie z widokiem na fiord. Po kolacji, wieczorami znowu zasiadał do komputera na godzinę albo dłużej. Zimą, kiedy wcześniej przychodziła noc, zapalał świece i ustawiał je na oknie w starych słoikach po dżemie. Siedząc przed komputerem patrzył w ciemność przez gorące powietrze unoszące się nad świecami, na morze i kawałek ziemi po drugiej stronie fiordu.

Pisanie książki szło mu dobrze, a oprócz swojego największego dzieła napisał już trzy sztuki. Sztuki szły mu łatwo, były przeciwwagą do jego pracy nad powieścią. Pierwsza była prawie farsą, druga okazała się trochę bardziej poważna; trzecia, którą uważał za najlepszą, to był prawdziwy dramat, z lepszymi momentami wplecionymi zręcznie w scenariusz. To był teatr, jakiego chcieli ludzie, coś, co pozwalało śmiać się i płakać. Właśnie tę nową sztukę Towarzystwo Dramatyczne zamierzało wystawić w sobotę.

Stał na nabrzeżu i patrzył przez fiord w stronę lądu.

Jego duńscy goście nadal spali, stara i jej syn. Po jakiego diabła przyjechała? Osiedliła się w jego suterenie – dziewięćdziesięcioletnia baba pielgrzymująca na Islandię i wlokący się za nią syn. Poprosiła Pálmię o gościnę tylko dlatego, że знаła jego ojca z czasów, gdy przebywał w Danii.

– Chciałam skorzystać z okazji i odwiedzić Siglufjörður. Twój ojciec zawsze mówił z taką miłością o tym miasteczku – powiedziała przez telefon w zrozumiałym duńskim. Po dziesięcioleciach nauczania tego języka Pálmi świetnie mówił po duńsku. Ostrzegł ją, że o tej porze roku pogoda może być nieprzewidywalna i że nie ma gwarancji, czy da radę dotrzeć do Siglufjörður, nie mówiąc o tym, jak stąd wyjedzie.

– Wszystko jedno, muszę spróbować. Tak bardzo chcę przed śmiercią zobaczyć fiord na własne oczy. Na Nowy Rok zatrzymam się w Reykjavíku, bo chcę zobaczyć fajerwerki – dodała z nieomal dziecinny podnieceniem. – Moglibyśmy zamieszkać u ciebie na parę dni po Nowym Roku, jeśli pogoda będzie do wytrzymania?

Jak mógł odmówić?

Przed nim cały tydzień. Mieli zamiar wrócić na południe w najbliższy poniedziałek. Cały tydzień.

Nadal nie było wiatru, ale Pálmi wiedział, że sztorm nadejdzie nieuchronnie.

Siglufjördur: wtorek 13 stycznia 2009

Informacja rozeszła się jak pierwszy zimowy przymrozek.

Prawie wszyscy zdążyli już usłyszeć, że Úlfura przesłuchiowano w łaźni przy basenie i plotka rozrastała się w miarę powtarzania. Kiedy Ari Thór usłyszał ją od Tómasa, była rozdęta nie do poznania, chociaż musiał przyznać, że tkwiło w niej ziarno prawdy. Fundament historii był prawdziwy, naprawdę pytał Úlfura o kolejność wydarzeń w Towarzystwie Dramatycznym.

Było oczywiste, że Tómas jest zły na Ariego Thóra i nawet Hlynur nie skorzystał z okazji, żeby podowcipkować. Uznali, że w akcie nieposłuszeństwa nie ma niczego śmiesznego, a tak zaczęto podchodzić do tej sprawy.

– Sprawa jest zamknięta – powiedział Tómas stanowczym tonem. – To był wypadek i tyle. Wydaje mi się, że wtedy całkiem jasno to przedstawiłem.

Ari Thór pokiwał głową.

– Jeszcze raz wyjdiesz przed orkiestrę i jesteś tutaj skończony.

Atmosfera w komisariacie stała się ciężka. Nie było sensu otwierać okna przy wietrze stukającym dachówkami, nadal padającym śniegu i temperaturze dobrze poniżej zera. Przez ostatnie kilka nocy Ari Thór źle sypiał. Włamanie nadal go prześladowało, ale przede wszystkim bał się, że obudzi się w środku nocy i nie będzie w stanie oddychać.

– Ludzie są wystraszeni – powiedział nagle Hlynur. – Tak mi się wydaje.

– To znaczy? – zapytał Tómas, odwracając się do niego.

– Hm, zdaje się myślać, że prowadzimy śledztwo w sprawie... w sprawie... w sprawie incydentu w Towarzystwie Dramatycznym i prowadzimy je jako... – Hlynur przerwał. – Jako dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Nie pomagasz mi, pomyślał Ari Thór.

Gniewnie popatrzył na Hlynura, ale to nie poskutkowało. Hlynur nie trzymał strony Ariego Thóra, chociaż obaj byli podwładnymi Tómasa. Ari Thór był nowym policjantem, który pewnie długo tu nie zabawi.

– Myślisz, że ludzie są wystraszeni? – zapytał Tómas, patrząc przenikliwie na Hlynura.

– Tak mi się wydaje, a parę osób nawet o tym wspomniało. Morderstwo w małej społeczności, szczególnie w takim czasie, w środku zimy... w tym jest coś niepokojącego – powiedział Hlynur, robiąc minę waśniaka. – Wyobraźnia ludzka może na tym daleko popłynąć.

– Do wszystkich diabłów – wymruczał Tómas.

Ari Thór pokiwał głową.

Do wszystkich diabłów.

Ledwie skorzystał z okazji, a już narobił niezłego bigosu. Jego pierwszy etat i wszystko szło jak najgorzej.

Do wszystkich diabłów!

Żółtodziób, świeżo po akademii policyjnej, zapłacił cenę za to, że zaufał instynktowi przy całkowitym

braku doświadczenia, które mogło go wesprzeć. Pozwolił tej młodej kobiecie, Ugli, obudzić w sobie podejrzenia co do udziału Úlfura w śmierci Hrólfa.

W ciągu dnia pogoda się poprawiła i Ari Thór, po drodze do domu, brodząc przez śniegowe zasy, wpadł do sklepiu rybnego przy placu Ratuszowym.

Ludzi na ulicy było więcej niż zazwyczaj, korzystali z okazji, że można zaczerpnąć świeżego powietrza i pospiesznie robili zakupy, zanim śnieg znów zasypie ulice i nie będzie można przejść.

– Dwa filety z łupacza – powiedział mężczyzna przed nim.

Ari Thór natychmiast go rozpoznał: spotkał go przed teatrem w wieczór śmiertelnego wypadku Hrólfa. Był to Karl, członek Towarzystwa Dramatycznego. Sprawiał wrażenie porządnego człowieka.

Mężczyzna za ladą podał Karlowi paczkę z łupaczem. Karl wyciągnął z kieszeni banknot, wyrzucając przy tym grosik, który zignorował.

Ari Thór podniósł go i poklepał Karla po ramieniu.

– Proszę uważać na drobne – powiedział, wręczając mu monetę.

– Cześć. Ari Thór, prawda?

– To ja. Cześć, cześć. – Chciał skorzystać z okazji, żeby zapytać o piątkowy wieczór, ale jednocześnie wiedział, że lepiej tego nie robić. Nawet najbardziej niewinna rozmowa może zmienić się w paskudną plotkę, która szybko się rozejdzie. Nauczyło go tego przykre doświadczenie.

– Jak ci się podoba w Siglufjördur? – zapytał Karl.

– Jest w porządku, dziękuję.

Odpowiedź chyba niezupełnie szczerą, ale nie był to czas, żeby obnażać duszę.

Karl uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Przyzwyczaiłeś się.

– Od dawna tutaj mieszkasz?

– Tutaj się urodziłem i wychowałem, ale wróciłem niedawno. Nie ma lepszego miejsca do życia.

Ari Thór znalazł słowa, których szukał: godny zaufania.

– Słyszałem, że podejrzewasz w śmierci Hrólfa morderstwo – powiedział głośnym szeptem Karl. – Zamordowano go?

– Czym mogę służyć? – zapytał sprzedawca ryb, patrząc dobrodusznie na Ariego Thóra.

– Nie. To był tylko wypadek – powiedział do Karla.

Tylko wypadek.

Karl nie miał ochoty wracać do rodzinnego Siglufjördur i niespecjalnie lubił to miasteczko. Ale kiedy mieszkanie w Kópavogur sprzedano im, a windykatorzy nie przestawali łomotać do ich drzwi, dla niego i dla Lindy sprawa stała się oczywista. Windykatorzy, brutalni, bezwzględni, przychodzili po jego hazardowe długi i nie mieli ochoty odchodzić z pustymi rękami. Kiedy nic nie dostawali, ich wizyty zazwyczaj kończyły się biciem.

Nie bardzo mogli nastraszyć Karla, ale próg bólu miał niski, tak niski, że właściwie w ogóle go nie było. Decyzja o przeprowadzce na północ została podjęta pewnego wieczoru po niespodziewanej wizycie właśnie takiego windykatora. Wizycie, która źle się skończyła. Karl wiedział, że nie może ufać szczęściu ani własnej sile i zdawał sobie sprawę, że następnym razem przyjdzie ich dwóch i że będą uzbrojeni. Domyślał się, że raczej nie pojedą za nim do Siglufjördur, ale na wszelki wypadek nie zarejestrował swojego nowego miejsca zamieszkania. Dług nie był taki znów wysoki, jakieś pół miliona koron, a często miewał większe długi.

Obiecał Lindzie, że przestanie uprawiać hazard. Nic dziwnego, że wyszła z siebie, kiedy usłyszała o regularnych, odbywanych co środę wieczorach pokerowych. Z trudem się uspokoiła, kiedy zapewnił ją, że grywają tylko o piwo i pieniądze z monopoli. Piwo, i w ogóle alkohol, nigdy nie stanowiły problemu.

To hazard był piętą achillesową.

Miło było spotkać starych kumpli ze szkoły; niewielu z jego klasy zostało w miasteczku. Schodzili się raz w tygodniu, popołudniami, w domu tego, który się nie ożenił. Tam grali w pokera. To było odświeżające, świetnie się przy tym relaksowali i tylko tyle.

Linda nie miała pojęcia o innym klubie pokerowym, który spotykał się co jakiś czas. Tutaj grano o prawdziwe pieniądze. Zazwyczaj o poważne sumy. Karl pojawiał się zawsze, kiedy miał czym grać; czasem przychodził z pustymi rękami, z nadzieją, że dopuszczą go do stołu. Czasem ktoś pożyczał mu, żeby mógł zagrać – a czasem nie. Nic na to nie mógł poradzić, ciągnęło go. To był ten sam zew, który doprowadził go do upadku.

Poznali się z Lindą przed piętnastu laty w Danii, gdzie mieszkali razem dziesięć lat, zanim przeprowadzili się na Islandię. Jej ojciec był Duńczykiem, matka Islandką, a sama Linda wychowywała się na Islandii do dwunastego roku życia, kiedy to rodzina przeprowadziła się do Danii. Karl więcej czasu spędził w Islandii; miał siedemnaście lat, kiedy latem 1983 roku jego rodzice postanowili przeprowadzić się z Siglufjördur do Danii. Mieszkali w obskurnym mieszkaniu na przedmieściach Kopenhagi. Wreszcie Karl wyniósł się do Århus, gdzie po raz pierwszy spotkał Lindę.

Między Karlem a jego rodzicami nie było raczej wspólnego języka. Byli tacy stereotypowi, tacy konserwatywni i tak go uwielbiali. Nie znosił ich wylewnej, duszącej miłości, więc wyprowadził się, jak tylko dostał propozycję pracy w Århus, z której miał mieć jakieś pieniądze. Chwycił z radością tę okazję i zostawił rodziców w małym kopenhaskim mieszkanku.

Linda była dla Karla uśmiechem losu. Jej rodzice rozwiedli się, a w czasie całego tego zamieszania wpadła w ramiona Karla. W przeciwieństwie do niego ukończyła koledż i zaczęła się przygotowywać do pracy pielęgniarki. To utrzymywało ich na powierzchni, bo w Danii, w Reykjavíku, a teraz w Siglufjördur zawsze znajdowała pracę w szpitalach, podczas gdy Karl był bezrobotny, odkąd przeprowadzili się na północ. Miał mnóstwo czasu tamtego lata i jesieni, żeby wyremontować małą łódź rybacką, zarezerwowaną dla szkoły podstawowej. Stary znajomy powiedział mu, że szkoła poszukuje ochotnika – złotej rączki – który zajmie się renowacją. Karl nie wahał się ani chwili. Zawsze się starał, cokolwiek się działo w jego życiu, robić coś z dziećmi albo dla dzieci. W Danii często podejmował się prac społecznych. Nie bardzo rozumiał, dlaczego tak go do dzieci ciągnie, może tylko chciał, żeby jak najdłużej zachowały niewinność. Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że pewnego dnia mógłby mieć własne dzieci.

Poza robotą przy łodzi podejmował się dorywczo prac fizycznych, kiedy mu je proponowano. Każdy grosz z tego lądował w końcu na karcianym stole.

Z dala od karcianego stolika był jak samochód na niskim biegu. Pełnię życia czuł dopiero, kiedy miał karty w ręku, jakby zatankowano go wysokooktanową benzyną. Czuł, jak krew krąży mu w żyłach. Nic innego się nie liczyło, ani Linda, ani nawet to, czy wygra, czy przegra. To ta wstrzymująca bicie serca brawura, która nieodmiennie przyciągała go tutaj, chociaż po przegranej miał następnego dnia poczucie winy. Gorzej było zostać z długiem. Te nawyki tak wrosły w jego naturę, w jego styl życia, że już nie groziła mu bezsenność z powodu długów. Stały się one natomiast praktycznym problemem, który należało rozwiązać, zanim będzie można zająć miejsce przy karcianym stoliku.

Czasem się zastanawiał, co przyszłość chowa w zanadrzu. Linda nie mogła się doczekać, kiedy się wyprowadzą, ale on był zadowolony, że mieszka w miasteczku, w którym dorastał, gdzie miał przyjaciół i znajomych. Stał się nawet gwiazdą miejscowej sceny, do diabła.

Kiedy otworzył drzwi do ich mieszkania na Thormóðsgata, dom wydawał się pusty. Zajrzał do salonu. Nikogo.

Salon był zagracony, po meblach widać było ich wiek. Stała tam obdarta żółta kanapa z paroma haftowanymi poduszkami, mały stoliczek, stary regał na książki, ściana była obwieszona małymi talerzykami we wszystkich kolorach tęczy, a nad kanapą wisiał obraz przedstawiający duński krajobraz.

Mały telewizor stał naprzeciwko zniszczonego, starego skórzanego fotela, obok był drewniany stolik, a na nim stary wazon z lat sześćdziesiątych, rodzinna pamiątka Lindy.

W sypialni Karl włączył światło. Linda spała na podniszczonym łóżku, pochodzącym pewnie z lat siedemdziesiątych. Dostali je razem z wynajętym mieszkaniem i oleodrukiem Jezusa spoglądającego ze swojego miejsca na ścianie, nad głową łóżka. Po obu stronach łóżka stały lampki nocne, prawdopodobnie równie stare jak samo łóżko. Światło obudziło Lindę, poruszyła się, przetarła oczy.

– Wstawaj, śpiochu. Kupiłem łupacza na kolację.

Siglufjördur: środa 14 stycznia 2009

Chłopcykowi pozwolono po kolacji wyjść na dwór i pobawić się w śniegu, świeżym, cudownym śniegu, krainie cudów, w której może się zdarzyć wszystko. Sypać przestało około kolacji i matka wreszcie pozwoliła mu wyjść.

Kotka z dzwonkiem na szyi wykradła się w wieczorną ciszę i skusiła chłopca, żeby poszedł za nią do sąsiedniego ogródka. Robiła koci grzbiet i mruczała, prowadząc go wzdłuż zlodowaciałej miedzy do drugiego ogródka. Wiedział, gdzie może się przemknąć między drzewami i potem znaleźć drogę powrotną.

Uwielbiał śnieg; miał go we krwi. Ciemność była wygodna i bezpieczna.

Widok anioła, pięknego anioła na śniegu, nie przstraszył go. Znał tę kobietę, tak często bawił się w jej ogródku, że nawet zapamiętał jej imię. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego ona leży tak nieruchomo i dlaczego nie ma bluzki. W jego oczach czerwony jak krew śnieg tworzący aureolę wokół niej był piękną, żywą ozdobą perłowośnieżnego ogródka.

Nie chciał jej przeszkadzać, rzucił ostatnie spojrzenie na ten cudowny widok i wrócił do domu. Po drodze zatrzymał się tylko raz, żeby ulepić śnieżkę.

Karl odstawił szklanekę piwa. Stare przyzwyczajenie zrodzone z doświadczenia mówiło, żeby karty trzymać blisko piersi; nikomu nie można ufać. Sześć pików i siedem trefli w rozdaniu, plus czwórka, ósemka i walet na stole oznaczały, że wchodzi i że ma szansę. Okrągły stolik, przy którym siedzieli, pokryty był zielonym materiałem, na brzegu stała miska z chrupkami. Napięcie było wyczuwalne.

Jego starzy kumple ze szkoły patrzyli uważnie, czekali, aż wyjdzie. To nie była trudna decyzja – grali tylko o pieniądze z monopoli. Gdzieś z tyłu głowy krążyły mu myśli o prawdziwej grze. To było paliwo prawdziwego podniecenia. Ta gra to dziecinna zabawa. Może w następny weekend? Tyle że był splukany do zera i już był winien koledze parę tysiąków.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy postanowił zostać w grze. Popatrzył na numer, ale nie rozpoznał go. Odpowiedział, bo połączenie było lokalne, z aparatu stacjonarnego. Zazwyczaj unikał nieznanymi numerów, wolał nie wdawać się niechcący w rozmowy z windykatorami z południa.

– Karl?

Głos kobiety, młodej kobiety, ale nie potrafił go zidentyfikować.

– To ja.

Przedstawiła się jako dawna koleżanka ze szkoły, mieszkająca niedaleko niego i Lindy.

– Słuchaj... mój synek, Gunni, właśnie chodził po twoim ogródku. – Zawahała się, jakby szukała odpowiednich słów. – Próbowałam dodzwonić się pod twój numer domowy, ale nikt nie odbiera. Powiedział, że widział Lindę w ogrodzie. Naga. – Roześmiała się niepewnie. – Te dzieciaki. Mówią takie głupstwa... ale to jest dziwne. Chciałam tylko upewnić się, czy wszystko w porządku.

– O ile wiem, to tak – powiedział Karl. – Sprawdzę. Dziękuję za telefon.

Bez zbędnych słów skończył połączenie, wstał i położył karty na stole.

– Przepraszam, chłopaki. Muszę skoczyć do domu. Wróćcie niedługo.

Zdjął kurtkę z oparcia krzesła i wyszedł na zimno. Znowu zaczął padać śnieg, tak gęsty, że prawie nic nie widział.

Ambulans dotarł na miejsce na chwilę przed policyjnym dżipem. Ari Thór i Tómas byli na służbie. Zdążył zapomnieć o sprzeczce dotyczącej Hrólfa, kiedy Karl zadzwonił pod numer alarmowy. Teraz stał przy tylnych drzwiach domu w czarnych dżinsach i ciemnoniebieskim swetrze. Jego kurtka leżała na śniegu, a sanitariusze kucali przy nieruchomym ciele, szukając pulsu. Wyglądało na to, że nie da się zidentyfikować odcisków stóp. Wszystko, co mogło być przydatne, dawno pokrył świeży śnieg. Zarówno załoga ambulansu, jak i Karl zdeptali miejsce zdarzenia.

Leżała w śniegu, blada, wargi miała niebieskie, oczy zamknięte. Ari Thór dotąd nie spotkał Lindy Christensen, żony Karla. Wyglądała niepokojąco spokojnie. Karl stał obok; Ari Thór poczuł przypływ współczucia dla tego miłego człowieka, z którym tak przyjemnie mu się rozmawiało poprzedniego dnia w sklepie rybnym.

Ramiona Lindy były rozciągnięte, na śniegu zgromadziła się kałuża krwi. Za dużo było tej krwi. Ariego Thóra ogarnął gniew, próbował opanować oddech. Nie jest dobrze, kiedy przyjmuje się sprawy zbyt osobiście. Wiedział, że musi utrzymać rozpacz i gniew pod kontrolą, żeby nie zakłócały mu zdrowego rozsądku.

Kto zrobił coś takiego? Kto zostawia człowieka na śmierć w śniegu i własnej krwi?

Był prawie pewien, że kobieta jest martwa. Na jej piersi było nacięcie, płytkie, ale niepokojące na tle bladego torsu. Głębsza rana widniała na ramieniu. To wyglądało poważniej, stąd wzięła się purpurowa plama rozlana wokół niej na śniegu.

Obrażenia obronne?

Bronń?

Nóż?

Ari Thór rozejrzał się, zobaczył, że Tómas też chyba szuka broni, ale w galimatiasie odcisków stóp, przy ciągle padającym śniegu, niczego nie było widać.

– Mamy wezwać zespół techników z Reykjavíku?

Ariego Thóra wyszkolono tylko w podstawowych procedurach miejsca zbrodni, w gruncie rzeczy tyle, żeby wiedzieć, czego nie robić i jak unikać zniszczenia dowodów. Ale to nie było zwyczajne miejsce zbrodni. Przede wszystkim próby uratowania życia młodej kobiety – o ile jeszcze żyła – miały pierwszeństwo. Poza tym zadymka jeszcze bardziej wszystko utrudniała.

– To chyba nie ma sensu – powiedział Tómas. Na jego twarzy widać było głębokie bruzdy wywołane niepokojem. – Ale musimy natychmiast wezwać Hlynura. Musi obejrzeć miejsce zbrodni. I w mieszkaniu, jeśli tam ją zaatakowano, i tutaj. Zrób tyle zdjęć, ile się da, póki jeszcze cokolwiek widać w śniegu.

Ari Thór skinął głową. Hlynur powinien wkrótce się zjawić, nieprawdopodobne, żeby przy takiej pogodzie wyjechał z miasta; właściwie praktycznie niemożliwe.

Przyglądali się załodze ambulansu, czekając na to, co się stanie. Ari Thór wyjął aparat z kieszeni i robił zdjęcia.

Tómas zbliżył się do Ariego Thóra i powiedział cicho, głosem przytłumionym dodatkowo przez gęsto padający śnieg, bo pogoda pogarszała się z minuty na minutę.

– Musimy poprosić Karla, żeby z nami pojechał.

– Poprosić?

Czy zatrzymać go?

– Grzecznie poprosić. Musimy mieć jego zeznanie. O ile wiem, nie zawsze... – przerwał. – Nie zawsze żyli w zgodzie.

Ariego Thóra zaskoczyły te słowa, podszedł bliżej.

– Tętno! – krzyknął sanitariusz.

Ari Thór wzdrygnął się z zaskoczenia i podszedł bliżej.

– Mamy tętno! – krzyknął sanitariusz.

Sanitariusze położyli Lindę na noszach. Przykryli ją kocem, wąskie nacięcie na piersi i głębsze na ramieniu były teraz niewidoczne. Nieruchome ciało na śniegu kojarzyło się Ariemu Thórowi artystycznie, było niemal piękne, ale teraz wróciła rzeczywistość. Ari Thór przypomniał sobie, że to tylko nieszczęsna kobieta, walcząca o życie.

– Żyje? – zapytał zaskoczony.

– Tak, chociaż puls jest bardzo słaby. Żyje.

Siglufjördur: środa 14 stycznia 2009

Musisz pójść z nami. Chcemy, żebyś złożył zeznanie.

Tómas mówił wyważonym tonem, starał się być uprzejmy. Karl stał bez ruchu, patrząc, jak nosze z Lindą są wkładane do ambulansu.

– Oczywiście. Idę.

– Można prosić o klucz do twojego mieszkania? Musimy sprawdzić, co tam się działo.

Karl kiwnął głową.

– Nie jest zamknięte. Nie ma czego oglądać. Dopiero co sprawdzałem, czy tam nikogo nie ma.

– Usiądź w samochodzie. – Ari Thór zaprowadził go do wozu.

Ambulans odjechał, jego światła ledwie się przebijały przez nieubłagany śnieg. Ogródek za domem na Thormódsgrata już nie wyglądał jak miejsce zbrodni, gwałtowna śnieżycy wymyła go do czysta, opadając lśniąącym zimnym kocem. Lindę odwieziono, Karl siedział w samochodzie. Widać było tylko ślady czerwieni. Ogród zmienił się na oczach Ariego Thóra; mógł to być teraz dowolny ogródek za domem przy spokojnej uliczce miasteczka na północy.

Kilka minut później przybył Hlynur.

– Wracam z Arim Thórem na komisariat – powiedział Tómas. Ledwie go było słychać na wietrze. – Karl jedzie z nami. Chcę, żebyś sprawdził to miejsce jak najdokładniej. Musimy znaleźć broń. Niewiele wiemy na temat jej ran... za bardzo byli zajęci utrzymaniem jej przy życiu, ale myślę, że to był nóż. Miej oczy otwarte. Do mieszkania też zajrzyj, sprawdź, czy są ślady walki.

Ari Thór zmagał się z rozszalałą burzą, starał się nie zamykać oczu. Grube płatki śniegu już nie opadały łagodnie na ziemię, chłostały każdego, kto nieostroźnie wyszedł na dwór przy takiej pogodzie. Siedział obok Karla na tylnym siedzeniu radiowozu. Tómas prowadził w milczeniu.

W komisariacie, w bezpiecznym, znajomym otoczeniu, znaleźli schronienie przed zamiecią. Ari Thór, dopiero kiedy znalazł się w środku, uświadomił sobie, jak mocno wali mu serce. Poczł się lepiej, jednocześnie powrócił ból barku.

Zaprowadzili Karla do biura, które służyło jako pokój przesłuchań, chociaż rzadko go potrzebowali. Ariemu Thórowi trudno było zrozumieć postawę Karla. Wydawał się dziwnie pogodny jak na te okoliczności. Zapytał.

– Czy to długo potrwa? Chciałbym jak najszybciej pojechać do szpitala. – Żadnych emocji.

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby poszło szybko. Pomożesz przyspieszyć sprawę, jeśli będziesz mówił jasno i wyraźnie – powiedział Tómas i wyjaśnił Karlowi, że traktują go jako świadka.

Magnetofon został włączony. Ari Thór napisał parę słów i pokazał je Tómasowi.

– Można prosić o twoją kurtkę? – zapytał Tómas.

Pytanie musiało zaskoczyć Karla, bo szeroko otworzył oczy.

– Twoja kurtka. Mógłbyś ją zdjąć? Podaj mi.

Karl posłuchał, chyba sam zauważył plamkę, którą wcześniej zobaczył Ari Thór, ale nic nie powiedział. Podał kurtkę Tómasowi.

– Trzeba to będzie wysłać do zbadania.

Ari Thór kiwnął głową i podał torbę na dowody.

– Krew? – zapytał Tómas.

Karl wcale nie zdenerwował się pytaniem.

– Możliwe.

Tómas siedział w milczeniu, Karl też; patrzyli sobie w oczy, jakby jeden chciał skłonić drugiego, żeby odezwał się jako pierwszy. Wygrał Karl. Tómas opuścił wzrok, przesunął się na krześle i zaczął przesłuchanie.

– Wiesz, skąd wzięła się krew na twojej kurtce?

– Kiedy ją znalazłem, zdjąłem kurtkę i przykryłem nią Lindę, żeby ją ogrzać. Krew była wszędzie. Sanitariusze odłożyli kurtkę na bok, kiedy próbowali reanimować Lindę.

– Kiedy ostatni raz ją widziałeś?

– Dziś rano.

– Szła do pracy?

– Tak, miała zmianę do szóstej.

– Wiedziałaś, że wcześniej wróciła do domu?

– Nie miałem pojęcia.

– Miałaś od niej dzisiaj jakąś wiadomość?

– Nie, ani słowa. Mógłbym zadzwonić do szpitala?

Siedział spokojnie. Inaczej by się zachowywał, gdyby miał coś do ukrycia. Ari Thór wyczuwał, że marnują czas na niewłaściwą osobę.

– Wkrótce będę rozmawiał z lekarzem. Nie było cię w domu o szóstej?

– Nie – powiedział Karl i znowu zapadło milczenie.

– Gdzie byłeś?

– Grałem w pokera z chłopakami. Jak w każdą środę. Spotykaliśmy się o piątej, wpół do szóstej, kiedy wszyscy byli po pracy, i graliśmy do wieczora. Ale niezbyt późnego. Parę piw, parę rozdań.

– Potwierdzą, że byłeś tam przed szóstą?

– Jasne – powiedział Karl i zawahał się. – Mam ci podać ich nazwiska?

– Tak, proszę. – Tómas wręczył mu długopis i kartkę.

Karl oddał mu listę. Tómas popatrzył na nazwiska.

– Ja zadzwonię. Znam ich – powiedział do Ariego Thóra.

Ja ich znam, a ty nie, człowieku spoza miasteczka.

Tómas wstał.

– Mógłbyś zadzwonić do lekarza? – zapytał Karl.

Policjant skinął głową i wyszedł z pokoju. Ari Thór nie wiedział, czy ma kontynuować przesłuchanie, czy siedzieć cicho. Może po prostu pogawędzą o czymś innym? Wynikła z tego krępująca cisza.

– Kawy?

Karl pokręcił głową.

– Bystry jesteś. Krew na kurtce... Ja niczego nie zauważyłem.

Ari Thór nie wiedział, jak to przyjąć i zastanawiał się, dlaczego Karl powiedział mu komplement. Może próbuje nawiązać bliższe stosunki?

Czy powinien mu podziękować?

Milczeli, potem Ari Thór zapytał:

– Na pewno nie chcesz kawy?

– Na pewno. Masz paskudne skaleczenie na czole – powiedział Karl.

Znów milczenie.

– Co się stało?

– Nic poważnego – odparł zwięźle Ari Thór i znów zapadła krępująca cisza.

– Pogoda pod psem. Chyba nie jesteś do tego przyzwyczajony.

Ari Thór nie chciał dać się rozproszyć, ale niełatwo było ukryć wrażenie, jakie wywarły na nim ciągłe śnieżyce, wiatry i przenikające do szpiku kości zimno. Wcale nie chciał być w miejscu, w którym teraz się znajdował. Wolałby znaleźć się w Reykjavíku.

Karl jakby zrozumiał jego myśli i przyjął do wiadomości, że dotknął czułego punktu.

– To może być straszne. Nawet mnie trudno się przyzwyczaić, a tutaj wyrosłem. Przy takiej pogodzie jest tak, jakby zamykały się nad tobą ściany – powiedział z niedbałym uśmiechem.

Cholera. Czy Tómas nie mógłby się pospieszyć?

Ari Thór milczał, próbował myśleć o czymś innym. Może Tómas specjalnie zwleka z powrotem, żeby Karl zmiękł? Jeśli tak, to nie udało mu się.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu Ariego Thóra.

Kristin.

Podniósł telefon i wyciszył go. Nie czas i miejsce na rozmowę.

Kristin. Od paru dni nie miał od niej wiadomości; zastanawiał się, czego chciała. Nie mógł się doczekać, żeby oddzwonić i przeklinał czas, który wybrała na telefon.

Odległość między nimi zaczynała dawać się we znaki. Ich maile były oraz rzadsze; telefony nieczęste. Tęsknił za nią i kiedy był w żalonym stanie ducha, a izolacja robiła się nie do wytrzymania, ogromnie pragnął leżeć nocą obok niej. Ale nadal był na nią zły – złościła go jej reakcja na jego wyjazd na północ, wkurzało go, że nie przyjechała z nim do Siglufjördur w tamten pierwszy weekend, a także, że nie zadzwoniła do niego w Wigilię. Trzeba jednak przyznać, że zadzwoniła w pierwszy dzień świąt...

A przecież powinna zadzwonić w Wigilię. Tylko stare ciotki dzwonią w pierwszy dzień świąt!

Nagle otworzyły się drzwi.

– Ari Thór, chodź na słówko. Tutaj, na zewnątrz. – W głosie Tómasa było zdecydowanie.

– Rozmawiałem z nimi wszystkimi – powiedział, kiedy Ari Thór zamknął za sobą drzwi. – Z całą szkółką pokera.

Nastąpiła dramatyczna pauza, widać było, że w Tómasie jest coś z aktora.

– Wszyscy mówią to samo. Był tam przez cały czas, pojawił się około piątej i dobrze mu szło. Nie wychodził aż do chwili, kiedy zadzwoniła do niego sąsiadka.

– Kiedy Linda wyszła z pracy?

– Około wpół do siódmej. Rozmawiałem z pielęgniarką, która pracowała z Lindą. Skończyła zmianę i coś zjadła w szpitalu. Wydaje się oczywiste, że on tego nie zrobił.

– Coś od Hlynura?

– Nie. Damy mu trochę więcej czasu. – Tómas wyjrzał przez okno. Widoczność była praktycznie zerowa. Ari Thór odetchnął, że to nie on musiał się zajmować miejscem zdarzenia.

– Spróbuję złapać lekarza. Poczekaj na mnie, razem wrócimy do przesłuchania.

Ari Thór poczuł, że telefon dzwoni mu w kieszeni. To pewnie znowu Kristín. Pomyślał, że może stało się coś złego. Tómas rozmawiał przez telefon, więc skorzystał z okazji i odebrał. Przez ułamek sekundy myślał o pięknej twarzy Ugli, ale szybko się z tego otrząsnął.

– Co się tam dzieje? – zapytała Kristín bez wstępów. Głos miała chłodny i stanowczy. Słysząc w nim było ciekawość, nawet podniecenie.

– Z czym?

Nie takiego powitania się spodziewał. Żadnego „kochany”, żadnego ciepła.

– Wiesz... ta kobieta. Ta kobieta w śniegu.

Co, do diabła?

Jak widać, informacje szybko się rozchodzą.

– Skąd wiesz?

– Widziałam w sieci – odparła i wymieniła nazwę strony. – Bierzesz udział w śledztwie?

Podszedł do komputera.

„W Siglufjördur znaleziono nagą, nieprzytomną kobietę...”

– Nic nie mogę powiedzieć... – Miłe słowa wyparowały, zanim je wypowiedział. Słowa, które byłyby tak zwyczajne przed paroma tygodniami, stały się zbędne. Mimo wszystko tęsknił, żeby powiedzieć coś miłego, coś uczuciowego, ale ona najwyraźniej zadzwoniła, żeby zapytać o najnowszą informację. Zirytował się jeszcze bardziej.

– Teraz nie mogę rozmawiać. Muszę wracać do pracy.

Słyszał, że Tómas kończy rozmowę telefoniczną.

– Połączyłem się z lekarzem – powiedział, podchodząc do Ariego Thóra. – Zadzwoni później. On nadal jest nieprzytomna. Lekarz uważa, że musiała tam leżeć jakieś czterdzieści pięć minut. Trudno uwierzyć, że jeszcze żyje, ale dzięki Bogu żyje.

Uśmiechnął się, najwyraźniej ulżyło mu, że nie ma do czynienia z zabójstwem. Przynajmniej jeszcze nie. Zmienił wyraz twarzy, kiedy zobaczył ekran komputera z informacją.

– Jak to możliwe, do diabła?

– Nie mam pojęcia. Zadzwoniła moja dziewczyna i powiedziała mi o tym.

– To podłość! Najpierw Hrólfur, a teraz to! Wszystko natychmiast trafia do gazet! Nie możemy pracować w spokoju.

– Nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z wypadkiem w Towarzystwie Dramatycznym? – zapytał łagodnie Ari Thór.

– Co? Nie, to zupełnie nieprawdopodobne. Ale cholernie wkurzające. To nie do przyjęcia, że musimy zajmować się dwiema takimi sprawami pod rząd.

Jeszcze bardziej wkurzające dla Hrólfura i Lindy.

Ari Thór milczał; zadzwonił telefon Tómasa.

– Halo? – Cisza. – Nie, do cholery – powiedział z wściekłością Tómas. – Po prostu zostawcie mnie w spokoju i pozwólcie pracować! – Znów cisza. – Nie. Nie mam czasu. Bez komentarza. Dotarło? – zakończył rozmowę.

– Cholerni dziennikarze. No chodź, dokończymy przesłuchanie. Nie ma powodu, żeby tu trzymać tego człowieka – powiedział ze złością Tómas. – To się zamienia w koszmar. Musimy rozgryźć tę sprawę, bo inaczej ludzie zaczną się bać.

Ari Thór szybko zerknął przez okno i wrócili do biura. Nadal padał śnieg. To spokojne miasteczko było przygnięcione śniegiem. Czuło się zagrożenie, jak nigdy wcześniej. Biel nie była już czysta, podeszła krwistą czerwienią.

Jedno było pewne. Tej nocy ludzie pozamykają drzwi na klucz.

Siglufjördur: środa 14 stycznia 2009

Rano porozmawiam z chłopcem i jego matką – zapowiedział Tómas. – Musimy dostać relację z pierwszej ręki, ale to nie zmienia faktu, że Karl nie jest podejrzany. Nie wierzę, żeby był sprawcą. Pamiętam go jeszcze jako chłopca, kiedy jego matka i ojciec postanowili przenieść się do Danii. Ci ludzie zawsze walczyli o przetrwanie, o ile pamiętam, zawsze brakowało im pieniędzy, a tutaj nie było zbyt dużo dostępnej pracy. Za granicą chyba dobrze im poszło.

– A Linda? To Dunka?

– Dunko-Islandka. Spotkali się w Danii. – Tómas był myślami gdzie indziej, wyglądał na zmartwionego, jakby gnębiło go coś więcej niż tylko nacisk bieżących zadań. – Słuchaj, dopiero co wspomniałeś Hrólfura...

– Tak?

– Miej oczy szeroko otwarte. Nie możemy sobie pozwolić na błędy. Zrozumiałeś?

Ari Thór skinął głową, że tak.

– Myślisz, że może być powiązanie?

– To mało prawdopodobne, ale też nie możemy tego wykluczyć. Dwie śmierci w podejrzanych okolicznościach... – powiedział Tómas, a w miarę, jak cichł mu głos, na twarzy pojawiała się coraz bardziej zatroskana mina. – Przepraszam. Oczywiście, ona nadal żyje. Niepokoi mnie, że jeden incydent zdarzył się tak szybko po drugim, a Karl i Leifur byli na próbie tego wieczoru, kiedy zmarł Hrólfur.

– Leifur? Co on ma wspólnego z Lindą?

– Mieszka piętro nad Karlem i Lindą. Mógłbyś z nim porozmawiać?

– Dobrze.

– Jest jeszcze coś związanego z tym incydentem w teatrze. Są kamery internetowe, które wysyłają zdjęcia z placu Ratuszowego, jakiś przekaz telewizyjny na żywo z miasta dla ludzi, którzy się wyprowadzili. Rozumiesz? Może coś nagrano tamtego wieczoru, jak ludzie wchodzili i wychodzili. Może byś to sprawdził? – zapytał Ariego Thóra, podając mu kawałek papieru z adresem strony.

Zadzwoił telefon, tym razem komórka Tómasa.

Niewiele powiedział podczas krótkiej rozmowy, zaledwie „tak” i „okej”.

Jego mina mówiła więcej niż słowa; włożył telefon z powrotem do kieszeni.

– Nadal jest nieprzytomna. Samolot pogotowia ratunkowego zabierze ją na południe. Miejmy nadzieję, że pogoda się poprawi na tyle, żeby mogli jutro polecieć – powiedział. – Lekarz wspomniał jeszcze o czymś. Musimy natychmiast zamienić parę słów z Karlem.

Ciężkie zaspasy wyrosły wyżej niż te, które Ari Thór widywał w Reykjavíku. Nie wątpił, że w najbliższych dniach będą jeszcze większe.

Karl odebrał, kiedy zadzwonił do niego drugi raz. Nadal był w szpitalu.

Widoczność była słaba. Mała policyjna terenówka podskakiwała po ośnieżonych ulicach, jadąc w stronę szpitala, wycieraczki ciężko pracowały, żeby oczyścić przednią szybę. Śnieg rozświetlał

ciemności, odbijał światła dochodzące z okien. Większość wolała zostać w domu. Wyczuwało się groźną niepewność.

Karl siedział spokojnie w poczekalni, kartkując czasopisma. Skinął głową Ariemu Thórowi i wrócił do gazet.

– Chciałbym zamienić słówko...

Karl odwrócił kartkę, jakby nic się nie stało.

Tómas podniósł głos.

– Musimy porozmawiać.

Karl podniósł wzrok i popatrzył na nich spod przymkniętych powiek.

– A co się stało?

– Musisz pójść z nami.

– Nie załatwiliśmy już tego? – zapytał Karl; w głosie pojawił się nowy ton. – Wolałbym zostać tutaj, przy niej.

– Chodź z nami.

Karl wstał z wahaniem i poklepał Ariego Thóra po ramieniu.

– Dobrze.

Ból był nie do wytrzymania.

Cholerne ramię.

Otulając się ciasno kurtkami przed przenikliwym wiatrem, Ari Thór, Tómas i Karl dotarli do terenówki i ponownie ruszyli w osłepiającą zawięję.

– Rozmawiałem z lekarzem – powiedział Tómas, kiedy znowu siedzieli w biurze w komisariacie. Czekał na reakcję, ale żadnej nie było.

– Biłeś ją? – zapytał.

Pytanie padło jak piorun.

– Że co? – zapytał Karl, patrząc wrogo na Tómasa, potem na Ariego Thóra. Z początku wydawał się zaskoczony, ale szybko zmieniło się to w gniew.

– Bijesz żonę? – Tómas mówił głośniejszym, twardszym głosem.

Ari Thór popatrzył na niego z ukosa.

– Zwariowałeś? Oczywiście, że nie.

Zanim Tómas zdążył zadać następne pytanie, Karl przerwał, jakby chciał mu zapobiec.

– Wczoraj się przewróciła, odkurzała coś w salonie i potknęła się, a przynajmniej tak powiedziała. Po co pytasz?

Tómas nie odpowiedział bezpośrednio.

– Ma wyraźne sińce na plecach, jakby od mocnych uderzeń albo upadku.

– Właśnie – powiedział spokojnie Karl.

– Pierwszy raz jej to zrobiłeś?

Karl wstał i ostro spojrzał Tómasowi w oczy.

– Nigdy nie podniosłem na nią ręki. Słyszysz?

Tómas zachował spokój.

– Byłoby lepiej, gdybyś usiadł. Mówisz, że nie masz nic do ukrycia?

– Absolutnie nic – odparł Karl, siadając. Gniew mu mijał, pozostała tylko bladość i zmęczenie.

– Poczekaj tutaj chwileczkę.

Tómas powoli wstał. Spojrzał na Ariego Thóra, dając znak, że chce z nim porozmawiać na osobności.

– Biję ją – powiedział Tómas, kiedy byli na zewnątrz. – Uderzył ją albo popchnął, ale nic nie jest pewne, póki z nią nie porozmawiamy. Idź do Hlynura i zobacz, jak mu idzie. Może coś ma, co nam pomoże się rozeznać.

– Zgodził się, żebyśmy tam weszli i właśnie dlatego jest mało prawdopodobne, żebyśmy coś znaleźli –

powiedział Ari Thór.

– Niestety, chyba masz rację.

Ari Thór stał w śnieżycy przed domem na Thormódsgata. Był późny wieczór, ale w mieszkaniach na górze i na dole świeciło się. Poszedł prosto do ogródka na tyłach domu, gdzie Hlynur, schylony nad śniegiem, szukał broni albo jakiegoś śladu. Ari Thór poklepał go po plecach. Przy tej pogodzie nie było sensu wołać.

Hlynur podniósł wzrok.

– Nic. Jak dotąd nic – krzyknął przez zamieć.

Ari Thór kiwnął głową, że rozumiał, i pokazał na dom.

Hlynur podszedł bliżej.

– Zajrzałem do środka. Byłem w domu i zrobiłem zdjęcia. Nie znalazłem tam nic poza jej koszulą, czerwonym T-shirtem na podłodze – powiedział. – Jest w torbie na dowody, w samochodzie.

Koszula, którą nosiła, kiedy ją zaatakowano?

Ari Thór wszedł przez tylne drzwi w ciepło mieszkania i jakby cofnął się o kilkadziesiąt lat, sądząc po staromodnych kolorowych meblach i tkaninach. Nic tu do siebie nie pasowało, chociaż w jakiś dziwny sposób wszystko tworzyło spójną całość. Czy zaatakowano ją w środku, czy na zewnątrz? Czy to był ktoś, kogo znała i kogo wpuściła?

W środku nie było śladów walki, nic nie wskazywało na to ani w salonie, ani w małej kuchni. W oczy raziła jaskrawa żółta farba na kuchennych ścianach i szafkach, jakby całość wycięto z lubujących się w przesadzie czasopism z połowy lat siedemdziesiątych. Obok piecyka leżał zestaw tanich, zużytych noży kuchennych, trzy małe i dwa duże. Widać było tylko cztery z nich. Może to przypadek, a może nie.

Ari Thór zajrzał do sypialni; zatrzymał wzrok na obrazie Jezusa wiszącym nad starym podwójnym łóżkiem. Wrócił myślami do czasów, kiedy studiował teologię. Wielebny Ari Thór. W policji bez wątpienia lepiej zarabiał. Czy Bóg zrobił dla niego cokolwiek? Chyba tyle, że odebrał mu rodziców, zanim Ari Thór miał szansę lepiej ich poznać.

Wyjrzał przez okno

Śnieg przestał padać, jakby zakręcono kurek.

Właśnie wtedy zobaczył telefon, małą, czerwoną komórkę leżącą obok poduszki na niezasałanym łóżku. Jej telefon? Chyba tak. Nagle poczuł się nieswojo, jakby coś dźgnęło go w brzuch; serce przyspieszyło rytm. Włożył telefon do torby na dowody i wsunął ją do kieszeni.

Czy to jest to, co podejrzewa?

Nie, raczej wykluczone. Cholera.

Ari Thór wyszedł frontowymi drzwiami, wszedł po schodach i nacisnął dzwonek do mieszkania Leifura.

Leifur wyglądał na zmęczonego, ale nie był zdziwiony, że tak późno wieczorem odwiedza go policja.

– Przepraszam, że tak późno – powiedział Ari Thór. – Nie zajmę ci dużo czasu; pracujesz zdaje się od rana. – Uśmiechnął się, próbował być przyjacielski. Wielebny Ari Thór miałyby na pewno doskonałe stosunki ze swoimi parafianami.

Lifur mówił cichym, ponurym głosem:

– W porządku. Jutro mam wolne.

Na widok Ariego Thóra zaszczekał labrador. Podszedł, żeby się przywitać. Miły, przyjazny pies, pomyślał Ari Thór.

W korytarzu pachniało świeżo piłowanym drewnem, Ari Thór znowu poczuł je w salonie. Przypomniało mu to prace ręczne w szkole i rzeczy, które zbijał z drewna dla rodziców. Salon był oszczędnie umeblowany, była w nim jakaś zimna energia – nijaki, pozbawiony duszy pokój,

przeciwieństwo eksplozji kolorów, którą można było zobaczyć na dole. Na ścianach nic nie wisało. Samotna fotografia w ramce, przedstawiająca chłopca ubranego do konfirmacji, stała na telewizorze.

– Kawy? – zapytał Leifur.

– Herbaty, jeśli masz.

Pomyślał, że w tym mieszkaniu, w tym surowym, pospolitym otoczeniu nie musi wysilać się na przesadną uprzejmość.

– Sam zrobiłeś ten stół? – Tómas mówił mu, że Leifur jest cieślą.

– Zgadza się.

Ari Thór wyczuwał, że Leifur o czymś myśli.

Wkrótce pojawiła się herbata, Leifur usiadł na szarej kanapie, a pies położył się mu u stóp.

– Byłeś w domu przez cały wieczór?

– Wróciłem około szóstej. Pracuję na stacji benzynowej.

– I od szóstej tutaj byłeś?

– Tak. Trochę pracowałem, jak zwykle wieczorami. Mam tutaj warsztat i od czasu do czasu biorę pracę, żeby zarobić trochę gotówki.

– Sąsiadom to nie przeszkadza?

– Może by i przeszkadzało, ale staram się kończyć przed dziesiątą. Telewizja przed dziesiątą zagłusza wszelkie hałasy. – Wypił łyk herbaty, którą sobie zaparzył, żeby dotrzymać Ariemu Thórowi towarzystwa. – Zawarliśmy milczące porozumienie. Udaję, że nie słyszę ich kłótni, a oni dają mi pracować w spokoju.

– Kłótni?

– Tak. Cholerne wrzaski, i to przez cały czas. Głównie Karl, rozumiesz? On wrzeszczy, a Linda z rzadka mu się rewanzuje.

– Wczoraj też była awantura?

– Jasne, a poszło na całego, ale to u nich normalne. Coś tam się rozbiło, a przynajmniej tak to wyglądało.

Wreszcie krok we właściwym kierunku, chociaż zeznanie na temat kłótni nie wystarczy. Teraz mniej prawdopodobna stała się wersja, że Linda upadła, ale i tak... to za mało.

– Myślisz, że ją pobił?

– Bo ja wiem? Może. Tylko że ja już nie bardzo zwracam na to uwagę. Wydaje mi się, że to była zwyczajna kłótnia. Mówiąc prawdę, Karl nie wygląda mi na typa, który bije żonę – powiedział Leifur i zamilkł. – Więc co się stało dziś wieczorem?

– Widziałeś coś?

– Zupełnie nic. Byłem w warsztacie, a tam nie ma okna wychodzącego na ogródek. Tam jestem w swoim własnym świecie. Oczywiście, mogę wyrzeć przez okno w kuchni, kiedy zaczyna się coś dziać, jak wtedy, kiedy przyjechaliście. A potem zobaczyłem coś na ten temat w sieci – powiedział i powtórzył pytanie Ariego Thóra. – Myślisz, że on to zrobił?

– Nic na to nie wskazuje.

– Ona przeżyje?

– Trudno powiedzieć... Skoro mowa o kłótniach... – powinien skorzystać z okazji, Tómas dał mu przecież zielone światło. – Słyszałem, że podczas próby, kiedy umarł Hrólfur, była kłótnia. Wiedziałeś o tym?

Pytanie o Towarzystwo Dramatyczne nie zaskoczyło Leifura.

– Jasne! Wszyscy słyszeli. To była awantura jak trzeba, Hrólfur był podпиты, a Úlfur miał ochotę się kłócić. Normalna sprawa z nimi.

– Tyle że Hrólfur spadł ze schodów i zabił się, to niezbyt normalne.

– Oczywiście. Ale przecież nikt go nie popchnął.

– Wychodziłeś podczas przerwy na kolację?

– Wychodziłem. – W oczach Leifura pojawił się błysk strachu, jakby mu zaświtało, że może się stać podejrzanym w dwóch śledztwach policyjnych. – Zawsze tak robię, spacer i do domu. Wyszedłem tylnymi drzwiami i zamieniłem słowo z Niną, zanim poszedłem. Powiedziała, że ma zamiar posprzątać piwnicę podczas przerwy.

Ari Thór wstał. Niewiele więcej mógł się tutaj dowiedzieć; pomyślał, że lepiej wyjdzie, póki jeszcze są na przyjacielskiej stopie, czego należało się spodziewać po wielebnym Arim Thórze.

– Dziękuję za herbatę – powiedział, potem wskazał zdjęcie z confirmacji. – Nie zmieniłeś się.

Leifur zrobił zdumioną minę.

– To mój brat – powiedział i zawahał się. – Nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym.

– Dawno temu? – zapytał Ari Thór i znowu wyszedł z niego współczujący duchowny.

– Dwadzieścia trzy lata – odpowiedział Leifur. Nie musiał się zastanawiać. – Jutro miną dwadzieścia trzy lata. Dlatego mam dzień wolny. Zawsze piętnastego stycznia biorę dzień wolny. – Zamilkł, ale było oczywiste, że chce powiedzieć coś jeszcze. – Nie złapaliście go.

My? Czy Ari Thór miał odpowiadać za grzechy innych?

– Kogo nie złapaliśmy?

– Kierowcy. Przyjaciel mojego brata był pasażerem tego samochodu. Ledwie przeżył i opisał, co się stało. Powiedział, że z naprzeciwka jechał inny samochód, środkiem drogi. Dlatego ich wóz się przewrócił. To nie była wina mojego brata. Pogoda była zła... i ten... – widać było, że Leifur z trudem opanowuje wściekłość – ...ten człowiek zmusił ich, żeby zjechali z drogi. Samochód się przewrócił.

Milczenie.

– Policja go nie znalazła. Przyjaciel mojego brata miał problem ze zidentyfikowaniem samochodu, tyle że był ciemnego koloru... chyba czerwony, nie miał pewności. Nikt nie był podejrzanym i sprawę zamknięto. Pewnie leży na dnie jakiejś szuflady na komisariacie.

Ari Thór stał w milczeniu. Nie miał nic do powiedzenia.

Wyciągnął rękę, Leifur schwycił ją pokrytą odciskami ręką. Ręką cieśli.

Na dworze wszystko było pokryte śnieżnym dywanem, w miasteczku panował spokój. Spod samochodu czmychnął kot, śpieszył się do domu, ogrzać się. Nadal trochę śnieżyło, ale tak słabo, że prawie nie było widać płatków. Ari Thór spojrzał do góry i głęboko odetchnął.

Może wszystko pójdzie dobrze.

Kiedy wsiadał do terenówki, usłyszał, jak woła go Hlynur.

– Ari Thór!

Odwrócił się.

– Znalazłem nóż.

Nóż leżał za krzakiem ogródka sąsiedniego domu. Nie było wątpliwości, że był to brakujący nóż kuchenny.

– Musiał go schować, kiedy uciekał – powiedział Ari Thór.

A więc miał rację co do noża.

Dobra robota.

Miał nadzieję, że mylił się co do telefonu.

Tómas nie miał pojęcia, kiedy będzie mógł się przespać. Wiedział tylko, że tej nocy nie wróci do domu. Chciał znaleźć chwilę, żeby zdrzemnąć się w komisariacie. To pokazałoby jego żonie, co będzie, jeśli przeprowadzi się na południe. Wtedy musiałyby sypiać sama, przynajmniej miał taką nadzieję.

– Nie wyobrażam sobie, żeby na nożu były jakieś odciski palców – powiedział z westchnieniem. – Ale i tak wyslij go do Reykjavíku. Na wszelki wypadek.

Nalał do kubka gorącej, mocnej kawy.

– Niedługo będziemy musieli wypuścić Karla, prawda? – zapytał Hlynur, ziewając.

– Samolot pogotowia ratunkowego już leci. Tak się składa, że poprawiła się pogoda, więc mogą wylądować. Linda nadal nie odzyskała przytomności i nie mamy pewności, czy będzie w stanie coś nam powiedzieć. No, panowie, co o tym wszystkim myślicie? – Tómas popatrzył na Hlynura, ale ten wydawał się zbyt zmęczony, żeby zareagować.

– To nie wygląda dobrze – mruknął Ari Thór.

– Wy dwaj idźcie do domu i trochę się prześpijcie. Spotkamy się rano i jeszcze raz wszystko omówimy. Ari Thór, miej oczy otarte na wszystko, co się wiąże z Towarzystwem Dramatycznym. Tak na wszelki wypadek. Może powinieneś jutro zamienić parę słów z Pálmim, jeśli ci się uda. Dobrze znał Hrólfura i będzie wiedział, czy jest coś, czemu powinniśmy się przyjrzeć.

Ari Thór skinął głową.

– Znalazłem telefon Lindy – powiedział. – Nie miałem okazji, żeby sprawdzić, dokąd telefonowała. – Pokazał Tómasowi czerwoną komórkę. – Mogę z niej zadzwonić na swój telefon?

Tómas kiwnął głową, że się zgadza.

Ari Thór założył rękawiczki i wystukał numer.

Jego telefon zaczął dzwonić. Podniósł aparat.

– Chyba rozpoznaję ten numer – powiedział. – To ona do mnie dzwoniła.

Tómas nachmurzył się, nie rozumiał, o co chodzi.

– Dzwoniła do ciebie?

– Tak, w Wigilię.

– To miał być żart? – Tómas poczuł, jak flaki mu się wywracają; nagle zrozumiał, o czym mówi Ari Thór.

– Może to nie był dowcip.

– Sprawdź to – nakazał mu Tómas.

– Robi się – powiedział Ari Thór i podszedł do komputera. Za chwilę wrócił. – Ten sam numer.

Tómas głęboko nabrał powietrza. Czy popełnił błąd? Zapewniał Ariego Thóra, że nie ma się czym niepokoić, że po prostu ktoś robi sobie żarty z policji.

– Chyba będziemy musieli zatrzymać Karla na noc – powiedział stanowczo. – Sprawa nabrzmiewa z minuty na minutę. Oczywiście on zechce polecieć do Reykjavíku samolotem pogotowia ratunkowego, ale w świetle tego, co mi pokazałeś, nie sądzę, żebyśmy mogli natychmiast go zwolnić. Najpierw napaść na Lindę, a teraz ten cholerny telefon. Zobaczymy, czy rano przyzna się do wszystkiego.

Tómas próbował powiedzieć to pewnym siebie głosem, ale w duszy był pewien, że Karl tego nie zrobi.

To był najzwyczajniejszy pocałunek – delikatny, miękki, krótki i przyjemny. Ari Thór siedział oszołomiony przez parę sekund, czując smak jej ust na wargach, rozkoszował się chwilą. Cały czas myślał o Kristín. Co on, do diabła, zrobił?

Czy naprawdę coś zrobił? Siedział bez ruchu, zmęczony po długim dniu, ramię nadal miał obolałe. Chciał tylko wpaść na filiżankę kawy i ciasto po ciężkim dniu.

To nie była jego wina. Ona pierwsza go pocałowała. Nawet nie miał szansy, żeby powiedzieć, co o tym myśli.

Kristín wściekłaby się, gdyby się dowiedziała.

Ugła przesłała mu esemesa, kiedy wracał z komisariatu. Pytała o Lindę. Zadzwonił, a ona poprosiła, żeby wpaść na kawę. „Chciałam powiedzieć na herbatę”, poprawiła się z dobrodusznym śmiechem. Czuł wyraźny ból w ramieniu, więc zaproponowała mu masaż. Zgodził się, chociaż oczywiście nie powinien.

W ogóle nie powinien się zgodzić na tę wizytę.

Potem go pocałowała, a on nie odwzajemnił pocałunku, tylko niezdarnie wstał. Nie powiedział ani słowa o Kristín, bąknął, że musi iść. Uglą parzyła na niego ze zdumieniem i rozczarowaniem, ale nie odezwała się ani słowem.

Przez całą drogę do domu miał poczucie winy za pocałunek i za to, że rozmawiał z Uglą o sprawie Lindy i Hrófula. Miał bolesną świadomość, że Uglą była potencjalnym świadkiem, a można było w niej dostrzec nawet podejrzaną, gdyby doszło do prawdziwego śledztwa. Nie był pewien, czy to, co się dzieje, jest właśnie takim śledztwem. Z drugiej strony, Uglą bardzo mu pomogła: opowiedziała o kłótni między Úlfurem a Hrófulem, teraz wspomniała, że warto byłoby złożyć wizytę pani o imieniu Sandra w domu starców. Sandra miała ponad dziewięćdziesiątkę, ale była silna jak koń i знаła Hrófula dłużej niż ktokolwiek. Zwykł odwiedzać ją raz w tygodniu, powiedziała Uglą.

Ari Thór próbował sobie wmówić, że informacje od Ugli wystarczą, żeby zrównoważyć fakt wyjawienia spraw służbowych osobie postronnej wobec śledztwa.

Ale nie próbował wykorzystać tej samej logiki, żeby usprawiedliwić pocałunek.

Poszedł spać, nie wiedząc, czy to Uglą, czy Kristín pojawią mu się we śnie.

Siglufjördur: czwartek 15 stycznia 2009

Był w basenie, głęboko pod powierzchnią, opływała go ciepła woda. Zostało mu niewiele powietrza i jeszcze kilka uderzeń ramion. Teraz dwa, potem jeszcze jedno. Musiał oddychać, napełnić płuca powietrzem, dostać się na wierzch. Płynął do góry, coraz wyżej, wynurzył twarz i oczy, wszędzie widział śnieg, gęste, grube płatki sypały się na niego, wypełniały wszystko, kradły mu tlen; nie znajdował dla siebie bezpiecznego miejsca, nie miał czym oddychać. Znow musiał zanurkować. Znow głębia basenu, brak powietrza w płucach, wszędzie dławiąca woda. Potem na wierzch, znow śnieg i brak powietrza. Nagle usiadł; przez chwilę miał wrażenie, że nie może oddychać, że nic nie widzi za oblepionym śniegiem oknem. Ale wreszcie trochę tlenu. Rytm serca spowolnił, oddech uspokoił się, znajomy coraz bardziej koszmar zniknął.

W nocy padał gęsty śnieg. Ari Thór zasnął, było już wpół do dziesiątej. Nie zjadł śniadania, spiesząc się do komisariatu.

Tómas i Hlynur już tam byli.

– O, pojawił się nawet wielebny – powiedział z uśmiechem Hlynur. – Tómas był tutaj całą noc, opiekował się naszym gościem.

Tómas najwyraźniej nie był w nastroju do żartów, mimo że żart dotyczył nowego. Powiedział poważnym tonem:

– Będziemy musieli go wypuścić. Zabrali ją do Reykjavíku więc nie będzie już mógł jej zrobić nic złego. Wieczorem wreszcie odlecieli. Jej stan nie uległ zmianie. Cała sprawa jest niejasna. Wszystko wskazuje na to, że bił ją i straszył, ale ma świadków, którzy potwierdzają, że po prostu nie mógł jej zaatakować, chyba że był w dwóch miejscach naraz. – Tómas odchylił się niebezpiecznie na krześle. – Będziemy musieli go wypuścić – powtórzył i było jasne, że wcale mu się to nie podoba. – Poprosiłem, żeby został w mieście, bo inaczej postaram się o nakaz zatrzymania. Zgodził się zostać, ale powiedział, że gdyby stan Lindy się pogorszył, będzie chciał pojechać na południe. Prawda wygląda tak, że musiałby się przedzierać, żeby się dostać do Reykjavíku. Drogi są fatalne, praktycznie nieprzejezdne. – Tómas przerwał, potarł czubek głowy i z widocznym przygnębieniem dokończył: – Dziś rano poszedłem do tego chłopaczka, tego, który znalazł Lindę. Nic nowego. Widywałem lepszych świadków. W końcu to tylko dzieciak.

– Może pojedziemy? – zapytał Hlynur.

Tómas wstał i odwrócił się do Ariego Thóra.

– Jadę z Hlynurem sprawdzić mieszkanie. Musimy się jeszcze raz rozejrzeć. Myślę, że trzeba założyć, że śmierć Hrólfa nie była przypadkowa, zacząć formalne śledztwo, ale nie rozgłaszać tego... Mógłbyś zacząć?

Hlynur uśmiechnął się i trochę się nadał, najwyraźniej sprawiało mu przyjemność, że zajmuje się bardziej prestiżowym dochodzeniem.

Proszą mnie, żebym pobawił się w piaskownicy, kiedy dorośli zajmą się poważnymi sprawami, pomyślał Ari Thór. Chociaż nadal uważał, że śmierć Hrólfa mogła nie być przypadkowa, nie można

było zaprzeczyć, że sprawa Lindy była teraz pilniejsza.

– Nie ma problemu.

Tómas położył rękę na wciąż bolącym ramieniu Ariego Thóra.

Potem odprowadził go do drzwi i ściszym głosem, żeby Hlynur nie mógł ich usłyszeć, powiedział:

– Ten telefon... w Wigilię zrobiliśmy co należało, prawda? Dogadaliśmy się, co?

Ari Thór przypomniał sobie, jak go ten telefon wytrącił z równowagi, ten szept... Kiedy oddzwonił, osoba, którą teraz uznał za Lindę, powiedziała, że nie ma się czym martwić. Ale jednak...

– Tak, oczywiście.

Czyżby?

– Nic nie mogliśmy zrobić – dodał Ari Thór. Bo i co mieli zrobić? Numer nie był zarejestrowany i nie można było sprawdzić, kto dzwonił.

Nic nie mogliśmy zrobić.

Kiedy Tómas i Hlynur wyszli, Ari Thór skorzystał z okazji, żeby sprawdzić kamerę sieciową pokazującą plac Ratuszowy. Zobaczył, jak ktoś w czasie rzeczywistym, idzie przez zaśnieżony plac do ratusza. Na małym ekranie komputera trudno było zidentyfikować, kto to może być, więc mało prawdopodobne, żeby kamera w czymś im pomogła, nawet jeśli zachowały się nagrania z piątkowego wieczoru. Znalazł numer właściciela kamerki sieciowej.

– Przepraszam za kłopot, nazywam się Ari Thór, dzwonię z komisariatu. – Próbował zachować formy i mówić uprzejmie.

– Ten nowy facet, zgadza się? – O właścicielu kamery Ari Thór słyszał, ale go jeszcze nie spotkał.

– Zastanawiałem się, czy twoja kamera sieciowa...?

– Co z nią? – odpowiedział facet raczej opryskliwie.

– Czy można się dostać do starszych nagrań?

– Z mojej kamerki? – Facet roześmiał się serdecznie. – Wydaje ci się, że prowadzę nadzór policyjny? Niczego nie nagrywam, to tylko obraz na żywo z placu. Dlaczego pytasz? Chodzi o Lindę, o ten napad?

– Przepraszam, naprawdę nie mogę powiedzieć. Dziękuję za pomoc.

Przygnębiona ślepa uliczka. Naprawdę chciałby pokazać Tómasowi jakieś postępy. Gdyby tylko mógł zadzwonić do Ugli i zebrać więcej informacji o środowisku trupy teatralnej. Ale w tej chwili to było raczej niemożliwe. Odkąd go pocałowała, nie miał od niej informacji. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, jak szybko wyszedł tamtego wieczoru, prawie jakby go ugryzła, a nie pocałowała. Następna lekcja fortepianu była w niedzielę. Czy powinien pojawić się, jakby nic nie zaszło? Jak rozwinąć tę znajomość? Kristín była w Reykjavíku; nie może o tym zapominać i pozwalać, żeby odległość odebrała mu pamięć. Mijał prawie tydzień, odkąd porozmawiał z nią normalnie. Zawsze zakładał, że ona zadzwoni, bo nie jest tak zajęta jak on. A teraz, po tym pocałunku, jak miał z nią rozmawiać? Przekroczył granice, zapewne nieodwracalnie. Pocałunek nie zdarzył się bez powodu; wiedział, że flirtuje z Uglą, że ukrywa przed nią związek z Kristín. A najgorsze, myślał, że zaczyna coś czuć do Ugli... Nie, nie jest przygotowany; nie zadzwoni ani do Ugli, ani do Kristín.

Będzie musiał zacząć od rozmów z innymi członkami Towarzystwa Dramatycznego, przede wszystkim ze scenarzystą, z Pálmi.

Pálmi mieszkał w niedużym domku przy Hvanneyrarbraut, chyba za dużym dla jednego człowieka, a za małym dla rodziny. Ubrany był elegancko, w kraciatą koszulę i szare flanelowe spodnie. Wyglądał na zaskoczonego, kiedy zobaczył Ariego Thóra.

– Dzień dobry, Pálmi. Pozwolisz, że wejdem?

– Ale dlaczego? Mam gości. To nie może poczekać?

Ari Thór nie odpowiedział i skinął głową w stronę wnętrza domu. Dostał polecenie służbowe i miał

zamiar sumiennie je wykonać.

– To nie potrwa długo – powiedział z uśmiechem, z jedną nogą wewnątrz. – Rozmawiamy z każdym, kto był na próbie w piątek wieczorem.

Pálmi wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego?

– Nic poważnego. Pewne rzeczy trzeba wyjaśnić do końca, żebyśmy mogli zamknąć sprawę.

Ot, niewinne kłamstewko.

– Więc wejdź.

– Przepraszam, że przeszkadzam. – Ari Thór rozejrzał się. – Mówiłeś, że masz gości?

– Tak. Zatrzymali się w suterenie.

– Rozumiem. Są spoza miasta? – zapytał Ari Thór, jakby sam nie był nowo przybyłym. Nie był pewien, czy powiedział to przekonującym głosem.

– Tak... – powiedział niepewnie Pálmi, jakby zastanawiał się, ile informacji ujawnić młodemu policjantowi. – Stara przyjaciółka mojego ojca. Z Danii. Odwiedziła mnie z synem. Pielgrzymka na Islandię.

– Twój ojciec mieszkał w Danii?

Krótką pogawędką nie zaszkodzi; na Leifura podziałała. Pálmi wyglądał na skrepowanego i zapewne należało postępować ostrożnie, gdyby miał wyjawic jakieś tajemnice dotyczące Hrólfura i fatalnego wieczoru.

Pálmi wyraźnie się odprężył.

– Zgadza się. Przeprowadził się tam, kiedy byłem bardzo mały. Nie pamiętam go.

Siedzieli teraz w salonie. Pálmi na kanapie, Ari Thór na pasującym do niej fotelu. Oba meble były obciążone lśniąca brązową skórą w stylu lat osiemdziesiątych, ale wyglądały dziwnie nowo jak na swój wiek. Prawdę mówiąc, cały pokój wyglądał jak reklama ze starego katalogu mebli i niewiele rzeczy nosiło ślady upodobań właściciela, nie licząc obrazów na ścianach. Na ścianie mieszkania Ariego Thóra, które dzielił z Kristín przy Öldugata, teraz tak odległym, był tylko jeden obraz: odziedziczony po jego babce, wspaniały oryginał pędzla islandzkiego mistrza Kjarvala. Rozpoznał pędzel tego artysty na czterech płótnach wiszących na ścianach Pálmi.

– Piękny zbiór.

– Dziękuję. Trudno to nazwać zbiorem, zaledwie kilka prac.

– Ale niezłych. Sam mam Kjarvala. Czy to pamiątki rodowe?

– Nie, sam je zbierałem. Latami inwestowałem w dom i sztukę. Nie jestem z tych, co to ufają bankom.

– I słusznie, jeśli wziąć pod uwagę, co się dzieje.

– Hm, no właśnie, ale ja nigdy im nie ufałem... nauczyła mnie tego matka. Zawsze wolała chować oszczędności w skarpecie, chociaż kiedy umarła, niewiele tego było. Może to nie jest idealny sposób na zbieranie grosza do grosza. – Uśmiechnął się, atmosfera zrobiła się lżejsza.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o Hrólfurze. Znałeś go dobrze, prawda?

– Tak, całkiem niezłe. Ale on miał zwyczaj trzymać ludzi na dystans.

Ari Thór postanowił od razu przejść do sedna sprawy.

– Czy znasz kogoś, kto miałby powód, żeby, hm... zepchnąć go ze schodów?

Pálmi podniósł wzrok, najwyraźniej pytanie go zaskoczyło.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś go popchnął?

– Właściwie to nie. Ale mamy trochę za dużo przypadków, bo Linde zaatakowano zaledwie parę dni później. To każe nam dokładniej przyjrzeć się śmiertelnemu wypadkowi w Towarzystwie Dramatycznym. O ile się orientuję, on i Úlfur darli z sobą koty?

– No, nie posunąłbym się tak daleko, ale nie zawsze się zgadzali – odpowiedział Pálmi, przygryzając wargę. – Obaj mieli temperament artystyczny, ale zasadniczo byli w dobrych stosunkach.

- Czy tamtego wieczoru byłeś na górze, na balkonie?
- Zachodziłem tam kilka razy. Większość czasu oglądałem próbę z widowni.
- A na kolację poszedłeś do domu?
- Tak. Musiałem wprowadzić parę zmian do scenariusza, więc przyszedłem prosto tutaj.
- Ktoś cię widział?
- O co ci chodzi?
- Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić?
- Hm, nie.
- A twoi goście?
- Jak już mówiłem, mieszkają w suterenie. Nie widziałem ich podczas przerwy na kolację.
- Często spotykaliście się z Hrólfulrem?
- Niezbyt. Ale od czasu do czasu zapraszał mnie i Úlfura na kawę albo na lampkę czerwonego wina.

Miał wspaniałą piwniczkę z winami.

– Drogimi? – Ari Thór wiedział, że musi chwytać się różnych sposobów szukając motywu, ale lepiej zajrzeć we wszystkie kąty.

- Dostyc.
- Wiesz, co teraz dzieje się z tym winem?
- Z winem?
- Kto je dziedziczy?
- Nie mam pojęcia. Prawdę mówiąc, nie znam jego krewnych, nie wiem nawet, czy któryś żyje.
- Spisał testament?
- Nigdy mi o tym nie mówił – odparł Pálmi i widać było, że mówi szczerze.
- Z kim widywał się regularnie w mieście poza tobą i Úlfurem?

Pálmi zamilkł, przez chwilę szukał w myślach.

– Hm... Zwykł co tydzień odwiedzać starszą panią, Sandrę.

Sandra. Ari Thór przypomniał sobie, że Ugła też o niej wspominała, coś mówiła, że Hrólfur ją odwiedzał.

– Przez ostatnie lata mieszkała w domu starców. Nie jest już taka silna, jak kiedyś, chociaż umysł ma ostry jak brzytwa. Musi mieć jakieś dziewięćdziesiąt pięć lat, niech żyje i sto! – Pálmi zamilkł na chwilę.

– I jest jeszcze ta dziewczyna.

– Dziewczyna?

– Tak. Ugła.

Ari Thór poczuł, że tętno mu przyspiesza. Próbował nie patrzeć Pálmiemu w oczy, bał się, że może się wydać.

– Ugła. Tak, oczywiście. – Wiedział, że będzie musiał ją też przepytac i odrzucić wszelkie podejrzenia, jakoby znał Uglę lepiej niż wypadało. – Często się spotykali?

– Tak mi się wydaje. Wynajmowała jego suterene, ale kiedy się wyprowadziła, nadal chodziła do niego. Teraz mieszka... – Pálmi zastanowił się. – Tak, chyba na Nordurgata.

– Zgadza się – powiedział Ari Thór bez zastanowienia.

Cholera.

Pálmi chyba nie zauważył jego wpadki; było widać, że chce się jak najszybciej pozbyć Ariego Thóra.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi i pojawiła się mocno już starsza pani w towarzystwie wysokiego, brodatego mężczyzny po sześćdziesiątce, jak domyślił się Ari Thór.

To musieli być goście z Danii. Pálmi przeszedł na duński, żeby ich przedstawić.

– To Rosa i jej syn Mads. Ari Thór jest policjantem.

Ari Thór wstał, żeby podać im rękę. Mówił po angielsku, nie ośmielił się wypróbować swojego duńskiego. Uczył się duńskiego w szkole przez wiele lat, ale z mówieniem miał kłopot, chociaż czytał

prawie bez wysiłku. Starsza dama mówiła za nich dwoje, a jej angielski był wyśmienity, chociaż z wyraźnym akcentem. Mads stał za nią w milczeniu.

– Co zrobił Pálmi? – zapytała z ciekawością i głęboko spojrzała Ariemu Thórowi w oczy, ciepło się uśmiechając.

Ari Thór uśmiechnął się.

– Nic a nic. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci powieściopisarza Hrólfa Kristjánssona. Zginął w wypadku podczas próby w Towarzystwie Dramatycznym.

– Słyszałam o tym. Pálmi nam powiedział. Mieliśmy zamiar pójść podczas weekendu do teatru – rzekła. – Przed wielu laty spotkałam Hrólfa w Kopenhadze. Byli przyjaciółmi, Hrólfur i twój ojciec, prawda? – zapytała, patrząc na Pálmięgo.

– Znajomymi – odparł Pálmi. – Przebywali w Danii miniej więcej w tym samym czasie.

Tym razem starsza dama zwróciła się do Ariego Thóra.

– Ten Hrólfur był przystojnym młodzieńcem, jeśli dobrze sobie przypominam. Spędzał wiele czasu z ojcem Pálmięgo, Pállem, kiedy ten leżał na łożu śmierci. Nie wydaje mi się, żeby Páll znał wielu ludzi w Danii, a można się czuć samotnie, kiedy jest się samemu w obcym kraju. – Popatrzyła na Pálmięgo. – Mam nadzieję, że życie dla twojego ojca było łatwiejsze, kiedy byliśmy razem. – Uśmiechnęła się. – Spotkałam Hrólfa w szpitalu. Od paru miesięcy nie widziałam się z Pállem, bo musiałam wyjechać na wieś, żeby pracować razem ze swoją rodziną. Wróciłam natychmiast, kiedy się dowiedziałam, że zachorował, ale zanim zdążyłam dojechać, choroba bardzo się już posunęła. Zabrakło mi odwagi, żeby się z nim pożegnać. To byłoby za trudne dla nas obojga. – Łza spłynęła jej po pomarszczonym policzku.

– Czy traktujecie to jako śledztwo w sprawie morderstwa? – zapytał Pálmi, przechodząc na islandzki.

– Tak. – Ari Thór był tutaj na polecenie Tómasa, wykonywał swoje obowiązki, więc wystarczyła najprostsza odpowiedź.

Pálmi stał w zamyśleniu, jakby nie wiedział, czy nie powinien jeszcze czegoś dodać. Potem powiedział, patrząc niepewnie, jakby miał wyjawic jakąś straszną tajemnicę:

– Jest chyba jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć – przerwał. Cisza była pełna oczekiwania, nawet Rosa to wyczuła, mimo bariery językowej.

Mads stał bez ruchu, po minie było widać, że go to nie interesuje; oglądał obrazy Kjarvala.

– Słyszałem, że Hrólfur miał dziecko, oczywiście nieślubne. Tak się mówi. Nie ożenił się, ale po jego powrocie z Danii urodziło się dziecko... może to było podczas wojny, ale chyba później. Trzeba by to zbadać.

Siglufjördur: piątek 16 stycznia 2009

„Słodki bracie Jezu” – rozbrzmiewało w świetlicy, w której zgromadzili się ci seniorzy domu starców, którym zdrowie na to pozwalało. Niektórzy przyszli ze szczerym entuzjazmem, inni, na luzie, tylko popatrzeć. Ari Thór rozpoznał młodą kobietę, która przewodniczyła śpiewom; pamiętał ją z wydziału teologii uniwersytetu w Reykjavíku, skojarzył twarz, ale nie na tyle ją znał, żeby z nią rozmawiać. Więc oboje przeprowadzili się na północ, do Siglufjördur? Prawdopodobnie przygotowywała się do stanu kapłańskiego, kiedy on zrezygnował.

Poprzedni dzień był spokojny. Nóż z mieszkania Karla i Lindy został wysłany na południe, do zbadania. Ari Thór nadal szukał informacji, które mogłyby rzucić trochę światła na śmierć Hrólfa. Zaskoczył Tómasa informacją, że Hrólfur mógł mieć dziecko.

Ari Thór stał w drzwiach i słuchał śpiewów. Pielęgniarka, z którą rozmawiał, powiedziała, że może porozmawiać z Sandrą, ale poprosiła go, żeby nie przerywał porannego zebrania. Pokazała mu starą kobietę na wózku inwalidzkim z szydełkowanym kocem na kolanach. Kobieta śpiewała z uczuciem.

Ari Thór nie zapisał się na teologię ze względu na swoją silną wiarę albo przekonania. Było zupełnie odwrotnie – raczej po to, żeby odzyskać wiarę, albo po prostu, żeby znaleźć cel w życiu. Czuł potrzebę, żeby poznać odpowiedzi na pytania, na które filozofia – przedmiot, z którego wcześniej zrezygnował – nie dawała odpowiedzi. A może chciał wybrać drogę całkowicie różną od drogi swojego zmarłego ojca, który był księgowym. Platon albo Bóg – cokolwiek, byle nie mamona. Kiedy stało się oczywiste, że teologia nie daje mu rzeczywistych odpowiedzi, Ari Thór jednak nie ustawał. Uporczywie próbował przekonać sam siebie, że może ukończyć studia, pozostając niewierzącym.

Mógł dokładnie wskazać czas, kiedy stracił wiarę, którą może jeszcze miał – to było, gdy miał trzynaście lat, w dniu, w którym zaginął jego ojciec, a potwierdzenie przyszło w tym samym roku, gdy powiedziano mu o śmierci matki w wypadku drogowym.

Studia teologiczne nie zbliżyły go do Wszechmocnego. Debaty uniwersyteckie, nieraz krwawa historia kościoła i religii umocniły jego przekonanie, że nikt nie czuwa nad nim ani go nie pilnuje. Ari Thór, tak jak przez większą część swojego życia, poczuł się bardzo samotny.

Śpiew trwał, tym razem na znajomą melodię ze szkółki niedzielnej sprzed wielu lat. Czy taki los go czeka, że będzie musiał znowu śpiewać hymny, kiedy odeślą go na starość do takiego domu? Czy będzie musiał śpiewać, nie wierząc w ani jedno słowo? Była koleżanka Ariego Thóra ze studiów poprowadziła krótką modlitwę i oznajmiła dźwięcznym głosem, że jeśli ktoś chce, to kawa jest gotowa.

Sandra trzymała w ręku kubek, kiedy Ari Thór przedstawił się głośno i wyraźnie.

– Nie tak głośno, drogi chłopcze. Słyszę doskonale. Problem sprawiają mi stopy – powiedziała i uśmiechnęła się do niego. Miała pięknie rzeźbione rysy i łagodny głos, mówiła wyraźnie i spokojnie. Delikatnie popijała kawę.

Ari Thór rozejrzał się za wolnym krzesłem.

– Wiesz, nie musimy tutaj siedzieć. Mam własny pokój. Popchniesz mnie?

Zaczął powoli pchać wózek.

– Ile masz lat, drogi chłopcze?

– Dwadzieścia pięć – powiedział i dodał: – Kończę jeszcze w tym roku. – Starej damie nie wypadało mówić nieprawdy, nawet gdyby to miało być niewinne kłamstewko.

W jej pokoju stało stare łóżko, stara komoda i stołek. Na komodzie ustawiono kilka zdjęć, niektóre kolorowe, inne wyblakłe, czarno-białe.

– Mój zmarły mąż – powiedziała, wskazując czarno-białą fotografię. – Na innych zdjęciach dzieci i wnuki. Miałam bardzo szczęśliwe życie – uśmiechnęła się do niego wyrozumiale.

Ari Thór usiadł na skraju stołka przy łóżku.

– Czy kogoś poprosić, żeby pomógł ci położyć się na łóżku?

– Rany boskie, nie. Będę tu siedziała jak najdłużej z moim przystojnym młodym gościem.

Ari Thór uśmiechnął się do niej uprzejmie, nie mógł się doczekać, kiedy przejdzie do sprawy.

– Jak tam drogi? – zapytała. – Nie miałeś problemów, żeby tutaj dotrzeć?

– Przyjechałem policyjnym dżipem.

– Powiedz mi jedno – zagadnęła, patrząc mu prosto w oczy z poważną miną. – Dlaczego teraz wszyscy w mieście muszą mieć wielkie terenówki? Nie rozumiem. Dawniej ludzie nie mieli tych ogromnych maszyn. Mało kto w ogóle miał samochód i całkiem nieźle dawaliśmy sobie radę.

– Hm... Myślę, że ludzie chcą mieć wyjechać z miasta, nawet jeśli na drogach leży śnieg.

– Po co?

– Nie rozumiem.

– Po co mają wyjeżdżać z miasta?

Nie miał na to gotowej odpowiedzi.

– Przyszedłeś zapytać mnie o Hrólfura? – zapytała w końcu.

Ari Thór skinął głową.

– Tak myślałam, drogi chłopcze. Biedaczyna. Nie miał wielu przyjaciół. Może ja byłam jego najbliższą przyjaciółką w tych ostatnich latach.

– Często cię odwiedzał?

– Co tydzień o tej samej porze. Mieszkał niedaleko stąd, na Hólavegur, dla niego był to przyzwoity spacer.

– Jakim był człowiekiem?

– Po co pytasz? – Popatrzyła na niego, w oczach pojawiła się podejrzliwość. – To przecież był wypadek, prawda?

– Właśnie w tej sprawie prowadzimy śledztwo. Nie sądzę, żeby to było coś innego niż wypadek, ale musimy się upewnić.

– Czy on... hm... czy stary nie był po drinku?

Trafny domysł. Ari Thór pomyślał, że nie ma sensu ukrywać tego przed nią.

– Cóż, wygląda na to, że troszkę wypił.

– Troszkę? Akurat... Hrólfur był skomplikowanym człowiekiem, mówię ci. I nigdy do końca go nie rozumiałam. Pamiętam go z dawnych czasów, zanim wyjechał z Siglufjördur. Potem zyskał światową sławę i to uderzyło mu do głowy. Było w nim tyle ambicji, takie zdecydowanie, żeby wyróżnić się z tłumu, zobaczyć świat, i właśnie to zrobił. Kiedy wydali jego książkę, dużo podróżował. – Zamknęła na chwilę zmęczone oczy, odpoczywała. – Potem wrócił do domu. Ludzie zawsze wracają do domu, prawda? Wtedy lepiej był znany tutaj niż na południu. Czytałeś tę książkę?

– Właściwie to nie. Mam egzemplarz, który mi pożyczono.

– Więc przeczytaj. Nie pożalujesz – powiedziała. – Mniejsza o to. Nie jesteś chłopakiem stąd, co cię tutaj sprowadziło? Śledzi już nie ma.

– Zaproponowano mi pracę.

– Rozmowy ze starymi kobietami o martwych pisarzach... ekscytuje cię to? Szkoda, że cię tutaj nie

było, jak były śledzie. Mówię ci, to były czasy. Zaczęłam pracę przy śledziach, kiedy miałam trzynaście lat. Soliłam je, ot co. Moje dzieci zaczęły, kiedy były jeszcze młodsze – najmłodsze miało osiem lat, jak zaczęło solić. Dzisiaj nie pozwolono by na to, prawda? Kiedy przyływały śledzie, to było jak przygoda, a kiedy nie przyływały, to był koszmar.

Patrzyła nieobecny wzrokiem. Już nie wbijała wzroku w Ariego Thóra, teraz widziała przeszłość; jakby w tle rozbrzmiewał stary walc śledzi.

– Kiedy pracowałam szybko, w dwadzieścia minut soliłam beczkę śledzi... w dwadzieścia minut! Mnóstwo ludzi zazdrościło mi tego. Coś wtedy byłam warta – uśmiechnęła się. – Szkoda, że nie widziałeś, jak przyływają łodzie, obładowane po krawędź nadburcia. Tyle było w nich śledzi, że ledwie trzymały się na wodzie. Co za wspaniały widok. Byłeś na górze Hvanneyrarskál?

Ari Thór pokręcił głową. Ulżyło mu, że znowu utkwiała w nim wzrok i już nie zanurzała się we wspomnieniach o śledziowym boomie sprzed lat.

– Słyszałem piosenki o tej górze – powiedział nieśmiało. Żałował, że nie znalazł czasu, żeby samemu tam pójść.

– Wejdź na tę górę latem. Mnóstwo romantycznych przygód tam się zaczęło.

Pokiwał posłusznie głową.

– Opowiedz mi o Hrólfurze...

– Oczywiście. Przepraszam, chłopcze. Zupełnie zapomniałam.

– Nic się nie stało – uśmiechnął się. – Powiedz, czy twoim zdaniem był jakiś powód, żeby ktoś zepchnął Hrólfa ze schodów? Czy ktoś miał coś przeciwko niemu?

– Tak i nie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał mu zrobić krzywdę, chociaż mnóstwo ludzi miało z nim na pieńku. Była w nim jakaś arogancja i potrafił niezręcznie się zachować, kiedy pił. Chciał też, żeby wszystko było zrobione tak, jak on to sobie wyobraża. Nietrudno mi sobie wyobrazić, że był nie do zniesienia jako prezes Towarzystwa Dramatycznego – powiedziała i zawahała się. – Wybacz, proszę, że źle mówię o zmarłym. Ale naprawdę chcę pomóc, jeśli ktoś mógł go zepchnąć.

– Rozumiem – powiedział Ari Thór i zamilkł, żeby mogła mówić dalej.

– Właściwie... jest coś, co może być ważne. Przed Bożym Narodzeniem wspomniał, że jest na tropie jakiejś tajemnicy. Chyba tak się wyraził: jakaś tajemnica. Niektórzy członkowie Towarzystwa Dramatycznego coś przed nim ukrywali. Uśmiechał się, kiedy to mówił i wyglądało na to, że jest zachwycony, bo odkrył coś ciekawego. Stary miał oczy jak jastrząb.

– Tajemnica?

– Właśnie, tajemnica – powiedziała, ścisząc głos niemal do szeptu.

– Nie wiesz, jaka to tajemnica?

– Dokładnie nie wiem. Ale dowiedziałam się od niego... że to może być coś... – powiedziała, mrużąc oko. – Chyba rozumiesz o co mi chodzi.

– Coś romantycznego? Zdrada małżeńska?

– Takie odniosłam wrażenie, albo coś na kształt tego.

Ari Thór szybko notował. W tym, co starsza pani chciała powiedzieć, mogło coś być.

– Nie wiesz, czy sporządził testament?

– Nigdy mi o tym nie wspominał. Ale na pewno go spisał. Nie wiem, czy ma jakichś żyjących bliskich krewnych, są tylko odlegli kuzyni, ale wiem, że zostawił po sobie całkiem sporo dóbr doczesnych. Nie tak jak ja... wszystko co mam, to ta stara skrzynia – roześmiała się i pokazała gestem starą drewnianą kasetkę. Drewno straciło kolor i było wypolerowane od używania. Prawdopodobnie pochodziło z czasów, kiedy Sandry jeszcze nie było na świecie.

– Wydaje mi się, że może chodzić o dziecko.

– Dziecko? – Zmrużyła oczy, patrząc na niego w zdumieniu.

– Tak, mówi się, że Hrólfur został ojcem po wojnie.

– Dobry Boże, tej historii nie słyszałam. Skąd to wzięłeś?

– Od Pálmiiego... Pálmiiego Pálssona.

– Znam go, oczywiście. On i Hólfur byli dobrymi przyjaciółmi, więc może rozmawiali o czymś takim.

Ale muszę powiedzieć, że dla mnie to całkowita nowość. Cóż, takie jest życie, ciągle nas zaskakuje. Biedny stary.

– Hrólfur?

– Nie. Pálmi. Stracił ojca, gdy był bardzo młody. Prawdziwa tragedia. Jego ojciec był nietuzinkowym charakterem, bardzo artystycznie nastawionym, walczył o to, żeby zapuścić gdzieś korzenie. Opuścił żonę i małego synka, żeby pojechać do Kopenhagi, ale potem zaraził się gruźlicą i umarł. Podejrzewam, że poznał parę damulek, zanim przyszła na niego kryska. Nie był z tych, co nie zbaczą z właściwej ścieżki.

– Sandra znów sugestywnie mrugnęła.

– Jego stara przyjaciółka z Danii zatrzymała się teraz u Pálmiiego.

– Nie mów! – zdziwiła się Sandra. – Kochany Pálmi sam dobrze dał sobie radę. Jego matka umarła bardzo młodo, miała tylko sześćdziesiąt pięć czy sześć lat. Zawał – powiedziała i nagle zapytała: – Jadasz śledzie?

– Hm... nie.

– W tamtych latach były dobre – powiedziała. Powrócił nieobecny wyraz twarzy. – A ludzie kiedyś naprawdę umieli je przyrządzać.

Uśmiechnęła się, jej wzrok utkwił gdzieś w przeszłości. Ari Thór czekał cierpliwie.

– To były dobre lata – powtórzyła. – Zawsze mam go z sobą, ot tak, na wszelki wypadek – powiedziała i sięgnęła po książkę z komody. Był to stary notatnik, wymięty i bardzo zużyty. – Kiedyś nie kupowaliśmy książek kucharskich. Za mało było grosza, żeby go marnować. Sama zapisywałam swoje przepisy. – Trzymała notatnik, jakby to było coś cennego; otworzyła go na środkowej stronie. – Widzisz, chłopcze? To przepisy na śledzie. Królewskie jadło.

Ari Thór z trudem odcyfrowywał drobne, staranne pismo.

– Powiedz, co się stało Lindzie? Jak ona się czuje? – zapytała Sandra, kładąc notatnik na kolanach.

– Czy... – zająknął się i zaczął od nowa. – Czy ją znałaś?

– Wiem, kim jest. Pracuje w szpitalu. Kochana dziewczyna, ale mówię ci, w oczach zawsze ma jakiś smutek.

– Jest na OIOM-ie w Reykjavíku. Nadal nieprzytomna.

– Słyszałam, że zatrzymaliście Karla.

– To nieprawda. Musieliśmy z nim porozmawiać, bo to on znalazł Lindę po napadzie.

– Jest niewinny, jestem pewna.

– Naprawdę?

– Taki słodki chłopak.

– Dobrze go znasz?

– Kiedyś dobrze go znałam, zanim jego rodzice postanowili przenieść się do Danii. Często spotykałam go w spółdzielni, kiedy tam pracowałam. Sprawiał takie dobre wrażenie i na pewno nadal taki jest. Pracował wtedy u matki Pálmiiego, pomagał jej w pracach domowych za kieszonkowe. Robił wszystko, co tylko było jej potrzebne – chodził po zakupy, naprawiał rzeczy w domu, nawet został szczurołapem, kiedy było trzeba. Mniejsza. Kochany chłopiec.

Ari Thór tylko się uśmiechnął, nic nie powiedział o wystraszonej Lindzie, która zadzwoniła na policję w Wigilię, nic nie powiedział o kłótniach i siniakach.

– Czy Hrólfur miał jakichś innych znajomych? Chodzi mi o tych bliskich.

– Zawsze dobrze mówił o Úlfurze, twierdził, że lubi się z nim porządnie posprzeczać, że chłop ma charakter. Ale powiedział też, że Úlfur powinien się trzymać reżyserii w teatrze i podrzeć tę swoją sztukę.

– Sztukę?

– Tak, sztukę. Podobno napisał sztukę – powiedziała z uśmiechem, potem ziewnęła. – Cóż, mój chłopcze, zaczynam czuć się zmęczona. – Upiła łyk kawy, która musiała już być zimna. – Na dziś wystarczy, prawda? Wróć tutaj spotkać się ze mną innym razem.

Ari Thór popatrzył na starszą panią. Oczy zaczynały się jej zamykać, odchyliła głowę do tyłu. Serce mocno mu biło. W historii Hrólfura musiało być więcej, niż się wydawało.

W sobotę znowu bez przerwy padał śnieg. Tworzył lodowe nawisy w ogrodach, a głębokie po kolana zaspy w miasteczku sprawiały, że po ulicach się brodziło zamiast chodzić.

Ari Thór uważał, że śnieg dodał miastu miłego ciepła w tygodniach przed Bożym Narodzeniem, prawie świątecznej atmosfery, podczas gdy w Reykjavíku grudzień był z reguły deszczowy. Ale teraz ten niekończący się śnieg robił się nie do wytrzymania. No tak, rozjaśniał najciemniejszy okres roku nad tym północnym fiordem, ale utrudniał życie. Nawet policyjna terenówka czasem z trudem przedzierała się przez ulice, a ten, kto chodził piechotą, miał zagwarantowane, że buty, skarpetki i spodnie będą mokre.

Ari Thór stał przed okazałym kościołem Siglufjördur z Tómasem i Hlynurem, którzy w ten weekend mieli służbę. W komisariacie omówili jego rozmowę z Sandrą. Mnóstwo było przy tym domysłów, jaką tajemnicę mógł mieć Hrólfur, ale nie wynikły z tego żadne wnioski. Ari Thór nie był w mundurze; włożył garnitur, z szacunku dla Hrólfura, człowieka którego nigdy nie spotkał. Sandra trafiła w sedno, opisując go jako człowieka złożonego. Osiągnął godne szacunku szczyty w swojej karierze, ale nie potrafił odejść, kiedy sława przeminęła. Miał przyjaciół i znajomych, ale też takich, którzy mu zazdrościli. Był z niego trudny gość, kiedy się złościł, ale potrafił być uprzejmy i przyjacielski w innych sytuacjach. Jego znajomość z Uglą to dobry przykład.

Ari Thór pomyślał o księżce, którą od niej pożyczył. Wkrótce będzie musiał do niej zajrzeć, może mu to dać jakiś pogląd na umysł zmarłego pisarza.

Siedzieli na pustej ławce pośrodku kościoła. Wewnątrz kościół wydawał się mały w porównaniu z widokiem z zewnątrz. Był spokojnym miejscem z witrażami, schronieniem przed śniegiem. Przed kościołem Ari Thór wpadł na Uglę; wymienili spojrzenia, ale nic nie mówili. Od pocałunku nie rozmawiali; martwiło go to przez cały czas.

Spał źle, nie udawało mu się zasnąć. Teraz zawsze pamiętał, żeby zamykać drzwi wejściowe. Nikt nie przyznał się do włamania, a Tómas odłożył sprawę na bok, bo skoncentrowali się na Lindzie i Karlu. Ale Ari Thór czuł ukłucie niepokoju za każdym razem, kiedy zamykał oczy. Bał się, że obudzi go czyjaś obecność w domu, a to znaczyło, że nie czuł się bezpieczny u siebie. Koszmary, ataki paniki, których doświadczał, zanim odwiedził go intruz, stały się mroczniejsze i dłuższe. W pracy czuł skutki braku snu, ale nadal oddawał się jej z zapalem. Najgorszym zmartwieniem było, że jego związek z Kristín stopniowo zdawał się zanikać. Chociaż byli ze sobą względnie krótko, uważał, że to właśnie ta jedyna i na swój sposób nadal tak myślał, chociaż przeszkadzała sympatia do Ugli.

Kościół powoli wypełniał się ludźmi, Ari Thór wielu już znał z widzenia. Úlfur i Pálmi usiedli w pierwszej ławce razem z żałobnikami, którzy mieli nieść trumnę. Leifur siedział z przodu, samotnie, najwyraźniej zaprzątnięty innymi sprawami, jakby żałował, że nie może być gdziekolwiek, byle nie na pogrzebie.

Karl siedział dwa rzędy przed Arim Thórem, obok Anny. Ari Thór zastanawiał się, czy nie powinien spróbować zagadać do niej na przyjęciu po pogrzebie. Miał zamiar porozmawiać ze wszystkimi, którzy byli na próbie, ale zajęło to więcej czasu, niż przewidywał i nie zmieściło się w planach.

Zawiść. Ugla posądzała Annę o zawiść, że ominęła ją główna rola. Ari Thór wiedział, że ma skłonność do przyjmowania za prawdę wszystkiego, co powiedziała Ugla i zastanawiał się, czy nie powinien czasem wątpić w jej słowa, albo po prostu cieszyć się, że ma dostęp do kogoś, kto zna Towarzystwo Dramatyczne od środka – tym bardziej, że wierzy jego słowom.

Kościół był wypełniony, kiedy zaczęło się nabożeństwo. Możliwe, że nie wszyscy obecni osobiście znali autora, ale niespodziewana śmierć jakby tchnęła nowe życie w jego autorytet, we wspomnienie jego niegdysiejszej chwały. W nabożeństwie uczestniczył każdy, kto był kimś. Ari Thór słyszał, że miało przyjechać dwóch ministrów poprzedniego rządu, żeby oddać cześć Hrólfurowi, ale nie dali rady. Podróż nadal była niebezpieczna, droga do Siglufjördur prawie nieprzejezdna, a w górach nad miastem szalała zamieć.

Msza pogrzebowa była uroczysta – islandzkie pieśni ludowe mieszały się z klasyką, czytano fragmenty *Wierszy do Lindy*. Wspaniały ołtarz dłuta Gunnlaugura Blöndala, przedstawiający Jezusa ukazującego się żeglarzom w niebezpieczeństwie na zdradliwych wodach, stanowił wzruszające tło, przypomnienie strat, które przez lata ponosiło Siglufjördur przez bliskość bezlitosnego morza. Requiem było dramatyczne, ale Ari Thór nie widział, żeby ktoś zapłakał. Hrólfura szanowało wielu, ale płakał po nim mało kto. Pytanie brzmiało, czy ktoś go nienawidził.

Nína Arnardóttir nie miała łatwego życia. Z powodów, których nigdy nie rozumiała, nie potrafiła iść razem ze swoimi rówieśnikami, a może to oni nie wpadali w rytm z nią. Nie zdążyła na autobus, lata przeleciały obok i została sama w małym, ciemnym mieszkanku. Często zastanawiała się, dlaczego nie poszła do przodu i nie wzięła życia za kark – nie zbudowała związku, nie miała rodziny, nie żyła tak, jak żyli inni, otoczeni ludźmi. Kiedyś zakochała się, tylko raz, i to była czysta miłość. Mężczyzna starszy od niej odrzucił ją; bardzo uprzejmie powiedział, że nie jest im to pisane, ale i tak czuje do niej sympatię. Po tym jeszcze bardziej go pokochała, ale już nie wracała do tego. I nigdy już nie otworzyła serca; nigdy nie dała sobie szansy, żeby znowu się zakochać. Teraz marnowała dni w ciemnym domu, czytała przy lampie albo oglądała telewizję. Lata mijały w monotonnej rutynie egzystencji i nagle dobiegła sześćdziesiątki.

Teraz nie miała przyzwoitej pracy, mieszkała w mieszkaniu socjalnym i żyła z zasiłku, który stanowił jej cały dochód, jednocześnie pracując społecznie dla Towarzystwa Dramatycznego. Łatwo i przyjemnie było zajmować się sprzedażą biletów, a od czasu do czasu jakąś niewielką robótką. Nigdy nie czuła się dobrze w tłumie, ale była gotowa znosić ludzi w zamian za szansę bycia częścią Towarzystwa Dramatycznego.

Nína była mocno zbudowana, korpulentna, miała grube kości. Doskonale zdawała sobie sprawę, że upływ lat nie odebrał jej sił. Za młodu, w szkole, tęga figura uczyniła z niej ofiarę niezliczonych żartów. Ale mimo siły fizycznej nie broniła się, kiedy ojczym podnosił na nią rękę, nie powazyła się na nic poza zasłanianiem głowy i przyjmowała ciosy, które na nią się sypały. Gorzej było, kiedy przestał ją bić; wtedy zaczęła naprawdę się bać. Czasem wychodził albo leżał na kanapie i odpływał w pijackie zamroczenie. Niekiedy był spokojniejszy i zamiast gradu ciosów pojawiały się obmacujące ręce. Wtedy zamykała oczy i kryła się we własnej ciemności. W tamtych latach najlepiej czuła się w mroku, pod łóżkiem albo w szafie, gdzie miała spokój. Tam się chowała, kiedy go słyszała. Nauczyła się rozpoznawać odór alkoholu i brzęk szklanki o butelkę. Rozwinęła w sobie instynkt; w kilka sekund wiedziała, dokąd uciekać, gdzie się schować. Wiedziała, że inne dzieci w szkole bawią się w chowanego, ale dla nich stawka nie była taka wysoka. Kiedy dorosła, nie była w stanie zrozumieć, dlaczego nikt nie przychodził jej z pomocą. Dlaczego jej matka, sama bita, nie zwracała uwagi na przemoc? Nína raz próbowała się jej poskarżyć, ale matka odwróciła wzrok i powiedziała, że to nieładnie kłamać o ludziach. Potem już nigdy nie wracała do tego tematu.

Dziwiło ją do tej pory, że nauczyciele nic nie mówili, kiedy pojawiała się w szkole pokryta siniakami.

Czy naprawdę wierzyli, że kolejny raz „upadła”? Dlaczego nikt nie podał pomocnej ręki ani nawet nie zwrócił uwagi, że przestała się odzywać do innych uczniów, że wycofała się głębiej w swoją ciemność, w mały, samotny świat?

Zamiast tego nauczyciele wmawiali, że ma problem z koncentracją, sugerowali, że się nie uczy. Źle wypadła na egzaminach. Bardzo długo, pod wpływem opinii nauczycieli, uważała, że brakuje jej inteligencji potrzebnej do studiowania. Jej strach przed książkami narastał i wkrótce stało się oczywiste, że koleżka jest wykluczony, podobnie jak wszelkie marzenia o uniwersytecie. Najgorzej miała, kiedy była nastolatką. Została w Siglufjörður i patrzyła, jak wyjeżdżają ludzie z jej pokolenia – niektórzy do Akureyri, niektórzy do Reykjavíku, żeby wystartować w ekscytującą przyszłość. Spędzała samotnie wiele godzin w swoim pokoju, w ciemności, nawet kiedy on w końcu umarł, dzięki uprzejmości butelki.

W końcu matka ustąpiła pod presją, nie wytrzymała stresu, kiedy widziała, jak jej córka spędza całe godziny samotnie, w ciemności. Nínę umieszczono w zakładzie w Reykjavíku i te dwa spokojne lata minęły jakby we mgle. Zapamiętała, że identyczne dni stapały się w jeden i że matka ani razu jej nie odwiedziła. Kiedy Nína wreszcie wróciła do Siglufjörður, zapytała matkę, dlaczego tak było. Matka wytłumaczyła swoją nieobecność, mówiąc że przez te dwa lata mieszkała z krewnymi na południu. Nína nigdy się nie dowiedziała, czy ktokolwiek w miasteczku odkrył prawdę i naprawdę jej to nie obchodziło.

Po tak koszmarnych przejściach nawet nie myślała, że odnajdzie prawdziwą miłość, ale kiedy miłość stanęła przed nią, przywarła do niej, nawet gdy obiekt jej uczuć łagodnie odtrącił jej awanse. Nadal kochała go z oddali, choć będąc blisko. Kochała, i już.

– Coś dziwnego mówią o Nínie – powiedział Tómas do Ariego Thóra przed pogrzebem. – Spróbuj z nią porozmawiać na przyjęciu. Zniknęła na parę lat, kiedy była całkiem młoda, wysłano ją do Reykjavíku. Pamiętam, jak moja matka i jej przyjaciółki rozmawiały o tym. Jej ojciec był alkoholikiem, a ona zawsze była bardzo zamknięta w sobie.

Ari Thór zastanawiał się, co się będzie mówiło o wielebnym Arim Thórze, kiedy się stąd wyprowadzi. A może już się o nim mówi? Plotkuje o nim i o Ugli? Pewnie usłyszy to jako ostatni.

Nína siedziała przy stole w sali na piętrze kościoła; jadła tradycyjne pączki, popijając je sokiem pomarańczowym ze szklanki. Patrzyła na drugą stronę korytarza, na Pálmiego i Úlfura, którzy stali razem i rozmawiali. Wystraszyła się, kiedy Ari Thor usiadł obok niej.

– Widać, że ślisko na dworze – powiedział, wskazując prawą stopę Níny w gipsie.

Odpowiedziała mu poważnym spojrzeniem.

– Wszędzie jest lód – zgodziła się.

– Opłaca się ostrożnie chodzić – rzekł radośnie. Nie miał ochoty od razu przeskakiwać do pytań o Hrólfa. Rozejrzał się po zgromadzonych gościach. Nikt nie wróci głodny do domu; stoły ugięły się pod ciężarem ciast, pączków i naleśników.

Nie odpowiedziała, spojrzała na zgromadzonych.

– Często rozmawiałaś z Hrólfurem?

– Ja? Nie. Od czasu do czasu rzucał jakieś rozkazy. Tyle tego było – odpowiedziała, najwyraźniej marnie się czując z myślą, że źle mówi o zmarłym zaraz po jego pogrzebie.

– Lubił rozkazywać?

– Tak. Dla niektórych ludzi bywał trudny. Nie dla wszystkich. Albo człowieka lubił, albo nie – powiedziała.

Ari Thór przyjął to jako proste stwierdzenie faktu, pozbawione żalu czy goryczy.

– Myślisz, że cię lubił?

– Nie sądzę, żeby miał jakieś zdanie na mój temat. Teraz to bez znaczenia, prawda?

Było jasne, że nie oczekuje odpowiedzi.

– Sądzę, że Hrólfur był ciekawski. Czy mógł usłyszeć coś, co nie było dla niego przeznaczone? Może coś, co miało związek z kimś z Towarzystwa Dramatycznego?

– Z kimś, kto zepchnął go ze schodów?

Jej bezpośredniość zaskoczyła Ariego Thóra, chociaż była to miła odmiana. Ona pierwsza z osób, z którymi rozmawiał o śmierci Hrólfa, nie miała niczego do ukrycia, nie licząc Ugli, oczywiście. Ugla niczego by przed nim nie ukrywała, chociaż nie był wobec niej tak otwarty, jak powinien.

Nie wspomniał o Kristín.

Ugla siedziała za stołem obok Leifura. Szybko rzucił okiem w jej stronę, żeby nie zauważyła, że patrzy. Oczy miała spuchnięte, jakby płakała. Może jego ocena, że nikt nie płakał po starym, była błędna.

– Może – odpowiedział, wracając myślami do Níny i do sprawy.

– Uczciwie mówiąc, nie. Myślę, że działał ludziom na nerwy, ale nie wyobrażam sobie, żeby ktoś chciał mu zrobić krzywdę – powiedziała Nína. Nadal nie odpowiedziała na pytanie, czy Hrólfur nie dowiedział się czegoś, czego nie powinien wiedzieć, jakichś tajemnic w Towarzystwie Dramatycznym, więc Ari Thór powtórzył pytanie.

Milczała przez chwilę, jakby ważyła myśli.

– Nie – odpowiedziała wreszcie i popatrzyła na drugą stronę sali, gdzie stali Pálmi i Úlfur, jakby wolała rozmawiać z nimi. Oczy miała puste, twarz bez wyrazu.

Ari Thór wstał i podziękował za rozmowę.

Tómas i Hlynur rozmawiali z ludźmi, których nie rozpoznawał. Każdy tutaj znał każdego, a on czuł się jak nieproszony gość; może nie było to dalekie od prawdy? Nie znał nawet zmarłego.

Rozejrzał się z nadzieją, że będzie okazja na rozmowę z Anną, ale nigdzie nie było jej widać – Karla też.

Siglufjördur: sobota 17 stycznia 2009

W czarnej marynarce nie było jej do twarzy, więc ją zdjęła, zdjęła też T-shirt, stojąc przy łóżku w mieszkaniu w suterenie. Zerknęła na okno, żeby się upewnić, że zasłony są zaciągnięte – chociaż to nie miało znaczenia przy takiej zadymce – i zdjęła spodnie. Czarny nie był jej kolorem.

Jak często się zdarzało, poszli do jej mieszkania. Przy tym śniegu niewiele było widać, co dawało im osłonę. Siglufjördur nie było najlepszym miejscem na romans i musieli bardzo uważać. Z drugiej strony... nie miała doświadczenia w zdradzie małżeńskiej w większych miejscowościach, ale wyobrażała sobie, że tutaj będzie znacznie łatwiej. Tutaj, gdzie wszystko musiało się dziać pod osłoną ciemności i nikt nie był wolny od czujnych oczu sąsiadów zza uchylanych zasłon. Nie było tu hoteli, w których parka mogła się zarejestrować pod fałszywymi nazwiskami. Menedżer jedyne hotelu w miasteczku był starym przyjacielem jej rodziców, a z kierownikiem recepcji chodziła do szkoły.

Ta sprawa zakrawała na kompletne szaleństwo. Ale czyż nie było to atrakcyjne? Podniecenie płynące z konspiracyjnych spotkań w ciemności i gorączkowego seksu. Oboje uczestniczyli w próbach, co ułatwiało sprawę. Innymi słowy, istniał niewinny powód, żeby widziano ich razem na przechadzce, ale musieli uważać, kiedy spotykali się u niej. Zawsze pojedynczo, zawsze w ciemności. Na szczęście drzwi do jej suterenu nie wychodziły na ulicę, ale były ukryte z boku domu. Rodzice właściwie nie wtrącali się w jej życie i nie mieli zwyczaju odwiedzać jej bez zapowiedzi. Na pewno mieli nadzieję, że odłoży przeprowadzkę na południe, jeśli zostawią ją w spokoju, chociaż przecież mieszkała w ich domu. Z pewnością nigdy nie przyszło im do głowy, że może mieć kochankę, a na pewno nie to, że jej kochanek żyje z inną kobietą. Jakkolwiek by na to patrzeć, sytuacja była niewybaczalna. Trudno jej było znaleźć słowa, żeby opisać, jak bardzo się za to nienawidzi. Ale nie mogła się powstrzymać. Za każdym razem to miał być ten ostatni raz, a kiedy trzymał ją w mocnych objęciach, zapominała, co znaczy słowo sumienie.

Nawet teraz, tuż po pogrzebie, nie mogła się powstrzymać. Usidlił ją przenikliwym spojrzeniem po mszy, tak słodko szeptał jej do ucha.

– Nie w środku dnia, nie teraz. Ktoś nas zobaczy – zaprotestowała bez przekonania. Z równym powodzeniem mogła go zapytać, na co jeszcze czekają. Wszystko jedno, wiedziała, że nie czas jest najgorszą rzeczą. Nie miało znaczenia, że był dzień, że dopiero co skończył się pogrzeb człowieka, którego oboje nie lubili. Najgorsze, że nie potrafiła powiedzieć nie, mimo że wiedziała, co przydarzyło się jego dziewczynie.

– Masz zamiar tu stać? – zapytał. Mówił łagodnym głosem, ale była w nim tak uwodzicielska siła, że rozpływała się za każdym razem, kiedy go słyszała.

– Co z Lindą? To takie okropne. Na litość boską, Karl, ona jest na OIOM-ie w Reykjavíku!

– Daj spokój, nie bądź taka. Wiesz, że wszystko między mną a Lindą skończyło się dawno temu.

– Ale to twoja dziewczyna i nadal jest w stanie krytycznym.

– Nic na to nie poradzę, a policja nie puści mnie na południe – powiedział. – To nie ja ją zaatakowałem – dodał wyzywającym tonem.

Mam nadzieję, że nie. Tylko tak mogła zareagować.

– Nie zaatakowałem Lindy – powtórzył Karl. – Przecież wiesz, prawda?

Anna popatrzyła na niego. Chciała mu wierzyć, ale nie była do końca pewna. Musiała ukryć wątpliwości.

– Oczywiście, kochany. Oczywiście, że wiem.

Nie mogła się doczekać; chciała go poprosić, żeby już wyszli, ale to wszystko było zbyt podniecające; tak fantastycznie nieprzyzwoite, że nie mogła oprzeć się pokusie, żeby wślizgnąć się do łóżka obok niego.

Pomyślała, że to byłaby katastrofa, gdyby ktoś teraz przyszedł. Kim by się stała? Co by powiedzieli jej rodzice? Historia rozeszłaby się po mieście jak wirus. Dla Karla nie miałoby to takiego znaczenia – mógłby po prostu wyjechać, może wrócić do Danii. Ale ona nie miała na razie innego domu niż Siglufjördur i zdobyła ogromną szansę na długoterminową pracę w szkole. A teraz to wszystko wisało na włosku, wszystko postawiła na jedną kartę i kilka minut namiętności z Karlem. Podobnie jak to, że mu zaufała, że nie rozgada sprawy.

Nieraz pytała siebie, co naprawdę o nim wie. Wiedziała, że jest dla niej za stary; latem będzie miał czterdzieści trzy lata przy jej dwudziestu czterech. Dwadzieścia cztery; uderzyło ją, kiedy ksiądz opisując życie Hrólfa powiedział, że pisarz miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, kiedy wydano jego arcydzieło. Kiedy był w jej wieku, miał już za sobą swoje największe osiągnięcie. Jej osiągnięcia do tej pory to ukończenie uniwersytetu i sypanie z mężczyznami innych kobiet.

Karl z pewnością był dla niej za stary, chociaż wiedziała, że jej przyjaciółki na południu chodzą z mężczyznami w tym wieku – nawet ze starszymi. Ale zdrada to co innego.

Zadzwoił telefon, komórka Karla. Nawet nie podniósł wzroku.

– To może być coś o Lindzie. Nie odbierasz?

– Nie teraz, kochanie. Jesteśmy zajęci.

Jak mógł ją do tego stopnia oczarować człowiek, któremu tak mało zależało na życiu własnej żony?

Teraz zadzwonił jej telefon; sięgnęła do stolika nocnego.

– Nie odbieraj, kochanie – powiedział Karl.

Ale Anna już odebrała.

– Halo? Tu Anna.

To był Úlfur. Mówił opanowanym głosem.

– Anno, zwołuję całe towarzystwo. Mogłabyś przyjść do teatru po południu? Powiedzmy o trzeciej? Musimy omówić pewne sprawy.

– W porządku, będę.

– Dobrze. Przy okazji, widziałaś Karla? Nie widziałem was dwojga na przyjęciu.

Anna chwilę milczała, zanim odpowiedziała:

– Nie, nie widziałam go.

– To był Úlfur – powiedziała, gdy się rozłączyła. Słabo się uśmiechnęła; w głębi duszy była zaniepokojona, bała się, że ktoś może dodać dwa do dwóch. Nie śmiała rozwijać tej myśli.

Úlfur wszedł do teatru i zobaczył, że jest sam.

Widownia była chyba jedynym miejscem w miasteczku, gdzie potrafił odciąć się całkowicie od burzliwego świata i schronić w świecie ułudy – w fantazji, w której nic nie dzieje się źle, w świecie, w którym prezes Towarzystwa Dramatycznego nie zginął, spadając ze schodów przed tygodniem, a żona aktora grającego główne role męskie nie została znaleziona w śniegu, bliska śmierci, w kałuży własnej krwi.

Popatrzył na widownię.

Nagle poczuł się staro; samotny człowiek, przygnieciony tęsknotą za pracą, za byłą żoną, a nawet za zmarłą matką. Chociaż to jego zapewne poproszą, żeby poprowadził Towarzystwo Dramatyczne w

miasteczku, wszystko przestało mieć znaczenie.

– Cholera! Cholera! – Tómas był wściekły. Rąbnął kubkiem o stół przed komputerem. Właśnie przed chwilą przeczytał najnowszą informację o śledztwie w sprawie nieszczęśliwego wypadku w Towarzystwie Dramatycznym.

Ari Thór zgodził się pojechać do komisariatu policyjnym dżipem, chociaż nadal miał na sobie garnitur. Mimo że nie miał służby, nie ciągnęło go do domu. Przy takiej srożej zimowej pogodzie dobrze było mieć towarzystwo. Usiadł z Hlynurem w kąciku z kawą i aż podskoczył, kiedy gniew Tómasa wykypiał.

– Do diabła! – zaklął Tómas po raz trzeci.

Ari Thór wstał, Hlynur siedział bez ruchu, cichutko jak myszka.

– Co się stało? – z trudem zapytał Ari Thór.

– Gdzie oni to wytrzasnęli? Jak do cholery to wywąchali? Popatrz tylko.

Ari Thór przeczytał tytuł i początek artykułu.

Morderstwo w Teatrze Siglufjördur?

Według godnych zaufania źródeł, policja z Siglufjördur uważa śmierć Hrólfa Kristjánssona za podejrzaną...

– Czy któryś z was powiedział komuś o tym? – Tómas spojrzał oskarżycielsko na Ariego Thóra.

Ari Thór pokręcił głową, a Hlynur coś wymamrotał.

– Co?

– Nie. Ani słowa, nikomu – powiedział Hlynur.

– Wcześniej pytałem Nínę, oczywiście nie wprost, ale raczej nie wyobrażam sobie, żeby zadzwoniła do jakiegoś dziennikarza – powiedział Ari Thór.

– Nigdy nie wiadomo. To cholerny kłopot.

Tómas po raz drugi przeczytał informację.

– Ten sam dziennikarz, który chciał dowiedzieć się o Lindę. Normalnie to bym do niego zadzwonił i coś mu powiedział, ale musimy zakończyć to cholerne dochodzenie i to tak szybko, jak się da. Chyba opublikujemy informację, że dochodzenie w sprawie Hrólfa zostało zakończone i że to był wypadek. Ari Thór, rozmawiałeś ze wszystkimi, którzy mieli tamtego wieczoru próbę?

Ari Thór myślał szybko. Jeśli doda pogawędkę z Úlfurem na basenie, w wannach z gorącą wodą, i prywatne rozmowy z Uglą, to zostanie tylko jedna osoba, z którą musi porozmawiać.

– Z wszystkimi poza Anną.

– Chodziłem do szkoły z jej ojcem. Porządny gość i maniak samochodowy, tak jak ty.

Ari Thór był zły, że nieostrożnie zdradził swoje zamiłowanie do samochodów; stało się to częścią jego obrazu wraz z teologią. Wielebny Ari Thór – ksiądz i maniak samochodowy. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie mógł zostać tylko Arim Thórem?

– Powinieneś przyrzeć się temu jego staremu dżipowi. To prawdziwa ślicznotka, nadal ma oryginalne tablice rejestracyjne. Nie widuje się wielu samochodów z takimi tablicami. Wiele lat temu kupił go od Karla, zanim ten wyjechał do Danii. Karl całe lata oszczędzał, żeby kupić ten wóz, a potem musiał zebrać manatki i wyjechać razem z rodzicami. Domyślam się, że do tej pory żałuje, że go sprzedał.

Ari Thór popatrzył na kolegę, lekko speszony. Czy jest w ogóle jakaś nadzieja, że dotrze się do sedna tej sprawy w miasteczku, w którym wszyscy znają wszystkich tak dobrze?

Starzy kumple ze szkoły, byli koledzy z pracy, przyjaciele i krewni. Wszyscy powiązani niezliczonymi więzami.

– Zadzwonię do Anny, zobaczę, czy można się z nią spotkać – powiedział Ari Thór, unikając dyskusji

na temat Karla i samochodu. Cokolwiek, żeby się tylko stąd wynieść.

– Przedstawienie trwa nadal.

Anna usiadła z tyłu widowni, niedaleko Karla i Pálmiiego. Nína przyszła niespodziewanie późno i usiadła obok Pálmiiego. Leifur stał pod ścianą, z głową w chmurach, umyślnie ignorując wszystkich wokół. Úlfurowi nie udało się zyskać uwagi obecnych.

Anna uważała, żeby usiąść jak najdalej od Karla.

– Dziś pożegnaliśmy Hrólfura, ale on nadal patrzy na nas z góry – powiedział Úlfur.

Nie umknęło uwagi Anny, że występy sceniczne nie wychodzą Úlfurowi zbyt naturalnie. Był zdenerwowany, nieustannie gestykułował, zerkał na wszystkie strony, ale głównie patrzył w dół.

– Hrólfur chciałby, żeby bez względu na wszystko sztuka została wystawiona. Proponuję, żebyśmy zrobili prapremierę w następny weekend, w sobotę. W tygodniu zrobimy jedną próbę w kostiumach, a potem pokażemy najwspanialszą sztukę, jaką Siglufjörður widziało w swoich dziejach. Właśnie rozmawiałem z Karlem. Jest gotów zagrać główną rolę mimo... – zawahał się – ...sytuacji, w jakiej znalazła się Linda. To przejaw wielkiego oddania i odwagi, muszę powiedzieć. Podziwiam tego człowieka.

Uśmiechnął się ciepło do Karla, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Nikt nie odezwał się słowem.

– Hm, cóż. Spotykamy się tutaj w czwartek. To będzie ostatnia próba. Są pytania?

Przez chwilę znów panowała cisza. Potem wstała Anna i powiedziała cicho, ale tak wyraźnie, że słycać ją było na całej widowni: – Czytałam w gazecie, że Hrólfur mógł zostać... zamordowany.

Úlfur wzdrygnął się z przerażenia i pokręcił głową, wymamrotał coś niezrozumiale. Potem przemówił tak głośno, że było go słyszeć w całej sali.

– Głupota! Cholerna głupota! Czy to aby nie jedna z tych złośliwych plotek? – krzyknął. – Kiedy w niezwykłych okolicznościach umiera ktoś znany, mówi się różne głupstwa. – Wyjął chusteczkę i otarł czoło. – Może powinniśmy zakończyć to zebranie? Wracajmy do domu, zanim dosłownie zasypie nas śnieg.

Zadzwoił telefon Anny. Nie rozpoznała numeru, ale odebrała.

– Tak... niedługo będę w domu – powiedziała. – Znasz adres? Zgadza się. Mieszkam w suterenie.

Czuła, jak pot występuje jej na skórę. Opuszki palców nagle jej zwilgotniały. Policja.

Dowiedzieli się o romansie?

Jeśli nie, to może powinna skorzystać z okazji i zapytać ich o Karla? Musi być go pewna. Czy powinna wspomnieć o ubezpieczeniu na życie? To mogłoby mu narobić kłopotów, ale tylko wtedy, jeśli jest winny.

Wiedziała, że musi się upewnić.

Śniegu na drodze było tyle, że mała policyjna terenówka ledwie dawała sobie radę. Może lepiej byłoby zostać w domu i dać się stopniowo zasnuć kokonem zasp. W padającym śniegu wszystkie domy wyglądały jednakowo: ciemne budynki ukryte za wirującymi płatkami śniegu, niesionymi wichurą z północy. Ari Thór już raz zaparkował, ale stwierdził, że to nie ten dom; wreszcie znalazł właściwy. Wyglądał na obszerny, dwa poziomy mieszkalne, suterena i podwójny garaż.

Kiedy przybył, nie miał wątpliwości, że Anna jest zdenerwowana. Uścisnęła mu dłoń spoconą ręką, unikała jego wzroku, usiłowała się uśmiechnąć. Ari Thór przyglądał się jej uważnie.

W mieszkaniu było ciemno, wszystkie zasłony zaciągnięto.

– Lepiej, że nic nie widać – powiedział Ari Thór, próbując przełamać lody. – Po co patrzeć, jak przybywa śniegu.

Roześmiała się niezręcznie.

– Hm... Właściwie to uwielbiam śnieg. Potrafię siedzieć przy oknie cały dzień i patrzeć, jak pada. Tylko żałuję, że już nie mam ośmiu lat i nie mogę pójść na sanki na zbocza.

– Rozumiem – powiedział, żałując, że sam nie myśli tak pozytywnie.

Usiedli przy kuchennym stole, który zapewne służył również za stół obiadowy. Pośrodku drewnianego, ciemnego blatu stała roślina doniczkowa, której nie rozpoznawał.

– To nie zajmie długo – powiedział Ari Thór. – Muszę tylko zadać kilka pytań o Hrólfura.

Siedziała bez słowa.

– Plotka głosi, że Hrólfur mógł się natknąć na coś, czego dla swojego dobra nie powinien wiedzieć.

Popatrzyła na niego z lękiem.

– Nie sądzisz, że w tym coś jest? Czy w jest w zespole ktoś, kto miałby coś do ukrycia?

Oczy natychmiast ją wydały, ale widział, że próbowała zachować spokój.

– Niczego nie wiem – powiedziała nerwowo.

– Jesteś pewna? – Popatrzył na nią twardo; opuściła wzrok, zaczęła wykręcać dłonie.

– Całkowicie pewna. – Jedną rękę położyła na stole i znów ją uniosła, zostawiając wilgotny odcisk dłoni. – Całkowicie pewna – powtórzyła, próbując dyskretnie otrzeć czoło rękawem.

– Nie sądzisz, że ktoś mógł go popchnąć? Czy był ktoś, kto chciał pozbyć się starego? – Teraz mówił surowszym głosem; jej skrępowanie spowodowało, że sam poczuł się zakłopotany. – Jakaś tajemnica, która nie może ujrzeć światła dziennego bez względu na cenę?

Wstała.

– Przepraszam. Muszę się napić wody. – Zanim odpowiedziała, odkręciła kran. – Nie wiem nic na ten temat.

– Byliście w dobrych stosunkach, prawda, ty i Hrólfur?

– Tak, oczywiście.

Ari Thór podejrzewał, że zna słaby punkt Anny; wycelował w niego.

– Miałaś grać główną rolę w sztuce, do której teraz prowadzicie próby?

– Nie.

Odpowiedź była krótka i ostra.

– Naprawdę?... Dziewczyna spoza miasta dostała tę rolę zamiast ciebie?

– Masz na myśli Uglę?

– Tak, właśnie, Uglę. – Ari Thór czekał, aż Anna znów usiądzie. Ścisnęła szklanę z wodą.

– Czy tak zdecydował Hrólfur?

– Tak... to znaczy, prawdopodobnie decyzja była wspólna, jego i Úlfura.

– Pewnie nie byłaś zadowolona?

Nadał mocno ścisnęła szklanę.

– Nie.

Ari Thór czekał w milczeniu.

– Nie – powtórzyła. – To było bardzo nie fair. Nie zasługiwała na tę rolę. Ale Hrólfur miał dużo sentymentu dla tej dziewczyny.

– Jaki to był rodzaj sentymentu?

Ari Thór mógł odetchnąć z ulgą, że jednak nie wszystko w tym miasteczku dociera do publicznej wiadomości. Informacja o jego przyjaźni z Uglą najwyraźniej nie doszła do Anny.

– Wynajmowała u niego mieszkanie. Myślę, że zaczął ją traktować niemal tak, jakby była jego córką.

– Miał własne dzieci?

Anna wyglądała na zakłopotaną.

– Nie... myślałam, że o tym wiesz.

Ari Thór skierował rozmowę na poprzednie tory.

Kuj, żelazo póki gorące.

– Więc można by twierdzić, że twoja pozycja jest lepsza teraz, kiedy go nie ma?

– O co ci chodzi? Myślisz, że go popchnęłam?

Zamiast się złościć, robiła się coraz bardziej niepewna. To było oczywiste.

– Wcale nie.

Ari Thór miał ochotę zapytać wprost, czy ona to zrobiła, ale wstrzymywał się. Nie wolno mu pozwolić, żeby jego własny nastrój przywiódł go do błędu. Musiał też przyznać, że to nieprawdopodobne, żeby ta młoda kobieta zepchnęła starca ze schodów tylko dlatego, by dostać rolę w amatorskiej sztuce w małym miasteczku. Z drugiej strony, wyraźnie miała coś do ukrycia. Pytanie brzmiało, czy to coś wpłynęło na decyzję Hrólfura, żeby nie obsadzać jej w głównej roli? Czy właśnie o tym nie chciała rozmawiać? A może było coś jeszcze, jakaś inna tajemnica, którą ukrywała?

Wreszcie napiła się wody.

Ari Thór pewnie też przyjąłby szklanę, gdyby mu zaproponowała. W mieszkanku, przy zamkniętych wszystkich oknach, było gorąco.

Zauważył, że po pogrzebie zmieniła ubranie; nie pamiętał, co wtedy nosiła, ale na pewno nie był to czerwony wełniany sweter i czarne spodnie od dresu, które teraz miała na sobie. Ari Thór tkwił w czarnym garniturze, jakby dostał się w szpony koszmaru.

Zadawał dość agresywne pytania, ale przyszedł czas, żeby trochę popuścić i mieć nadzieję, że coś jej się wymknie.

– Pracujesz... a może studiujesz?

– Pracuję. Ukończyłam uniwersytet w Reykjavíku.

– Czy to nie ciebie widziałem w spółdzielni? – zapytał przyjacielskim tonem.

– Zgadza się. Tam pracuję. I w szpitalu.

– Więc musisz znać Lindę.

– Pracujemy razem. Jak ona się czuje?

Pomyślał, że to poważne pytanie.

- Żadnych zmian, obawiam się.
- Wiesz może, kto ją zaatakował?
- Śledztwo jest w toku – odpowiedział krótko Ari Thór.
- Czy to on zrobił? Karl?
- Nie, jest czysty.
- Naprawdę? Jesteś pewien?

Ari Thór był ciekaw, czy to pytanie wynikało tylko z prostej ciekawości.

- Tak. Są dowody, że był wtedy gdzie indziej. Dlaczego pytasz?
- Hm, bez powodu, naprawdę. Myślałam tylko o... o ubezpieczeniu.
- Ubezpieczeniu?
- Tak. Ale skoro jest niewinny, to wszystko w porządku.

– O jakim ubezpieczeniu mówisz? – powtórzył, starając się nie okazać zainteresowania.

– Latem w szpitalu był pewien agent ubezpieczeniowy. Wszyscy kupiliśmy sobie ubezpieczenia na życie.

– Linda też?

Kiwnęła głową.

– Wiesz, kto jest beneficjentem... gdyby umarła?

– Tak, oczywiście. Karl, to jasne. Rozmawiałam o tym z Lindą, kiedy się zdecydowałyśmy.

– A Karl o tym wie? – Pewnie pytał niewłaściwą osobę, ale musiał to zrobić.

– Nie mam pojęcia – odparła z większym ożywieniem, niż wynikałoby z pytania.

– To duża suma?

– Chyba parę milionów.

Ta sprawa zwracała się ciągle w nowym kierunku i znów reflektor trafił na Karla, człowieka, który miał – wydawałoby się – alibi doskonałe.

Ari Thór wstał.

– Dziękuję, Anno, że poświęciłaś mi swój czas.

– Tak... to oczywiste. – Znów jakby zaczęła się denerwować.

– Jeszcze do ciebie wpadnę.

Starął się nie pokazać podniecenia nowymi informacjami.

W drzwiach znów powitała go zima. Zima w całym swoim majestacie, o ile to jest właściwe słowo.

Połąknęła go mroźna ciemność.

Śnieg padał w sobotę do późna w nocy. Ari Thór podrzemał niespokojnie kilka godzin, aż wreszcie udało mu się zasnąć. Pogoda źle na niego wpływała. Zazwyczaj czytał, zanim poszedł spać, ale teraz nie potrafił się skupić, myślał tylko o ciemnościach, które się nad nim zamykają. Próbował słuchać muzyki klasycznej, żeby wypełnić ogłuszającą ciszę nieustającej śnieżycy, ale wyszło na to, że muzyka pogłębia przygnębienie.

Noc za nocą sny wciągały go w ciemne, zdradliwe miejsca, gdzie z trudem oddychał, trzymany przez nieznaną siłę, która mogła pochodzić tylko z niego. Trenował na basenie, ćwiczył nurkowanie z maską na twarzy – zanurzał się coraz głębiej, aż osiągał dno. Tam spoglądał w górę i cieszył się chwilą. Kiedy przychodził czas, żeby się odepchnąć, miał wrażenie, że stopy przywarły na stałe do dna basenu, były ciężkie jak ołów. Patrzył, jak inni pływacy wynurzają się ponad powierzchnię wody, kiedy on ciągle był na dole i nie mógł się poruszyć. I znów się budził, przyduszony, zmaltretowany, z nieznośnie rzeczywistym uczuciem, że utonął, jakby jego płuca naprawdę były pełne wody. Strach go nie opuszczał, sen paraliżował; wyciągał dłoń do kogoś – może do Kristín, pragnąc ciepła.

Znowu nie mógł zasnąć, a sen dawał coraz mniej odpoczynku, bo marzenia senne stawały się coraz bardziej bezlitosne, jak zadymka za oknem. Co gorsza, jego kontuzjowane ramię nadal bardzo go bolało. W wolnym dniu wstał bardzo wcześnie, mimo że chciał złapać jeszcze trochę snu, strząsnąć z siebie osłabiające wyczerpanie i zrelaksować się po długim tygodniu. Wyjrzał przez okno w kuchni i zobaczył, że śnieg nie daje za wygraną, że grozi Siglufjördur zasypaniem.

Czy tu w ogóle przyjdzie wiosna?

Szybko dał sobie spokój i zaciągnął zasłonę. Potem zrobił to samo we wszystkich oknach.

Dopiero w połowie dnia włączył radio, żeby posłuchać, co się zdarzyło w nocy. Na szosę do Siglufjördur, po drugiej stronie góry, spadła lawina, zamykając jedyną drogę do miasteczka. Informacja sprawiła, że poczuł się osaczony. Na szczęście nikt nie ucierpiał, ale to znaczyło, że droga do miasta i z miasta została zamknięta. Nikt nie przejedzie lądem, a podróż morską raczej nie wchodziła w rachubę. Czuł się jednocześnie wstrząśnięty i przybity; okoliczności wypompowały z niego tę resztkę energii, która mu została. Próbował oddychać powoli i głęboko, ale to nic nie dało, a serce waliło mu jak młotem. Usłyszał, jak spiker mówi, że tego dnia, a prawdopodobnie także następnego, nie zostaną podjęte próby oczyszczenia drogi, gdyż zapowiada się ciąg dalszy złej pogody. Potem wiadomości zmieniły się w biały szum, w niezrozumiałe słowa zlewające się w jedno.

Myśli zawirowały w głowie Ariego Thóra, gdy spróbował wmówić sobie, że wszystko będzie dobrze. Sytuacja jest tymczasowa, droga zostanie oczyszczona za dzień, dwa. Otworzył okno, by stanąć twarzą w twarz z pogodą, wyrobić w sobie przekonanie, że to nie wróg. Wiatr przybrał na sile, a zaspą śnieżną sięgała połowy drzwi. Szybko je zamknął.

Będzie dobrze, pomyślał.

Zebrał się w sobie, zadzwonił do komisariatu, żeby sprawdzić, czy go nie potrzebują. Służyło to w zasadzie jednemu: miało go wyrwać ze złego natroju.

– Tylko się zgłaszam. – Ari Thór powiedział to jakby od niechcenia. – Potrzebujecie pomocy?
– Jesteśmy zajęci jak zwykle – odparł ciepło Tómas. – Ale tobie potrzebny jest wypoczynek, chłopcze.

Damy sobie radę.

– Okej, tak tylko myślałem. Wiesz, ta informacja. Coś okropnego.

– Informacja? – zapytał zaskoczony Tómas.

– Lawina...

– A, lawina. To nic nadzwyczajnego, zdarza się mniej więcej raz w roku. Zasyłała drogę w środku nocy, więc nikt nie ucierpiał, dzięki Bogu. Jeden pożytek dla nas, Karl nigdzie się nie wybierze. Utkwił tutaj.

Po rozmowie z Tómasem Ari Thór poszedł na górę i położył się znowu. Zamknął oczy, nie ruszał się, całymi godzinami igrał ze snem. Był już wieczór, kiedy znowu włączył radio. Droga nadal była zablokowana i nie zmieni się to co najmniej do wtorku.

Przez cały dzień mało jadł, a w lodówce miał tylko filec ze śledzia, który kupił w rybnym po rozmowie ze starą Sandrą. Czuł potrzebę przywołania starych, dobrych smaków. Znalazł prosty przepis na śledzia smażonego na patelni; lekko go posolił, żeby wydobyć smak. Wynik był zaskakująco dobry, inny niż w przypadku pozostałych ryb, które jadał; trochę za dużo było tłuszczu, ale całkiem w porządku. Żałował, że nie ma się z kim podzielić posiłkiem.

Wziął telefon, bo chciał usłyszeć głos Kristín – albo w ogóle czyjś głos.

Słuchał sygnału; już miał się rozłączyć, gdy wreszcie ktoś odebrał.

– Cześć.

Suche powitanie, jakby nie miała czasu na rozmowę, a przecież to był pierwszy telefon od tygodnia.

– Cześć. Jak się masz?

Ugła.

Pocałunek i sumienie nie dawały mu spokoju. Jak może zachowywać się, jakby nic się nie stało? Ugła. To imię rozbrzmiewało echem w jego głowie, huczało przytłaczająco.

– Słuchaj... pracuję.

Znowu. Zawsze pracuje, nigdy nie ma chwili na coś innego.

– W porządku – westchnął Ari Thór, a potem wyrzucił z siebie: – Tutaj przez cały czas pada śnieg. Ostatniej nocy była nawet lawina. – Wypowiedzenie słowa lawina przyniosło ulgę.

– Tak. Wiem. – W jej głosie było słycać roztargnienie. – Słyszałam w wiadomościach. Miastu nic nie zagraża, prawda? Myślałam, że to było gdzie indziej w tym rejonie, na drodze do Siglufjörður. Mówiąc prawdę, nie za bardzo się o ciebie martwiłam.

Wszystko, co powiedziała, było prawdą i brzmiało tak niewinnie, tak rozsądnie. Potem jej głos nagle złagodniał.

– Co u ciebie?

– Zadzwoń później. W pracy nie mogę rozmawiać.

Była niedziela, dzień fortepianu. Ugła. Czy na niego czeka? Czy może przyjść po tym pocałunku, po tym, jak uciekł? Odłożył podjęcie decyzji; znowu spróbował zamknąć oczy.

A niech to. Nie miał nic do stracenia. Wstał z łóżka, założył puchowy skafander, naciągnął kaptur na głowę i zawiązał szalik na szyi. Potem wyszedł w zawieję, przedzierał się przez zasy i niemal nieprzeniknione ściany śniegu. Oczy miał przymknięte, bo wiał ostry wiatr. Telefon trzymał w kieszeni, na wypadek gdyby Kristín jednak oddzwoniła.

Ugła powitała go, jakby nic się nie stało. Miała na sobie te same granatowe džinsy i jak zwykle biały T-shirt. Uśmiechnęła się do niego i zaprosiła do środka.

Siedzieli w salonie do późnego wieczora, rozmawiali o niczym i o wszystkim, darowali sobie lekcję fortepianu. W mieszkaniu było ciepło i przytulnie, za rozsuniętymi zasłonami bezlitośnie rosły zasy, ale jej łagodny głos łagodził gromadzący się w nim strach.

– Kieliszek wina? – zapytała po dłuższej chwili rozmowy.

– Jasne, tylko nie za dużo, jutro mam pracę.

Wróciła z dwoma kieliszkami i butelką czerwonego. Nalała wina, przyniosła dwie świece i zapaliła je. Sceneria była gotowa.

– Jakies wiadomości ze śledztwa? – zapytała. – A może powinnam powiedzieć: ze śledztw?

– Nic nie ma, nadal nad tym pracujemy. Mam wrażenie, że ktoś ukrywa coś, co ma związek ze śmiercią Hrólfa. – Ari Thór uznał, że Ugli może zaufać, że może otwarcie rozmawiać z nią o sprawie, wtajemniczyć ją. Jedyna rzecz, o której się nie mówiło, to pocałunek, ale on unosił się w tle, jakby wyryty na ścianach salonu.

– Muszę przyznać, że to wszystko naprawdę mnie denerwuje – powiedziała Ugly. – Napaść na Lindę i śmierć Hrólfa. To zdarzyło się trochę za blisko domu. Chciałam cię zapytać, czy na pewno jestem bezpieczna? – Wyglądała naprawdę na przestraszoną.

– Będę cię chronił – obiecał Ari Thór.

– Teraz chyba większość myśli, że Hrólfa został zabity. Straszna myśl, prawda? Wyczuwam strach w miasteczku, a odkąd zaatakowano Lindę, zrobiło się jeszcze gorzej.

Ari Thór nie mógł się doczekać, kiedy obejmie ją ramieniem, żeby powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Szybko opróżnili butelkę. Ugly przyniosła z kuchni kolejną i usiadła na kanapie obok niego, przytulając się mocno całym ciałem. Czuł zapach jej czystych włosów, miał ochotę zanurzyć w nich twarz.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, popijając wino, potem Ugly niedbale położyła dłoń na jego kolanie. Jej dotyk wstrząsnął nim, już chciał zareagować, kiedy zapytała, czy smakowało mu wino.

Ari Thór uśmiechnął się i odwrócił do niej, wiedząc, co nadchodzi. Lekko pocałowała go w usta. Cofnął się, powodowany rozdzierającymi go uczuciami.

Czy jeszcze jeden pocałunek to coś złego? Przebiegł palcami przez jej długie, słodko pachnące jasne włosy, objął ją i odwzajemnił pocałunek, długi, namiętny.

Była w niej jakaś rozgrzewająca energia, tak mu potrzebne antidotum nie tylko na przygniatający śnieg za oknem, ale też na pustkę, która zaczęła narastać mu w sercu.

Gdy zaprosiła go do sypialni, nie zamierzał się opierać.

Po tym wieczorze zastanawiał się częściej, niż by chciał, w którym momencie doszło do zdrady. Czy to miało znaczenie, że z nią spał? Czy kiedy wziął ją za rękę i poszedł za nią do sypialni, a potem zamknął za sobą drzwi, czy zbrodnia już się dokonała?

Czy lawina była usprawiedliwieniem? Lawina po drugiej stronie wysokiej góry, tak daleko stąd, że nawet nie słyszał jej pomruku, jednak na tyle blisko, że przez cały dzień nie był w stanie normalnie myśleć? Czy naprawdę ma usprawiedliwienie? Co ważniejsze, czy w ogóle go to obchodzi?

Kiedy Ari Thór w poniedziałkowy poranek brnął do pracy przez ławice świeżego białego pyłu, który zebrał się w nocy, na chwilę przestało padać. Był skołowany; myślał zarówno o Ugli, jak i o Kristín i o tym, jak ta ostatnia zareaguje.

Tómas był na służbie jak zwykle na długo, zanim rozpoczął się jego dyżur. Ari Thór podejrzewał przez jakiś czas, że skoro Tómas tak ostentacyjnie żyje pracą, jego małżeństwo musi być zagrożone. Zmienił jednak zdanie. Przecież ta praca nie szczędziła Tómasowi wyzwani. Teraz pozwalała mu rozładować gniew na bezczelnych dziennikarzach, a dopiero potem ochłonać z kubkiem kawy w dłoni.

– Bez przerwy dzwonią.– To były jego pierwsze słowa, kiedy Ari Thór wszedł i zaczął ostukiwać śnieg z butów. – Cholerni dziennikarze. Nie zostawią nas w spokoju.

– Słyszałem, że po wszystkich tych artykułach ludzie uważają zabójcę Hrólfa za tę sama osobę, która napadła na Lindę. Co o tym sądzisz? – zapytał po chwili. Najwyraźniej już przestał się złościć na dziennikarzy.

Ariemu Thórowi spodobało się w skrytości ducha, że stał się centrum zainteresowania.

– Wątpię... Podejrzewałbym Karla, ale wygląda na to, że jest niewinny, przynajmniej nie on napadł na Lindę.

– Rzadko widywałem bardziej winnego – powiedział Tómas. – Skontaktowało się ze mną nasze szefostwo z Akureyri, zapytali, czy mają nam przysłać człowieka do pomocy przy śledztwie. – Po jego minie było widać, co o tym sądzi. – Nie mogłem im odmówić. Skontaktują się, kiedy drogi będą przejezdne. Próbowałem ich przekonać, że wszystko mamy w ręku.

Ari Thór skinął głową, próbował się skupić. Na domiar wszystkiego nadal bolało go ramię. Rano połknął kilka tabletek przeciwbólowych, ale nie zadziałały. Myślał o umówieniu się na wizytę u lekarza, ale postanowił poczekać i zobaczyć, czy samo nie przejdzie.

Tómas nalał sobie kolejny kubek kawy i usiadł.

– Słuchaj, póki pamiętam... Wczoraj dzwonił do mnie stary Thorsteinn. Mógłbyś się z nim dzisiaj spotkać?

– Thorsteinn?

Tómas chyba spodziewał się po Arim Thórze, że automatycznie zna nazwiska wszystkich w Siglufjörður.

– Przepraszam. Thorsteinn jest adwokatem. Wiele lat temu miał praktykę w Akureyri, ale kiedy przeszedł na emeryturę, wrócił do domu. Nadal ma paru klientów, ale stopniowo wymierają.

– Okej – zgodził się Ari Thór, zastanawiając się, po co ma się spotkać z tym prawnikiem.

– Zadzwoił do mnie wczoraj – wyjaśnił Tómas. – Ma testament starego. Powiedział, że wstrzymał otwarcie testamentu, aż będzie po pogrzebie. Pomyślał, że może zainteresuje nas zawartość, bo może, „Hrólfur został zamordowany”, jakoś tak to powiedział! Jak się domyślam, był bardzo zadowolony, że może nam coś dać w samym środku tak podniecającego śledztwa w sprawie zabójstwa... – Tómas uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka. Kawa chyba zadziałała.

– Testament? – powiedział zaskoczony Ari Thór. – Trudno mi w to uwierzyć. Myślałem, że nie sporządził testamentu.

– Życie nieustannie nas zaskakuje – zauważył Tómas, westchnął teatralnie i wypił łyk kawy.

Świat był biały jak okiem sięgnąć. Na pobielonych ulicach wzdłuż chodników były usypane srebrzyste śnieżne wydmy. Góry lśniły, przez ich perłowy płaszcz miejscami przebijały się plamy czerni. Bładość nieba wskazywała, że niedługo spadnie następny śnieg. Jakby przyroda zawarła tymczasowy rozejm, chociaż wszyscy wiedzieli, że wcześniej czy później pogoda znów się na nich rzuci. Nie planowano odśnieżania drogi do Siglufjördur, przynajmniej nie tego dnia, i mieszkańcy pozostawali w śnieżnej niewoli. Ari Thór starał się skupić na testamencie i spotkaniu z Thorsteinnem; próbował, tak jak często to robił, unikać myśli o śniegu.

Adwokat mieszkał przy Sudurgata, w imponującym pastelowym domu, który zapewne zbudowano w latach dwudziestych albo trzydziestych. Otaczał go wielki ogród, gałęzie drzew przygięte były do ziemi pod ciężarem lodu i śniegu; z daleka dawały przepiękną, malowniczą zimową scenerię.

Thorsteinn otworzył drzwi niemal w tej samej chwili, w której Ari Thór zadzwonił, jakby widział, że nadchodzi.

– Witam. Wejdz.

Grube szkła siedziały mu na nosie, włosy miał siwe i przerzedzone, wyglądał na jakąś osiemdziesiątkę. Elegancki garnitur z kamizelką w kratkę opinał jego okazałą sylwetkę. Był chyba zbyt elegancko ubrany jak na spotkanie z policją.

– Witam. – W korytarzu pojawiła się starsza pani i podała Ariemu Thórowi rękę. – Jestem Snjólaug, żona Thorsteinna – powiedziała, uśmiechając się. – Miło, że mamy gościa.

Wiadomo, że goście byli tutaj rzadkością.

– Co podać? Kawę i ciasto? – zapytał Thorsteinn.

– Dziękuję, nie – odparł Ari Thór, który od razu chciał przejść do sprawy.

– Może usiądziemy w moim gabinecie? – zaproponował starzec, pokazując na wąski korytarz, w którym na ścianach wisiało parę starych fotografii w ramach przedstawiających Siglufjördur; płowiąły w tym samym tempie co tapeta.

Gabinet wyglądał raczej na studio, trzy ściany zastawione były książkami. Czerwonawobrazowe biurko adwokata wykonano z ciężkiego drewna, a zielona lampa na blacie rozsiewała niemal surrealistyczny poblask. Przy zaciągniętych zasłonach i wyłączonym głównym oświetleniu było to jedyne światło w pokoju. Na środku biurka leżała teczka z czerwonej skóry; nigdzie nie było widać komputera ani nawet maszyny do pisania. W tym pomieszczeniu wszystko robiono na staroświecką modłę. Thorsteinn usiadł w wielkim fotelu biurowym, otworzył teczkę i schylił się, żeby wyjąć kopertę z jednej z szuflad biurka.

Ari Thór usiadł naprzeciwko niego. Już miał zamiar zadać pierwsze pytanie, kiedy weszła Snjólaug z tacą, którą ostrożnie postawiła na skraju biurka. Stały na niej dwa kubki z parującą kawą, talerz ze świeżo upieczonymi naleśnikami i mała cukiernica. Gościnność w tym domu była bez zarzutu. Ari Thór podziękował jej, uśmiechnął się i upił łyk kawy.

– Życzysz sobie mleka? – zapytała Snjólaug.

– Nie, dziękuję. Czarna jest w sam raz – odparł, a ona wyszła, skinąwszy głową.

Jedyna ściana gabinetu niezastawiona książkami od podłogi po sufit była podzielona na pół; górną część pokryto tapetą w bladoniebieskie kwiaty, a przestrzeń pod listwą lamperyjną pomalowano na czarno. Były też kinkiety z brązu, a za ciemną zasłoną ledwie widoczne jedyne okno z ramą w kolorze kości słoniowej.

– Czy wasze śledztwo robi postępy? – zapytał adwokat. Miał zmęczoną minę, która jednak jasno

sugerowała, że ma zamiar pomóc sprawie.

– Posuwa się krok po kroku, chociaż najbardziej prawdopodobne, że to był wypadek. Więc Hrólfur sporządził testament?

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Thorsteinn, trzymając w dłoni kopertę, jakby czekał na właściwą chwilę i nie chciał za wcześnie zgrać karty atutowej. – Poczęstuj się naleśnikami – zaprosił, biorąc jeden dla siebie. Posypał go cukrem, zwinął i zjadł za jednym zamachem.

– Nie co dzień tak mogę, nie w moim wieku. Muszę uważać na to, co jem – rzekł z pełnymi ustami.

Ari Thór skinął lekko głową. Spróbował naprowadzić rozmowę z powrotem na testament, ale podejrzewał, że stary czuje się samotnie.

– Czy Hrólfur dawno spisał testament? – zapytał.

– Hm, nie. Nie tak dawno. Jakies dwa lata temu. Spotkałem go przypadkiem, a on napomknął, że chce raz na zawsze uporządkować swoje sprawy. Powiedział, że jest cholernie stary i że przyszedł na to czas.

Thorsteinn uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem.

– Póki pamiętam, chcesz trochę utrwalacza do kawy?

Odwrócił się do regału za biurkiem. Większość książek wyglądała na prawnicze, same tomy orzeczeń sądu najwyższego wypełniały kilka półek. Wyjął tom z 1962 roku i sięgnął po schowaną za nim butelkę whisky.

Ari Thór uśmiechnął się.

– Nie, dziękuję. Prowadzę.

I jestem na służbie, pomyślał.

– Twoja sprawa. – Thorsteinn nalał sobie niewielką miarkę do kawy, unikając wzroku Ariego Thóra. – No, to wracając do sprawy... Poprosił mnie, żebym przygotował mu testament, bo prowadziłem kilka spraw cywilnych, odkąd zamknąłem praktykę w Akureyri. Nic się nie stanie, jeśli się jest na bieżąco.

– Jak dotąd nikt nie wspominał o tym testamencie. Na pewno utrzymywano go w tajemnicy – powiedział Ari Thór, ale było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

– Istotnie. Hrólfur prosił mnie, żebym zachował poufność w kwestii zawartości jego testamentu. Całkiem otwarcie powiedział, że nie ma zamiaru nikomu o tym mówić, a szczególnie beneficjentom. Tylko my czworo wiedzieliśmy.

– Czworo?

– Tak. Hrólfur i ja, moja żona, Snjólaug i Gudrún, pielęgniarka ze szpitala. Gudrún i Snjólaug były świadkami, a ja im całkowicie ufam, więc nie martw się. Gudrún to nasza stara znajoma, która od wielu lat regularnie nas odwiedza. Mogę cię zapewnić, że nikt poza mną, Hrólforem i świadkami nie wiedział o testamencie.

Sprawdzimy, pomyślał.

Jeśli Ari Thór w tym krótkim czasie, dowiedział się czegoś o Siglufjördur, to tego, że w tej małej społeczności tajemnice rozchodzą się ze zdumiewającą szybkością.

– Czy Hrólfur był bogaty? Kim są beneficjenci? – Ari Thór tracił cierpliwość, chciał odpowiedzi.

– Bogaty? Hm, co to znaczy bogaty? – zapytał Thorsteinn, jakby czekał na odpowiedź.

Ari Thór milczał, Thorsteinn mówił dalej:

– Powodziło mu się nieźle, ale o ile wiem, potrafił się zabawić. Podróżował, żył na całego. Gdyby nadal pisał i mniej czasu przeznaczał na przyjemności, to na pewno umarłby jako bogaty człowiek... Pytanie samo się narzuca, jakie życie ma więcej sensu? – zaśmiał się lekko. – No, dość pogawędki – powiedział ku uldze Ariego Thóra. – Do sprawy. – Otworzył kopertę.

– Wszystko jest podzielone między przyjaciół i krewnych.

Ari Thór otworzył notes, gotów zapisywać szczegóły.

– Zobaczmy. Miał kilka kont bankowych i rachunków oszczędnościowych, na każdym po parę milionów. Pieniądze trafią do dość dalekiego krewnego, wnuka-siostrzeńca w Reykjavíku, jedyne

krewnego, z którym utrzymywał jakiekolwiek kontakty. Ma żonę i dziecko i o ile wiem, trudną sytuację finansową. Więc Hrólfur uznał, że trzeba im pomóc.

– Hrólfur nie miał dzieci?

– Nie. Żadnych dzieci.

– Jesteś pewien?

– Cóż, o tyle, o ile można być pewnym czegokolwiek. Podejrzewasz, że może być inaczej?

Uraczył Ariego Thóra jastrzębim spojrzeniem, jakby odgrywali rolę obrońcy na sali sądowej.

– Nie – skłamał Ari Thór. – Wcale nie podejrzewam.

Adwokat ściągnął brwi i mówił dalej:

– Potem są prawa do jego książek, a raczej książki. Nowele niezbyt się sprzedawały, poezje też.

– Kto dziedziczy prawa?

– Stary Pálmi. Hm, stary, ale nie bardzo. Młodszy ode mnie. Znasz go?

– Tak, znam. Może wiesz, dlaczego Hrólfur go wybrał?

– Nie mam pojęcia, a w testamencie nie ma wytłumaczenia.

– A te prawa są coś warte?

– Nie powiedziałbym. Może teraz, po jego śmierci coś się sprzeda, ale jego czas minął i raczej nie wyobrażam sobie, żeby coś dało się wyciągnąć z tych praw, w każdym razie coś większego, może jakieś małe sumy od czasu do czasu. Przed laty było inaczej, gdy był popyt u czytelników z całego świata.

Ari Thór westchnął. To nie dawało Pálmiemu mocnego motywu, żeby zepchnąć starego autora ze schodów.

– Jest coś jeszcze? – zapytał.

– Oczywiście wino, jedna z najlepszych piwnic w mieście, a zapewne w ogóle w tych okolicach.

Ari Thór czekał. Adwokat przerwał na dłuższą chwilę, tak jak to pewnie robił na sali sądowej.

– Wino przypadło Úlfurowi – powiedział i miało się wrażenie, że chce dodać coś w rodzaju „stary farciarz”, ale nie zdecydował się. – Te flaszki warte są miliony, ale wątpię, żeby chciał je sprzedać. Byłoby grzechem sprzedawać taką piwnicę.

– A dom? Musiał być jego właścicielem.

– Z całą pewnością. I dom jest bez obciążeń hipotecznych.

– Idzie do krewnych?

– Właściwie to nie. Muszę przyznać, że to naprawdę mnie zaskoczyło. A niełatwo mnie teraz zaskoczyć.

Arielowi Thórowi podskoczyło serce, kiedy Thorsteinn wymienił beneficjenta.

– Ma na imię Ugla – powtórzył Thorsteinn. – To po prostu młoda kobieta.

Ari Thór siedział w milczeniu, prawie w szoku.

– Szokujące, nic więcej nie da się powiedzieć. Dostaje dom z umeblowaniem i starego mercedesa. Obecnie to chyba nie jest wiele warte, ale dom jest wspaniały.

Reszta słów ledwie docierała do Ariego Thóra. Mógł myśleć tylko o Ugli. Czy wiedziała? Czy go zwodziła, naprowadzała na błędne tropy w śledztwie? Było oczywiste, że jeśli ktokolwiek w miasteczku mógł zyskać na śmierci Hrófuła, to tym kimś była Ugla.

Ale nie potrafił o niej myśleć inaczej niż ciepło. Wiedział, że wbrew wszystkiemu musi się z nią znowu spotkać. Ale jak przezwyciężyć problem, który szybko przekształca się w konflikt etyczny? Było jasne, że śledztwo ma pierwszeństwo. Nie mógłby poświęcić pracy dla przemijającej miłości. A może w tym było coś więcej?

Czy powinien powiadomić Tómasa o ich spotkaniach? Tym samym przyznałby, że powiedział jej więcej, niż można by tolerować.

Podziękował adwokatowi za spotkanie. Z miny Thorsteinna wynikało jasno, że wolałby, żeby Ari Thór został dłużej, powiedział więcej o sprawie, trochę poplotkował.

Ari Thór wyszedł. Dopiero wtedy dotarło do niego, że to był prawdziwy dom, pełen ciepła i życzliwości, tak różny od mieszkania przy Eyrargata, które starał się nazywać domem. Znow wrócił myślami do Ugli.

W co ja się wpakowałem?

Ta sama myśl przemknęła mu przez głowę, kiedy Tómas po raz pierwszy powiedział mu, jak spokojnie żyje się w Siglufjördur. Rzeczywistość okazała się inna. Problemów było aż za wiele, a on wpadł w sam środek śledztwa i to osobiście. Chciało mu się krzyczeć na okoliczne góry, które osaczały go z wszystkich stron, ale nie było ich widać, bo znow zaczęła się zadymka. Doskonały czas, żeby się schować.

W co ja się, do diabła, wpakowałem?

Siglufjördur: poniedziałek 19 stycznia 2009

Nína siedziała samotnie w ciemności, nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni.

Tego dnia nie było próby. Została w domu zamiast iść do teatru, żeby tkwić tam samotnie. W każdym razie niemożliwe żeby spotkała go tam, aż do następnej próby. Na dodatek z trudem poruszała się o kulach. Cholerny pech, tak złamać nogę.

Poruszała się w domu po omacku. Nikogo nie widziała i nikt jej tutaj nie mógł zobaczyć. Przez te ostatnie parę dni była taka nieszczęśliwa. Popełniła błąd i mogła winić tylko siebie. Cholerny pech. Ale to jeszcze nie był koniec i wszystko wskazywało na to, że nikt nie zauważy błędu. Przynajmniej zrobiła, co mogła.

Liczyła dni, liczyła nawet minuty do spotkania z nim. Na swój sposób była nawet zadowolona, że niczego między nimi nie było i nie będzie. Lubiła kochać go w ten sposób, przerażała ją wszelka myśl o intymności. Może byłoby inaczej, gdyby matka coś zrobiła, żeby jej pomóc, a nie tylko wysłała ją do Reykjavíku, żeby w ten łatwy sposób wykpić się ze wszystkiego.

Ale teraz, na swój sposób, będą na zawsze ze sobą związani. Wspólna tajemnica i nie jakaś tam tajemnica: morderstwo.

Ari Thór nie mógł się zmusić, żeby porozmawiać z Uglą. Nie w tej chwili.

Thorsteinn wstrzymał się z powiadamianiem spadkobierców, ale teraz się z nimi skontaktuje.

Pytanie, czy Ugla wiedziała o tym zapisie, nie dawało mu spokoju. Czy w tym mieście jest ktoś, komu mógłby zaufać?

Tómas poprosił, żeby szedł tym tropem, sprawdził, co spadkobiercy mają do powiedzenia, zgruntował wodę.

Pálmi wyglądał na zmęczonego, kiedy otworzył drzwi, niezbyt zdziwiony, że widzi przed nimi Ariego Thóra.

Ari Thór słyszał przyciszone głosy z kuchni. Domyślił się, że starsza pani z Danii rozmawia ze swoim synem.

– Rozumiem, że chcesz porozmawiać o spadku – powiedział Pálmi bez wstępów. – Właśnie dzwonił Thorsteinn.

– Tak, jeśli masz czas – odparł Ari Thór, błyskawicznie przyjmując maskę kapłana, uprzejmą i ciepłą. To była rola, którą grał, tylko rola.

Usiedli w salonie.

– Wiedziałaś o tym? – zapytał Ari Thór.

– O spadku? Nie, nawet przez myśl mi to nie przeszło.

A jednak w jego oczach było coś fałszywego, coś trudnego do określenia.

– Nigdy o tym nie napomykał? – zapytał Ari Thór. Nie popuszczał.

– Nie, nigdy – powiedział Pálmi z tą samą miną. – Thorsteinn wyjaśnił mi, że to jest niewiele warte.

Już nie wypłacają wielkich tantiem za te książki.

– Więc to symboliczne sumy i nic więcej?

– Hm, tak. Chyba.

Znów to wykrętnie spojrzenie. Ari Thór milczał, czekał.

Pálmi ziewnął.

– Przepraszam. Jeszcze się do końca nie obudziłem.

– Niedługo premiera, prawda? Długo trwają próby?

– Nie, nie. Po prostu mnóstwo roboty. Oni tu jeszcze są, ci Duńczycy, chyba słyszałeś. Nie pozwalają mi zasnąć. – Próbował zdobyć się na uśmiech. – Nie mogą wyjechać z miasta przez lawinę.

– Jak myślisz, dlaczego Hrólfur wybrał ciebie? Miał krewnego na południu.

– Nie mam pojęcia – powiedział Pálmi. Nadal wyglądał na zmęczonego, nadal miał tę dziwną minę. –

Może chciał, żeby prawa przypadły komuś z Siglufjördur, a niewielu nas zostało, tych, którzy go dobrze znali.

– Úlfur dostał piwniczkę z winami.

– Úlfur? – zapytał zdumiony Pálmi.

– Zgadza się.

– Hm. Butelki chyba zostaną w mieście? Chyba że ma zamiar je sprzedać.

– Nie rozmawiałem z nim – powiedział Ari Thór wstając.

Starsza pani i jej syn wyszli z kuchni, kiedy Ari Thór, zbierał się do odejścia. Przywitał się z nimi.

– Jak idzie pańskie śledztwo? – zapytał po angielsku Mads.

– Czynimy postępy – odparł Ari Thór. – Na długo zostajecie?

– Mieliśmy zamiar wyjechać dzisiaj, ale pogoda jest tak zła, że musimy zatrzymać się tutaj jeszcze kilka dni. – Miał wisielczą minę, wskazującą na to, że znacznie bardziej wolałby być gdzieś, gdzie jest cieplej, gdzie słońce nie kryje się przez cały dzień za górami.

Ari Thór zadzwonił do wnuka-siostrzeńca w Reykjavíku, który był zachwycony wiadomością o spadku, chociaż oczywiście będzie tęsknił za wujem. On i jego żona byli bliscy utraty mieszkania. Nie było danych o jakichkolwiek związkach tego człowieka z Siglufjördur ani z kimkolwiek, kto był na próbie tamtego wieczoru, chociaż niczego nie można było wykluczyć. Następnym na liście był Úlfur. Ugła będzie musiała poczekać. Nie mógł się z nią spotkać, jeszcze nie.

– Przepraszam za tamte pytania. Łazienka z gorącą wodą to nie był dobry czas ani miejsce – powiedział Ari Thór Úlfurowi. Trochę pokory czasem popłaca.

Siedzieli przy kuchennym stole w mieszkaniu Úlfura przy Sudurgata, niedaleko placu Ratuszowego. Ari Thór wydobył tyle informacji o reżyserze od Tómasa, ile tylko zdołał. Úlfur był kiedyś dyplomatą, urodził się w tym mieście, jego ojciec zginął na morzu, kiedy Úlfur był bardzo mały. Potem wrócił na północ, kiedy jego matka zmarła w podeszłym wieku. Niewielu miał przyjaciół w miasteczku.

– Jest rozwodnikiem... Wyobrażam sobie, że to bardzo samotny człowiek – powiedział Tómas, dziwnie zafrasowany.

– Nie przejmuj się tym, wielebny – powiedział Úlfur i pochylił się do przodu, żeby poklepać Ariego Thóra po ramieniu, tym obolałym. Cholera. Będzie musiał iść z tym do lekarza.

Burza dobijała się do kuchennych drzwi, ale pogoda nie wywierała na Úlfurze żadnego niepomyślnego wrażenia. Wręcz przeciwnie – wydawał się być w dobrym nastroju.

– Sporo ci zajmie wypicie całego wina – zauważył Ari Thór. – Rozumiem, że to jest mnóstwo butelek.

– Tak, i jedna lepsza od drugiej.

– To musiała być przyjemna niespodzianka.

– Można tak powiedzieć. W ogóle nie spodziewałem się czegoś od starego. Ale to cały Hrólfur.

Zawsze musi mieć ostatnie słowo – powiedział Úlfur i uśmiechnął się. – Bardzo żałuję, że pokłóciłem się

z nim tamtego wieczoru. Za często pozwalałem mu grać sobie na nerwach.

– Nie zawsze się zgadzaliście?

– Dobry Boże, nie.

– O ile rozumiem, był zadowolony z twojej sztuki.

– Nie, nie był – odparł Úlfur prawie machinalnie, zanim zrozumiał, co powiedział. – O co ci chodzi?

– A co, nie piszesz sztuk?

– Tak, ale skąd o tym, do diabła, wiesz? – zapytał, nagle zdenerwowany.

– Chyba nie zrobiła na nim wrażenia.

– Prawda. Wolał pisarstwo Pálmiiego – powiedział Úlfur. Teraz był mocno speszony.

– Hm... – Ari Thór wstał. – Nie sądzę, żeby teraz był z tym kłopot. – Próbował mówić obojętnym tonem.

– Kłopot? O co ci chodzi? – Úlfur znów się zdenerwował.

– O twoją sztukę. Teraz Hrólfur już nie zablokuje przedstawienia.

Úlfur skoczył na równe nogi, stołek o mało nie przewrócił się na podłogę.

– Chłopcze, co ty do diabła sugerujesz? Myślisz, że go zabiłem? Myślisz, że go zabiłem, żeby sztuka została wystawiona?

– Nie zapominajmy o winie – powiedział Ari Thór i puścił oko.

– Wynoś się, ale już, słyszysz? – Úlfur wyszedł z kuchni na korytarz i otworzył drzwi prosto na zawieję.

Co we mnie wstąpiło? – zadał sobie pytanie Ari Thór, wychodząc bez pożegnania.

Pomyślał, że najłatwiej będzie zwalić winę na pogodę.

Siglufjördur: wtorek 20 stycznia 2009

Ari Thór przedarł się przez niesłabnącą burzę i dotarł wcześniej do pracy.

– Dzisiaj nie otworzą drogi – powiedział Tómas, chociaż nikt go nie pytał.

– Mam nadzieję, że wkrótce to jednak zrobią – rzekł Ari Thór, starając się, żeby zabrzmiało to pogodnie.

– Prognoza na resztę tygodnia nie wygląda dobrze. Utknęliśmy tutaj, czy nam się to podoba, czy nie. – Tómas powiedział to z beztróskim śmiechem.

Kobieta ze spółki ubezpieczeniowej zadzwoniła trochę później. Tómas chciał, żeby Ari Thór zbadał sprawę pod kątem ubezpieczenia. Młody policjant poprzedniego dnia skontaktował się z ubezpieczycielem Lindy, więc teraz czekał na telefon z potwierdzeniem szczegółów.

– Przepraszam, że to tyle zajęło, byliśmy zajęci – przeprosiła.

– Nic się nie stało.

Jesteśmy tylko gliniarzami z Siglufjördur, nikim ważnym.

– Ostatniej jesieni wysłaliśmy agenta na północ. Dotarł do Siglufjördur i dokonał prezentacji w kilku zakładach pracy, włączając w to szpital.

– Czy ta kobieta, o którą wczoraj pytałem, kupiła polisę?

– Tak, Linda Christensen. Wzięła polisę. Umarła?

– Nie, ale szukamy powiązań w sprawie, w której prowadzimy śledztwo.

– Hej, czy to ta kobieta na śniegu? Czy to nie było w Siglufjördur?

– Obawiam się, że nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie. O jakiej sumie mówimy w tym przypadku?

– Dziesięć milionów koron.

– A beneficjentem na wypadek śmierci jest jej mąż?

– Tu jest napisane Karl Steindór Einarsson, ale oni nie są małżeństwem i nawet nie są zarejestrowani jako współmieszkańcy. Jego oficjalnym miejscem pobytu jest Kópavogur.

– Ale to on dziedziczy, prawda? Karl?

– Tak, to zupełnie oczywiste.

– I zapewne to obojętne, że osoba ubezpieczona umiera z ran albo w podejrzanych okolicznościach, jeśli założymy, że to właśnie ten przypadek?

– Tak, obojętne.

– Mogłaby pani przysłać mi warunki ubezpieczenia?

– To da się zrobić. Każę je zeskanować i wysłać wam mailem jeszcze dzisiaj. Mam nadzieję, że ona przeżyje, ta kobieta na śniegu.

– Dziękuję za pomoc – powiedział Ari Thór, odkładając słuchawkę.

– Dziesięć milionów – zwrócił się do Tómasa. Tómas podniósł wzrok. – Karl dostaje dziesięć milionów, jeśli ona umrze.

– Więc myślisz, że to on?

– Jeśli tak, to nie wiem w jaki sposób – powiedział w zamyśleniu Ari Thór. – Ale to kiepsko dla niego wygląda, skoro mu wypłaca, kiedy ona umrze.

– Wiele spraw źle wygląda dla Karla, ale on trzyma się mocno od samego początku.

– Mógłbym jeszcze raz z nim porozmawiać? Zapytać go o to ubezpieczenie na życie?

– Poczekaj chwilę, niczego nie popędzajmy. W tej chwili cała sprawa jest w zawieszeniu. Jakby śnieg wszystko spowalniał. – Tómas wyglądał na spokojniejszego, niż wynikałoby to z jego słów. Był przyzwyczajony do srogich zim, pogoda go nie martwiła. – Miasteczko hibernuje się przy takiej pogodzie, szczególnie kiedy droga jest zablokowana.

– Powinniśmy zapytać Karla o plotki, które Sandra słyszała od Hrólfa... o tajemnicę z Towarzystwa Dramatycznego – powiedział Ari Thór po chwili namysłu. – Napomknęła, że to mogło mieć coś wspólnego z potajemnym romanssem albo czymś w tym stylu.

– Hm... Karl byłby mocnym kandydatem do czegoś takiego. Karl i ta dziewczyna z zachodu, Ugla. To aktywna osoba – powiedział Tómas.

Ari Thor poczuł wewnętrzny ból. Próbował po cichu policzyć do dziesięciu, udając, że nic się nie stało.

Szybko wstał i poczuł znajomy ostry ból w barku.

– Cholera – mruknął.

– Coś z tobą nie tak?

– W porządku, to tylko ten cholerny bark. Boli, odkąd... – powiedział i przerwał. – Od włamania.

Lepiej brzmi, niż: odkąd przewróciłem się w salonie.

– Będziesz musiał pójść i się zbadać.

– Samo się zaleczy.

– Natychmiast do lekarza – rozkazał Tómas, tym razem stanowczym tonem. – Nie możemy trzymać na służbie człowieka z kontuzją. – Jak będziesz interweniować?

– W porządku. Jeszcze w tym tygodniu pójdę do szpitala.

– Nie. Pójdiesz teraz i tak ma być.

Czas mijał wolno, boleśnie wolno. Nína próbowała rano włączyć światło; chciała usiąść przy oknie i poczytać, ale stwierdziła, że nie może się skupić. Po prostu nie mogła się doczekać. Zbliżał się czas, kiedy będą razem, tylko oni we dwoje, we własnym świetle.

Dowód trzymała pod łóżkiem. To dobry schowek, wiedziała z doświadczenia z przeszłości, z czasów, kiedy chciała uciec.

On będzie z niej taki zadowolony. Zabrała to, żeby go nie złapali. W kółko powtarzała w myśli tę rozmowę; czekała, żeby mu powiedzieć, jak to zrobiła i jak starała się go zakasować, ale nie udało się jej. Gdzie tkwił błąd? Była wściekła na siebie. Miała nadzieję, że nie będzie zły.

Nie, to jasne, że będzie z niej zadowolony.

I wtedy... i wtedy zaprosi go do domu na kolację.

Podniecenie dobijało ją.

Tómas zadzwonił do szpitala i poprosił dyżurnego lekarza, żeby znalazł czas dla Ariego Thóra, chociaż chłopak nie był umówiony. Nie było sensu dłużej się sprzeciwiać. Tómas musiał zatrzymać terenówkę w komisariacie, więc Ari Thór poszedł do szpitala, chociaż szalejąca śnieżycy prawie uniemożliwiała przemieszczanie się. Burza przycichła, ale śnieg nadal wirował wokół niego – dość gwałtownie, zmuszając go zamykania oczu przy gniewnych podmuchach.

Lekarz, z którym go umówiono, był zajęty, więc Ari Thór usiadł w poczekalni. Nadal nie mógł złapać

tchu po przeprawie. Bark nie był teraz na szczycie listy jego problemów. Kartkował plotkarskie magazyny z pozaginаныmi rogami, dawno nieaktualne. Po jakimś czasie wstał i zapytał recepcjonistkę, czy Gudrún, pielęgniarka, o której Thorsteinn mówił jako o świadku testamentu, jest na dyżurze.

- Tak, jest – odparła recepcjonistka.
- Mógłbym zamienić z nią słówko, póki czekam?
- Poślę po nią kogoś.

Mundur policyjny ma praktyczne zalety.

Usiedli przy stoliku na końcu poczekalni, z dala od recepcji i jedyne go pacjenta czekającego na lekarza. Lepiej było nie ryzykować.

- Przepraszam, że przeszkadzam w pracy – powiedział Ari Thór, próbując nastawić ją pozytywnie.

Gudrún, kobieta w średnim wieku, o przyjaznym wyglądzie, nie była zaniepokojona prośbą o rozmowę z policjantem. Szeroko się uśmiechnęła.

- Nie martw się o mnie – powiedziała. – Czym mogę ci służyć?

– Chciałem zapytać o testament sporządzony przez Hrólfa Kristjánssona. O ile wiem, byłeś świadkiem.

- Zgadza się. To było w domu Thorsteinna i Snjólauga. Ja tylko podpisałam się jako świadek.

- Rozumiem, że wszystko odbyło się tak, jak trzeba. Hrólfur był obecny osobiście, prawda?

- Oczywiście, był.

- Wiesz, kim byli spadkobiercy?

- Dobry Boże, nie. Nie pytałam, to nie moja sprawa – powiedziała, czerwieniąc się.

- Czy komuś wspominałaś o tym, że Hrólfur sporządził testament?

- Nie, nikomu. Bardzo jasno powiedział, że sprawa jest poufna, a ja takie rzeczy biorę na poważnie.

Ari Thór pomyślał, że pielęgniarka mówi prawdę.

- Jasne. Nie wątpię.

- Czy jego... zamordowano?

Ari Thór nie miał szansy, żeby odpowiedzieć. Wywołano jego nazwisko.

- Przepraszam, muszę się spieszyć. Mam wizytę u lekarza.

- Tak, w porządku. Mam nadzieję, że byłam pomocna.

- Istotnie – odparł, chociaż to niezupełnie była prawda. – Dziękuję za spotkanie.

Poszedł do lekarza.

Przyjęła go młoda kobieta, wysoka, apodyktyczna, o krótkich czarnych włosach.

– W czym problem? – Ton jej głosu mówił jasno, że nie ma czasu do stracenia. – Tómas wspominał coś o twoim barku.

Ari kiwnął głową.

- To ta ręka – wskazał kontuzjowane ramię. – Upadłem na stół w moim salonie.

- Dom potrafi być niebezpiecznym miejscem – zauważyła lekarka, ugniatając jego bark. – Boli?

Skrzywił się.

- Bardzo.

Po krótkim badaniu wydała orzeczenie:

– Nic poważnego. Po prostu nieprzyjemnie naciągnięte mięśnie. Będzie bolało, ale powinno się poprawić za kilka dni. Powinieneś wziąć parę dni wolnego i nosić ramię na temblaku.

Chciał odmówić, ale opuściły go siły. Wyszedł z ręką na temblaku. Postanowił go zdjąć, jak tylko dotrze do komisariatu. Potem przeklął swój upór. Przecież powinien dać szansę mięśniom na odpoczynek.

Był jeszcze blisko szpitala, kiedy nagle odwrócił się i poszedł po własnych śladach. Chciał coś sprawdzić. Miał nadzieję, że przybliży go to o krok do odkrycia sprawcy włamania tamtej nocy.

Informacja, którą uzyskał w szpitalu, pasowała do jego teorii o włamaniu, chociaż nie był to jeszcze całkowicie klarowny obraz. W drodze powrotnej do komisariatu rozważał w myśli możliwości. Był już w lepszym nastroju, bardziej optymistycznym. Miał własny pogląd na to, kim był jego nocny gość, ale nadal nie wiedział dlaczego. Co miał takiego cennego, może związanego ze śledztwem? I nagle zaświtało mu w głowie. Może to aparat fotograficzny? Był tak podniecony, że prawie zapomniał o kontuzjowanym barku i zaleceniu lekarki, żeby odpoczywać.

Nie odzywając się ani słowem, poszedł prosto do komputera i natychmiast znalazł folder zdjęć zrobionych w sali kinowej.

– Wielebny ma rękę na temblaku? – powiedział przyjacielsko Tómas.

– Owszem. Lekarka powiedziała, że mięśnie zostały mocno naciągnięte. Muszę tylko uważać na siebie przez parę dni.

– Tak myślałem. Możesz się zamienić z Hlynurem. Poproszę go, żeby przyszedł jutro i wziął dyżury na ten tydzień, a ty możesz wrócić w weekend.

– Wolałbym zostać w pracy, jeśli pozwolisz. Nie mam nic więcej do roboty.

Poza myśleniem o pracy, Ugli i Kristín.

– Cóż, może powinniśmy robić to, co powiedział lekarz? – Paternalistyczny ton przypomniał Ariemu Thórowi jego własnego ojca. Właśnie tak by się zachował.

– Zgadza się. Ale i tak powinienem być pod ręką.

– Twoja sprawa. Ale nie jesteś na służbie, niech to będzie jasne.

Ari Thór znów spojrział na ekran i zaczął przeglądać zdjęcia. Chciał być pewien, zanim wyłoży swoją teorię Tómasowi, a jeszcze czekało go sporo pracy.

Co mu umknęło? W kółko przeglądał zdjęcia, ale nic się nie narzucało. Ogarnęło go poczucie beznadziejności.

Mógł pokazać je Ugli, zakładając że jest jedyną osobą, której może zaufać. Może ona coś zauważy? Ale to nie było takie proste. Były sprawy, które powinni omówić... no i był testament; a inna sprawa, że niewłaściwe było pokazywanie jej zdjęć z miejsca zdarzenia, związanych ze sprawą, w której też mogła być podejrzaną.

Zapisał zdjęcia na CD i włożył je do kieszeni.

Postanowił, że to zrobi – pójdzie na spotkanie z Uglą. Musi się dowiedzieć, co ona myśli.

Hlynur zmienił się z upływem lat, dojrzał. Kiedy patrzył wstecz, dziwił się, że mógł być dawniej taki zły. Zły. A nawet podły.

Zawsze by wysoki jak na swój wiek – i silny. Ale zamiast wykorzystywać swoją siłę, żeby pomagać w szkole dzieciom, które potrzebowały pomocy, uznał, że drażnienie się z nimi to lepsze spożytkowanie energii. Chociaż drażnienie się to nie jest dobre określenie.

To było raczej zastraszanie, dręczenie. Czasem budził się w nocy zlany potem. Myślał o grzechach przeszłości.

Pójdę za to do piekła, myślał.

To było dawno. Teraz był dorosły. Przeprowadził się do nowego miejsca, na północ, do Siglufjördur. Wiele razy próbował zapomnieć o tamtych czasach, ale trudno jest odepchnąć wspomnienia o tych, których tak źle traktował. Pamiętał każde nazwisko, a ostatnio próbował nawiązać kontakt ze swoimi ofiarami. Większość przyjęła to pozytywnie, niektórzy nawet bardzo. Inni zdawali się z tym pogodzić, przynajmniej powierzchownie. Jeszcze inni byli mniej chętni do przebaczenia.

Dotarł do wszystkich poza jednym. Nie mógł go znaleźć w książce telefonicznej ani w państwowym rejestrze adresowym. Wszelki ślad po nim zaginął. Wreszcie Hlynur wpadł na pomysł, żeby czytać stare gazety w Internecie i nazwisko pojawiło się w nekrologach. Czytał w kółko, aż stało się oczywiste, że ten

człowiek odebrał sobie życie. Na pewno nie było to zastraszanie... Na pewno nie, po tylu latach? Nadal nie nawiązał kontaktu z rodziną tego człowieka. Nawet myśl o tym wywoływała u niego siódme poty. Chciał z nimi porozmawiać, upewnić się, że coś innego pchnęło go do samobójstwa, ale ciągle się wahał. Bał się, bo mogli potwierdzić to, co w głębi duszy podejrzewał. Właśnie ten chłopiec ucierpiał najbardziej. Hlynur przytrzymał go trochę dłużej pod wodą w szkolnym basenie, groził mu, że go utopi. Biedak skamieniał, ale Hlynur trzymał go dalej. Chłopiec był mały, gruby, nieśmiały, nie umiał się obronić, a to powodowało, że Hlynur tym chętniej go dręczył, czasem nawet dopuszczał się pobicia. Z chłopca wyrósł w końcu mężczyzna... i zabił się. Odkąd Hlynur dowiedział się o tej śmierci, zaczął rozmyślać o pójściu tą samą drogą, coraz trudniej było mu wytrzymać ze sobą, ze swoim sumieniem.

Dlaczego był takim... takim draniem?

Jak na razie, jedyną jego zaletą było, że potrafił stworzyć pełen szacunku kontakt z jednym byłym kolegą z klasy, którego też źle traktował. Ten człowiek był teraz dziennikarzem w Reykjavíku. Przed paru laty spotkali się na kawie i porozmawiali o starych czasach. Potem spotkali się jeszcze raz czy dwa. Hlynur sumienie miewał czasem tak obciążone, że nie potrafił tego znieść i chciał coś zrobić, żeby ułatwić temu człowiekowi życie. Chciał pomóc tym, którym jeszcze mógł pomóc. Była to pokuta za jego dawne czyny. W niektórych przypadkach, na pewno w jednym, było na to za późno.

Czasem musiał z lekka naginać przepisy, żeby naprawić swoją przeszłość. Nie miał wyrzutów sumienia, że przekazuje dziennikarzowi informacje; przynajmniej tyle mógł zrobić. To były pierwsze duże sprawy w miasteczku, odkąd przeprowadził się na górę i nie mógł przepuścić okazji, żeby stary kolega dostał informację jako pierwszy.

Robił to, mimo że zdradzał w ten sposób Tómasa i musiał wysłuchiwać, jak Tómas na to wyrzeka. Hlynur mówił sobie, że ta przysługa wobec ofiary z dawnych czasów jest jedną z paru rzeczy stojących między nim a samobójstwem. To trzymało go przy życiu.

Wyrzał przez okno. Miał dzień wolny. Siedział przez jakiś czas i patrzył, jak bezlitośnie pada śnieg. Zasy robiły się coraz wyższe, nadciągała ciemność.

– To nie wygląda dobrze. – Tómas odłożył słuchawkę z przygnębioną miną. Ari Thór nie miał powodu, żeby wracać do domu, nadal tkwił w komisariacie.

– Co takiego?

– Z Lindą. Nadal jest nieprzytomna, a lekarze nie widzą żadnej poprawy. Po prawdzie, to wręcz przeciwnie. Jej stan chyba się pogarsza.

– Powiedzieli Karlowi?

– Są z nim w stałym kontakcie.

– I jak on reaguje?

– Powiedział, że wyjedzie do Reykjavíku, jak tylko będzie mógł. Lekarz wyczuł, że Karl jest przybity, chociaż według mnie to nie jest właściwe słowo. – Spojrzał na Ariego Thóra z poważnym wyrazem twarzy.

– Ona w ogóle go nie obchodzi.

Ari Thór obserwował reakcję zwierzchnika.

Tómas pokiwał głową.

– Chyba masz rację. Ja po prostu tego nie rozumiem – dodał.

– On coś ukrywa – powiedział Ari Thór i znów odwrócił się do komputera. Słyszał, jak Tómas coś mamrocze, może do niego, może do siebie. Coś ukrywa. Przejrzał listę adresów mailowych współpracujących z nimi policji z innych krajów. Teraz nadszedł czas, żeby wygrzebać trochę informacji o tym człowieku.

Ari Thór szybko napisał maila i wysłał. Będzie musiał poczekać. Gdyby był jakiś wynik, miałby asa w

rękawie.

Przypomniał sobie znowu Uglę.

Ugla i Karl? Czy o tę tajemnicę potknął się Hrólfur?

Nie. Do diabła, nie. Nie Ugla.

Przez chwilę zwątpił we własny rozsądek, ale pokręcił głową i wyrzucił Uglę z tego obrazka.

Ale co z Anną? Wrócił myślami do jej podejrzenie dziwnego zachowania, kiedy ją odwiedził. Na pewno miała coś do ukrycia, tak samo jak Karl. Czy oboje ukrywają tę samą tajemnicę, tę samą winę? W tej samej chwili uświadomił sobie, że nie widział ich obojga na stypie po pogrzebie Hrólfura. To nie musiało jeszcze nic znaczyć, ale przecież...

Czy to Karl zepchnął Hrólfura ze schodów, żeby ukryć swój romans z Anną?

A może to zrobiła Anna?

– Myślałem o tym – zwrócił się do Tómasa. – Ta plotka, że Hrólfur miał dziecko podczas wojny albo zaraz po wojnie... Czy to może być prawda?

– Wątpię, chłopcze.

– Ale to możliwe, prawda?

– Wszystko jest możliwe. Ale jeśli nawet tak, nie widzę żadnego związku z naszą sprawą.

– Czy to mógł być ktoś z Towarzystwa Dramatycznego? – nie odpuszczał Ari Thór. – Ktoś urodzony w czasie wojny... ktoś, kto miałby teraz, plus minus, sześćdziesiąt pięć lat? Pálmi? Úlfur?

– Mało prawdopodobne. Pálmi byłby za stary, a Úlfur – cóż, wszyscy wiedzą, kto był jego ojcem. Zabrało go morze. Nie... – powiedział z namysłem Tómas. – Z drugiej strony Nína...

– Nína?

– Tak, jest trochę starsza ode mnie, prawdopodobnie urodziła się około 1945 roku.

– Dlaczego o niej pomyślałeś?

– Przepraszam. Czasem po prostu zakładam, że wiesz wszystko, co robię, wszystko o każdym...

Ari Thór parzył niecierpliwie na Tómasa, póki ten się nie odezwał:

– Ninę wychowywała matka i ojczym, przyjęła jego nazwisko. Jej matka sprowadziła się niedługo po tym, jak zaszła w ciążę, a ja nie mam pojęcia, kto jest prawdziwym ojcem Niny. O ile dobrze pamiętam, jej matka mieszkała na południu podczas wojny, więc wychodzi mi na to, że to był jakiś żołnierz.

Wieczorem Ari Thór wpadł do Ugli.

– Cześć. – Wydawała się trochę zawstydzona. Piękna jak zwykle, ciepła, czarująca. – O, to coś nowego! – radośnie wskazała ramię na temblaku.

Po takim przyjęciu wyczuł, że ich stosunki się zmieniły, rozwinęły w coś, czego się nie spodziewał, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Niczego nie omawiali i miał nadzieję, że nie będzie chciała, żeby teraz z nią poważnie porozmawiał. Nadal musiał rozmówić się z Kristín i jeszcze nie zdecydował się, czego naprawdę chce.

Próbował sobie wmówić, że zainteresowanie, jakie żywiła do niego Kristín, rozplynęło się, że z nimi koniec. Rzadko rozmawiali, a ostatni telefon skończył się dość nagle, bo była zajęta pracą. Jakaś jego cząstka wiedziała, że to tylko styl Kristín, nie była nadmiernie emocjonalna.

W towarzystwie Ugli czuł się dobrze. Za każdym razem, kiedy z nią był, robiło mu się ciepło na sercu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebne mu było wsparcie. Jego koszmary stawały się coraz gorsze, to samo można było powiedzieć o klaustrofobii. Przynajmniej bał się, że zasypie go śnieg, a kiedy to się naprawdę zdarzyło w tym odległym miejscu, poczuł, że długo już nie wytrzyma. Ta cholerna ciemność też się do tego przyczyniła. Musiał nieustannie pracować, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Droga nadal była zamknięta, a wieczorem zeszła kolejna lawina, tym razem mniejsza. Rozpaczliwie kogoś potrzebował.

– Co do spadku... – powiedziała Uglá, kiedy usiedli. – Szczerze, nie mam pojęcia. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę ci, Uglo. Oczywiście Hrólfur był nieprzewidywalny. I nie ma się czego wstydzić; byłaś dla niego uprzejma, byłaś jego przyjacielem. Dlaczego nie miałyby tego dla ciebie zrobić?

– Ale tego jest stanowczo za dużo. Jestem bardzo skrupowana.

– Nie powinnaś. Na swój sposób to zmienia twoje życie. Możesz mieszkać za darmo w wielkim domu, a nawet wynająć suterенę. Albo wynająć cały dom i wykorzystać te pieniądze, żeby wrócić na studia.

– Wiem – odparła, cokolwiek niezręcznie się czując. – Myślałam o wszystkich tych wariantach. Jestem mu taka wdzięczna.

– Możesz nawet sprzedać ten dom, jeśli dostaniesz dobrą cenę – podpowiedział jej Ari Thór.

– Nie ma mowy, nigdy bym tego nie zrobiła Hrólfurowi. Zatrzymam go takim, jaki jest, z meblami i wszystkim. Ale co ludzie pomyślą...? Rozejdą się plotki...

– Nie przejmuj się, co ludzie myślą – Ari przysunął się i objął ją ramieniem.

Odezwała się po chwili ciszy:

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć... coś, co leży mi na sumieniu.

Poczuł, jak wali mu serce. Czy chciała mu coś wyznać? A jeśli to miało związek ze śmiercią Hrólfura, czy w ogóle poczuje się na siłach, żeby zdać z tego raport Tómasowi?

– Chyba trochę ci okłamałam... – powiedziała. Ari Thór czekał w męce. – Chodzi o Ágústa, mojego chłopaka, tego który umarł – mówiła dalej. – Powiedziałam ci, że uderzył go w głowę obcy spoza miasta, ale to nie była cała prawda. Człowiek, który go zabił... chociaż nieumyślnie... to ktoś, kogo znam. Ktoś, z kim miałam romans.

Tak jak ja teraz, pomyślał Ari Thór.

– I właśnie dlatego musiałam wyjechać z Patreksfjörður. Nie tylko ze względu na Ágústa, ale przez tego drugiego człowieka, który nadal tam mieszka. Stałe przypomnienie mojej koszmarnej pomyłki. I roli, jaką odegrałam w śmierci Ágústa...

Zaczęła płakać; pocieszał ją, jak tylko mógł.

Otrząsnęła się, spróbowała wrócić do normalności.

Kiedy już był pewien, że się jej udało, pomyślał, że czas porozmawiać o tym, co go tutaj sprowadziło.

– Mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

– Oczywiście – odparła. – Czego tylko sobie życzysz.

– Mam kilka zdjęć z teatru, z wieczoru, kiedy zginął Hrólfur, chciałbym, żebyś na nie popatrzyła. Myślę, że ktoś chciał ukraść mój aparat podczas włamania, ale nie wiem dlaczego.

Pożyczył od niej komputer i pokazał na nim zdjęcia z CD. Prosił, żeby powiedziała, czy widzi coś nadzwyczajnego.

Przejrzenie zdjęć zajęło jej trochę czasu, potem przejrzała je ponownie, dokładniej. Coś zauważyła. Szczegół, ale interesujący.

Ariego Thóra zaskoczyło imię, które wymieniła. Będzie musiał zgłębić sprawę, żeby uzyskać jaśniejszy obraz. A może zmierza w całkowicie błędnym kierunku?

Pocałował Uglę na pożegnanie. Denerwował się jak uczeń.

Siglufjördur: środa 21 stycznia 2009

Ari Thór miał głowę nabitą sprawą śledztwa, kiedy układał się do snu we wtorkowy wieczór. Mógł myśleć tylko o ludziach z Towarzystwa Dramatycznego, o Karlu i Lindzie, i o starej Sandrze. Tym razem jednak spał mocno, wolny od duszących snów, od conocnego poczucia bezradności. Może się aklimatyzował, chociaż działo się to stopniowo. Obudził się odświeżony, z nową jasnością spojrzenia. Zaświtała mu w głowie konkretna myśl. Przypomniał sobie rozmowę z Sandrą i ostrożnie zaczął sklejać niektóre fakty, zebrane do tej pory w śledztwie.

Czy to możliwe, żeby w miasteczku, przed wielu laty, popełniono straszliwą zbrodnię?

Nadszedł czas, żeby znowu porozmawiać z Sandrą. Pół godziny później ruszył do domu starców. Piękna zimowa pogoda poprawiała mu nastrój. Śnieg przestał padać, powietrze było spokojne. Zapowiadał się ładny zimowy dzień. Ramię znów nosił na temblaku, ale ból barku zaczynał ustępować.

Sandra przywitała go radosnym spojrzeniem.

– Wiedziałam, że wrócisz. Ostatnim razem mieliśmy taką ciekawą pogawędkę. – Leżała w łóżku, ale oparła się na łokciach, żeby porozmawiać. Delikatnie wygładzała narzutę. – Jaka szkoda, że nie wyglądam trochę lepiej.-

– Mam nadzieję, że dobrze się czujesz – powiedział Ari Thór, próbując pokonać jej skrepowanie.

– Nie najgorzej. Jeszcze tu jestem.

– Wspomniałaś wtedy o czymś, o co chciałbym cię teraz zapytać.

– Naprawdę? To pytaj.

Ari Thór zadał pytanie.

Stara kobieta wyglądała na zmieszaną i trochę wystraszoną.

– Mógłbyś powtórzyć? – zapytała cicho.

Ari Thór powtórzył.

– Wydawało mi się, że za pierwszym razem nie dosłyszałam. Po kiego diabła chcesz to wiedzieć? – zapytała Sandra, wyraźnie zdumiona.

– Próbuję rozpracować zbrodnię, którą popełniono wiele lat temu.

Zmienił się wyraz jej twarzy. Była przerażona, kiedy nagle zdała sobie sprawę z tego, do czego dąży Ari Thór. Chwilę myślała, zanim odpowiedziała.

– Nie sądzisz...? – zapytała w końcu.

– Tak, właśnie zaczynam podejrzewać – potwierdził. – Miło było znowu się z tobą spotkać. Wróć, jeśli zależy ci na moim towarzystwie – obiecał.

– Oczywiście, zawsze będziesz mile widziany, drogi chłopcze.

Kiedy zbierał się do wyjścia, usłyszał, jak mruczy do siebie:

– Hm, niech mnie diabli... I to w naszym spokojnym miasteczku!

Ari Thór skorzystał z okazji, żeby zajrzeć do szpitala, przy którym znajdował się dom starców. Poprosił o rozmowę z lekarzem. Odpowiedź, której udzielono mu na jego pytanie, doskonale pasowała

do teorii, którą nosił w głowie.

Tyle spraw się wyjaśniło. Czuł, że w zasięgu ręki ma rozwiązanie zagadki śmierci Hrólfa. Zakładał winę Karla, ale zdjęcie, na które zwróciła jego uwagę Ugla, wskazywało inny kierunek, na osobę, której wcześniej nie podejrzewał.

Opatulony w gruby puchowy skafander, ubrany w dzinsy, Ari Thór wpadł wieczorem do komisariatu. Burza wróciła z mściwą siłą. Zaatakowała z większą potęgą, ciskała śniegiem, który gromadził się wszędzie, gdzie można było znaleźć jakieś schronienie przed kłującym wiatrem.

Ari Thór już myślał, że jego klaustrofobia i niepokoje zaczynają mijać, ale zrozumiał, że do całkowitego ozdrowienia jeszcze długa droga.

Hlynur był sam na wieczornym dyżurze; ścisnął w dłoni kubek kawy. Ari Thór usiadł w kącie kawowym.

– Ci demonstranci na południu spalili choinkę bożonarodzeniową. Widziałeś? – zapytał Hlynur.

Ari Thór popatrzył na niego z zaciekawieniem.

– Choinkę?

– Tak. Na placu Austurvöllur, przed parlamentem. To ta wielka choinka, którą zawsze przysyłają Norwedzy.

– Co? Drzewko z Oslo? To nie do pomyślenia.

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby tutaj ktoś podpalił choinkę na placu. Ale byłby wrzask. Dostajemy choinkę z Danii. Chyba nie przysłaliby nam drzewka za rok, gdyby się to zdarzyło.

– Może demonstrantom po prostu było zimno – ironicznie zauważył Ari Thór. – U nas spokój, prawda? – zmienił temat.

– Tak... kto by łamał prawo przy takiej pogodzie? Aha, dopiero co dzwonił z Reykjavíku, jak tylko Tómas poszedł do domu. W sprawie Lindy.

– Co powiedzieli?

– Coś znaleźli na nożu. Jakieś mikroślady, chyba wełnę. Ale żadnych odcisków palców.

– Zgadzałoby się. Pewnie ślady z jej ubrania? – zapytał Ari Thór, jednocześnie przypominając sobie, że znaleziono ją półnagą.

– Nie, nie pasowały do jej koszuli, którą znaleźliśmy w mieszkaniu. To był jakiś niebieski materiał. Chyba powiedzieli, że wełna. Jutro będziemy musieli sprawdzić. – Ziewnął. – Rano powiem Tómasowi.

Ari Thór poczuł strużkę potu. Niebieska wełna, ciemnoniebieski sweter. Śnieg i nieruchome ciało w aureoli krwi.

Karl.

Ten drań Karl.

Przynajmniej było coś, co łączyło go ze sprawą, a na pewno z nożem.

– Interesujące – powiedział, ukrywając podniecenie. Na razie lepiej było za dużo nie mówić.

Ari Thór usiadł przy komputerze, zobaczył, że nadeszły maile z firmy ubezpieczeniowej z zapisami polisy i warunkami. W poczcie przychodzącej był jeszcze jeden mail, z zagranicy. To powinna być odpowiedź na jego pytanie z przedwczoraj. Przeczytał list i załączony plik tak szybko, jak pozwalała mu na to jego znajomość języka. Wydrukował oba, serce biło mu szybciej.

Wrócił do listu od spółki ubezpieczeniowej, wydrukował polisę i usiadł wygodnie, żeby ją przeczytać.

Proszę, oto niespodzianka...

Serce waliło mu jak młotem. Próbował zamaskować narastające podniecenie. Przyjaźnie machnął na pożegnanie do Hlynura i naciągnął kaptur skafandra. Kawalki układanki trafiały na swoje miejsce jeden po drugim. Dziś wieczór prawda wyjdzie na jaw.

Wyszedł w biały mrok i ruszył przed siebie. Gdzieś w najdalszych zakątkach umysłu słyszał

ostrzegawczy głos, szepczący, żeby był ostrożny i zaczekał do rana. Głos przypominał mu, że nie jest mądrze iść na spotkanie z człowiekiem, który ma chyba wiele na sumieniu.

Z każdą chwilą pogoda była coraz gorsza, wiatr unosił śnieg i miotał nim, tworząc mroźne kłębowiska. Ostrzeżenie od przyrody. Ari Thór ledwie widział, ale doskonale wiedział, dokąd idzie i jak tam dotrzeć. Nic nie stanie mu na drodze.

Siglufjördur: środa 21 stycznia 2009

Karl otworzył drzwi. Było widać, że jest wyczerpany. Zrobił zdziwioną minę, kiedy zobaczył, że na progu stoi Ari Thór. Pokręcił głową i nachmurzył się.

– Czego chcesz?

Nie było w tym nawet pozorów uprzejmości. Może ludzie są uprzejmi tylko wobec umundurowanych policjantów? Czy Karl przez cały czas grał, udawał, że jest przyjacielski i troszczy się o Lindę? Czy teraz ujawnił swój prawdziwy charakter?

Ari Thór natychmiast wyczuł alkohol. Uznał, że Karl nie jest pijany, ale trzeźwy też nie. Pewnie było to coś mocniejszego niż puszka piwa w środowy wieczór. Przyszło mu do głowy, żeby obrócić się na pięcie i zostawić sprawę do rana. Nie był na służbie, a człowiek, u którego się zjawił, nie nadawał się na przesłuchanie. Mimo wszystko postanowił dojść do sedna.

– Możemy zamienić słówko?

Karl zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, minę miał nieufną, ale zaciekawioną. Zanim odpowiedział, wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

Odsunął się, żeby wpuścić Ariego Thóra. W mieszkaniu było zimno. Nie tak jak na dworze, ale wyraźnie czuło się chłód.

Karl poszedł przodem do salonu, ściszył telewizor. Usiadł na skórzanym fotelu, na którym najwyraźniej siedział, zanim Ari Thór zapukał. Na drewnianym stole stała szklaneczka, butelka tequili, cytryna pocięta na ćwiartki, obok niej druga, niepocięta cytryna, ostry nóż i solniczka. Na drewnianym blacie były ślady po nożu. Ari Thór zauważył z niepokojem, że Karl znalazł się pomiędzy nim a drzwiami, jak pies stróż. Ari Thór usiadł na starej żółtej kanapie, nadal zarzuconej dziwnie ozdobionymi poduszkami. Poczł się nieswojo, nie był pewny siebie na terytorium Karla. Karl przesunął fotel, gapił się na Ariego Thóra.

– Chcę ci zadać kilka pytań – zaczął Ari Thór.

– O co? – odpowiedział pytaniem Karl. Upił duży łyk, który chyba go rozluźnił.

Ari Thór pozbierał się i rzucił stanowczo:

– Powiedziałem: kilka pytań.

Karl siedział w milczeniu.

Ari Thór wyjął notatnik i udawał, że go kartkuje, chociaż doskonale wiedział, o co chce zapytać.

– Karl, chodzi o twoje oficjalne miejsce zamieszkania... czy to prawda, że nadal jesteś zarejestrowany w Kópavogur?

Zaczynaj powoli, zbierz odwagę.

Karl roześmiał się.

– Czy to prawda? Co za pytanie! Ari Thór, nie owijaj w bawełnę. Oczywiście, że jestem zarejestrowany w Kópavogur, a ty to już sprawdziłeś. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Ari Thór kiwnął głową w odpowiedzi.

– Jestem komuś winien trochę pieniędzy, jakieś pół miliona. Wolę, żeby nie wiedzieli, gdzie teraz

mieszkam.

– Kto? Banki?

Karl znowu się roześmiał. Tym razem naprawdę wyglądał na rozbawionego.

– Banki? Nie, tacy dżentelmeni, którzy nie korzystają z konwencjonalnych metod. Do tej pory pewnie o mnie zapomnieli. Kto będzie za mną jechał aż do Siglufjördur? Nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjeżdża tutaj w środku zimy – powiedział i przerwał. – Nie licząc ciebie, palanta z południa – dodał z uśmiechem.

Nie daj mu się podpuścić, pomyślał Ari Thór.

– O ile wiem, widywano cię z inną kobietą.

Od razu na głębinię, tam zarzucić przynętę. Czasem popłaca elastyczne podejście do prawdy.

Karl znów się uśmiechnął.

– Cóż, to musiało się stać wcześniej czy później. Po jakimś czasie zabawa w chowanego robi się nudna, ale póki trwa, jest przyjemna. Kto nas widział?

– Hrólfrur – powiedział Ari Thór, myśląc jednocześnie, że to mogła być prawda.

– Hrólfrur! Ten stary drań? Szpiegował sąsiadów?

Sąsiadów? Annę?

– Nadal się spotykacie? Ty i Anna?

– Jakże do diabła to ma znaczenie? Naprawdę cię obchodzi, z kim sypiam?

Karl zamilkł i nagle jakby zrozumiał, jakie wnioski można wyciągnąć z tego, co powiedział.

– Ach... więc myślisz, że zepchnąłem starego ze schodów? – roześmiał się głośno. Twarz miał jak maska.

– A zepchnąłeś?

Karl wściekle na niego popatrzył.

– Nie.

– Nie wstyd ci, że zdradziłeś?

– Wstyd? Nie. Nie byłoby jednak dobrze, gdyby Linda się o tym dowiedziała. To ona płaci czynsz. Ale teraz... Teraz mi to obojętne, skoro jest martwa albo prawie martwa.

Ari Thór poczuł, że narasta w nim wściekłość. Jak można coś takiego powiedzieć.

– Co z Anną? Chyba nie chciała, żeby ludzie się o tym dowiedzieli?

– Na pewno nie. Ma zamiar tutaj zostać i pracować jako nauczycielka. – Uśmiechnął się znacząco. – Nie moja sprawa. Ja wyjeżdżam. Mam pracę w Akureyri.

W milczeniu spojrział za okno, gdzie szalała burza. Ari Thór czekał, słuchając zawodzenia wiatru.

– Przyszedłeś, żeby zapytać, czy zabiłem starego? – powiedział wreszcie Karl.

Ari Thór utkwiał wzrok w Karlu. Postanowił że nie da się odciągnąć od tematu. Był w jaskini lwa i miał zamiar wydobyć prawdę.

– Myślisz, że Lindę też zabiłem? – zapytał Karl, tym razem ironicznie.

– Nie – odparł Ari Thór, wytrzymując jego spojrzenie.

– Naprawdę? To może jednak nie jesteś taki głupi, jak wyglądasz.

– Wiem doskonale, że na nią nie napadłeś. Wiem też o ubezpieczeniu na życie.

Karlowi opadła szczęka, próbował nadrabiać miną.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– A więc wiedziałeś o ubezpieczeniu?

– Nie ma sensu temu przeczyć.

– Na nożu były włókienka z twojego swetra.

Karl uśmiechnął się.

– Aleś ty sprytny. Może po prostu powinienem się przyznać, żeby się ciebie pozbyć.

– Wszystko wskazuje, że nie ty ją zaatakowałeś. Ale możesz darować sobie ten uśmiezek, bo wiem,

co zrobięś.

– Naprawdę? No to mi powiedz. Nie mogę się doczekać.

– Przeniosłeś nóż. Schowałeś go za krzakami, żeby nie znaleziono go obok niej. Wtedy wyglądałoby to tak, jakby to zrobił ktoś inny.

– A dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał Karl pobłaźliwie, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Domyślam się, że przeczytałeś warunki polisy ubezpieczenia na życie, a przynajmniej miałeś pojęcie, co w nich było. Nie dostałbyś nic, gdyby popełniła samobójstwo wkrótce po podpisaniu polisy.

Wyraz twarzy Karla mówił wszystko.

– Myślisz, że chciała popełnić samobójstwo? – zapytał Ari Thór.

– Nie mam pojęcia – odparł Karl, odwracając wzrok. – Ciągle beczała. Nie wytrzymała pogody, nie lubiła ciemności. Gdyby chciała się zabić, to podcięłaby sobie nadgarstki albo coś takiego. Myślę, że po prostu pragnęła, żeby zwrócono na nią uwagę. Czasem mówiła, że coś sobie robi, kiedy zabawiała się kuchennymi nożami. Radziłem jej wtedy, żeby się zamknęła i dorosła. – Przez chwilę milczał. – Coś poszło nie tak, musiała zaciąć się za głęboko i straciła za dużo krwi. Cholerna głupota. Pewnie chciała kusić los, pociąć się i upuścić sobie krwi na śnieg. Była z niej niezła histeryczka. Ale trzeba przyznać, że kontrast był idealny, czerwona krew na białym tle. Miała to artystyczne zacięcie.

Taka chłodna analiza jasno dowodziła, że ten człowiek nie żywi głębszych uczuć do Lindy.

– A na dodatek to wszystko była wina Hrólfula – mówił dalej Karl.

– Hrólfula?

– Po tym, jak spadł ze schodów. Pogorszyło się jej, zrobiła się jeszcze mniej stabilna, szczególnie jak rozeszły się plotki, że Hrólful został zamordowany.

– Ale przyznajesz, że przeniosłeś nóż ze względu na ubezpieczenie?

– Do niczego się nie przyznaję. To nie jest tego warte. Nic mi to nie da... Po prostu gram, jeśli jest o co grać... Przyznaję, to jak kolec w bok, żyć z kimś, kto się zachowuje jak wariatka. I jak to o mnie świadczy?

Przerwał, a po chwili zaczął mówić bardziej napastliwym tonem.

– Chyba miałeś nadzieję, że mi przylepisz coś poważnego. Ale nie wsadzisz mnie za kratki, bo przeniosłem nóż...

Cóż, niestety, pomyślał Ari Thór.

Wyjął z kieszeni kilka złożonych kartek i położył je na stole. Kiedy to robił, zadzwonił jego telefon. Wyjął go z kieszeni spodni i popatrzył na ekranik. Ugła. Położył telefon na stole i wyciszył dzwonek.

– Co to jest? Co tu masz? – zapytał Karl. Trochę się jąkał, powoli przestawał nad sobą panować. Zaczął ciąć cytrynę na plasterki. Nie przeszkadzało mu, że robi kolejne nacięcia w blacie starego stołu.

Ari Thór nie odpowiedział natychmiast.

– Co to za szpargały, kurwa? – ponownie zapytał Karl.

– Dokumenty, które przysłała mi duńska policja.

Karl zachował obojętną minę, ale zaczął mocniej naciskać na nóż, krojąc cytrynę.

– Mieszkałeś tam przez jakiś czas, prawda? – zapytał Ari Thór.

– O tym już wiesz. Co próbujesz wygrzebać, draniu?

– To stare raporty policyjne. Wygląda na to, że miałeś parę razy problemy z prawem.

– No to co? Nic poważnego.

– Jeden był poważniejszy. Zdaje się, że przesłuchiowano cię jako podejrzanego w dużej sprawie... Mocno podejrzanego, ale dowodów nie było.

Żadnej reakcji.

– Mam ci odświeżyć pamięć?

Milczenie.

– Było włamanie do domu pewnej kobiety na przedmieściach Århus... Skradziono biżuterię. Brzmi

znajomo?

Karl miał kamienną minę. Przestał kroić cytrynę. Bezmyślnie przyłożył ostrze do kanapy i przejechał wzdłuż podłokietnika, kalecząc skórę.

– Napadnięto na kobietę. Domyślam się, że znasz resztę tej historii, prawda?

Karl uśmiechnął się. Ari Thór zadrżał, wzdłuż kręgosłupa poczuł chłód.

– Tak, znam tę historię.

38

Znowu próbowała otworzyć drzwi, serce waliło jej jak młotem, słyszała, jak on się zbliża, wyczuwała, że jest tuż.

Kliknięcie było najpiękniejszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszała. Drzwi były otwarte, pociągnęła je do środka, zrobiła krok do tyłu, żeby je dalej otworzyć i wybiec, wybiec tak szybko, jak tylko nogi na to pozwolą. Będzie biegła dla męża, dla dzieci, dla wnuków. Będzie biegła, żeby wrócić do indyjskiej restauracji z daniami na wynos i wziąć kurczaka, tym razem z ryżem.

Był wściekły, kiedy zdał sobie sprawę, że próbowała uciec. Furia dodała mu energii, pognął do drzwi z nożem w jednej ręce, a telefonem w drugiej. Skończył rozmowę z przyjacielem, tym, który wskazał mu ten dom jako łatwy cel – kobieta przebywała w nim często sama. W zamian za informację miał dostać udział w zysku.

Już kiedyś zabijał, ale nie w takich okolicznościach i nigdy przy użyciu przemocy. Zabijanie nie wywarło na nim wrażenia, był to po prostu niezbędny fragment pracy, żeby osiągnąć cel. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Nie wahał się, nie poczuł nawet drgnięcia sumienia, cofnął nóż i wbił go głęboko.

Odwróciła się plecami, nie zobaczyła go, poczuła tylko ostry ból. Z trudem zerknęła przez ramię, zobaczyła, jak wyciąga nóż z rany. Zamknęła oczy, nie dotarł do jej świadomości drugi cios. Potem już nic nie widziała.

Miał rację. Nie czuł niczego, nawet odrobiny skruchy – tylko gniew, że dał jej okazję do ucieczki i oczywiście złość, że nie dobrał się do zawartości sejfu. Teraz to nie miało znaczenia. Najważniejsze to stąd uciec.

Wyszedł w ciepły mrok duńskiego wieczoru i zniknął między wspaniałymi podmiejskimi domami, których mieszkańcy bardzo się starali niczego nie widzieć.

Siglufjördur: środa 21 stycznia 2009

Karl w milczeniu patrzył na Ariego Thóra.

– Nikt nie został oskarżony o to morderstwo – powiedział w końcu Ari Thór, nie spuszczać wzroku. Karl wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze mną – powiedział. Podniósł nóż i dalej kroił cytrynę.

– Umiesz się obchodzić z nożem.

– Nauczyłem się za młodu. – Nachmurzył się, potem zachichotał. – Nic na mnie nie masz. Głupi żółtodziób z południa przychodzi i próbuje mnie nastraszyć. Nic z tego.

Powiedział to zdecydowanym głosem.

Ari Thór do tej pory się nie mylił. Był tego pewien, chociaż Karl nie potwierdził jego podejrzeń. Była tylko jeszcze jedna sprawa, którą chciał wyjaśnić, a potem przyjdzie chwila, żeby zaatakować.

– Kiedy przeprowadziłeś się za granicę?

– Do Danii? W 1983 roku. Szkoda, że w ogóle wracałem.

– Tamtego lata?

– Nie, tamtej jesieni.

– O ile się orientuję, twoja rodzina miała ciężko w Siglufjördur w tamtych latach.

– O co ci chodzi?

– Twoi rodzice nie byli zbyt bogaci, prawda?

– Moi cholerni rodzice byli zawsze za biedni, żeby mi coś dać.

– A jednak byłeś wtedy w stanie kupić sobie samochód... dżipa. Tego, który teraz jest własnością ojca

Anny.

Po raz pierwszy na twarzy Karla pojawił się niepokój.

– A co to ma z tym wspólnego?

– Piękny wóz – powiedział Ari Thór, chociaż go jeszcze nie widział.

– To był świetny samochód. Że też musiałem go sprzedać... cholerny świat!

– Dlaczego się przeprowadziłeś?

– Nie twoja sprawa – warknął Karl i na chwilę się zamyślił. Widać było, że coś kombinuje. – Żeby znaleźć pracę. Tato nie mógł tutaj znaleźć pracy.

– Na pewno to był jedyny powód?

– Co ty chcesz mi wmówić? – Podniósł się z fotela, nadal trzymając nóż. Zapomniał o cytrynie.

– Jak mogłeś sobie pozwolić na taki drogi samochód?

Karl nic nie powiedział.

– Starsza pani pewnie zbyt dobrze nie płaciła?

Teraz Karl pobleadł, ale nic nie powiedział.

– Starsza pani, matka Pálmiiego. Pracowałaś dla niej, prawda? Słyszałem, że robiłaś dla niej dorywczo różne rzeczy, sprzątałaś, zabijałaś szkodniki, ale kiedy o to pytałem, wypłynęło kilka innych spraw. Kobieta, z którą rozmawiałem, pracowała wtedy w spółdzielni i zapamiętała, że kupowałaś trutkę na

szczury; uznała po prostu, że chcesz wytruć szczury u starszej pani.

Ari Thór postanowił przerwać i teraz patrzył, jak Karl wije się w fotelu.

Nareszcie.

– Pálmi powiedział mi, że jego matka nie ufała bankom i trzymała swoje oszczędności w skrytce... ale kiedy umarła, zostało tak mało, że ledwo wystarczyło na pokrycie kosztów pogrzebu. Trochę dziwne, nie sądzisz?

Ari Thór czekał. Karl wstał. Stał nieruchomo z nożem zaciśniętym w dłoni.

– Powiedzmy, że ci ufała i powiedziała o oszczędnościach trzymanyh w domu. Albo że się na nie natknąłeś podczas sprząwania. Tak czy inaczej, umarła nagle latem 1983 roku na wylew krwi do mózgu. Rozmawiałem z lekarzem i zapytałem, czy trutka na szczury może wywołać takie same objawy jak wylew krwi do mózgu. Potwierdził to. Wtedy nikt niczego nie podejrzewał. Kobieta ma sześćdziesiąt siedem lat, dostaje wylewu i umiera. Zaprzyjaźniony młody człowiek, który dla niej pracował, wkrótce potem kupuje sobie fajnego dzipa... Czy tylko twoi rodzice zobaczyli to powiązanie?

Karl nic nie powiedział. Wściekłość jasno malowała się na jego twarzy. Bez względu na wszystko, Ari Thór naciskał dalej.

– Przecież to oczywiste. Zabiłeś starszą panią, żeby położyć rękę na jej gotówce. Ile tego było? Wystarczyło, żeby kupić sobie dzipa, to wiemy. Coś zostało? Udało ci się ją oszukać tak, jak mnie oszukałeś. Na pozór niewinny, przyjazny, uprzejmy. Ale twoi rodzice przejrzeni cię. Wyjechali z kraju, żeby prawda nie wyszła na jaw. Ich nie mogłeś oszukać, prawda? Wiedzieli, jaki jesteś w głębi, do czego jesteś zdolny.

Karl nagle znalazł się przy stole, nóż nadal miał w ręku.

Ari Thór siedział bez ruchu. Między nimi był tylko stół.

– Ty draniu! Jeśli powiesz komuś słówko... to...

– To co ???

Pożalował pytania, w chwili, w której je zadał. Doskonale wiedział, co mu grozi.

Karl szybko sięgnął przez stół i złapał Ariego Thóra za ramię, to kontuzjowane ramię, nadal spoczywające na temblaku.

Przeszył go ból, ogarnął strach. Szczur w pułapce, osaczony.

– Muszę to załatwić na miejscu. – W oczach Karla błyszczało szaleństwo, wymierzył nóż w Ariego Thóra.

Ari Thór wstał, szybko i sprawnie, bez ostrzeżenia, pięść miał zaciśniętą. Jeden cios wystarczył, żeby Karl stracił równowagę. Poleciał do tyłu, upuścił nóż, Ari Thór przeskoczył przez stół. Zostawił telefon tam, gdzie leżał, i pobiegł do drzwi na końcu korytarza.

Słyszał, jak Karl wstaje z rykiem.

Szarpnięciem otworzył drzwi i wybiegł w burzę, w ciemność. Pędzony wiatrem śnieg oslepił go. Stopy miał ciężkie jak ołów, jak w najgorszym ze swoich nocnych koszmarów.

Przebiegł na przełaj przez zasypane śniegiem stare boisko do piłki nożnej w centrum miasteczka. Lata minęły, odkąd ostatni raz tak biegł po boisku. Był wtedy małym chłopcem w Reykjavíku.

Nie chciał, żeby wszystko tak się skończyło. Musi dotrzeć do celu. Karl musiał biec niedaleko za nim, był zdesperowany, zdolny do wszystkiego. Ari Thór wiedział, że jeśli się zatrzyma, jego życie skończy się tutaj, w kałuży krwi na śniegu.

Przeskoczył przez wysoką zaspę śnieżną prosto na chodnik przed sklepem alkoholowym. Musi biec szybciej, przezwyciężyć chęć, żeby się zatrzymać i spojrzeć za siebie. Myśl, że teraz będą mogli wsadzić Karla za kraty, dodawała mu siłę.

Był na placu Ratuszowym. Jeśli przebiegnie przez plac i skręci za róg, dotrze do komisariatu.

Zmuszał się do szybszego biegu.

Uda mu się. Jest już prawie na miejscu.

Na pewno zdąży.

Siglufjördur: środa 21 stycznia 2009

Do premiery zostało niewiele czasu.

Właśnie wtedy Nína postanowiła wykonać swój ruch.

Dość tego czekania. Zgłosiła się na ochotnika do Towarzystwa Dramatycznego tylko po to, żeby być blisko niego, mężczyzny, którego kochała.

I chociaż powiedział jej, że nie mogą być razem, zawsze myślała, że jednak, w ten czy inny sposób, skończą jako para. On był zawsze taki uprzejmy wobec niej.

Chciała porozmawiać z nim podczas przyjęcia po premierze, poprosić go o randkę, jak nastolatka.

Przegapiła lata, kiedy była nastolatką. Za długo czekała na życie, przyglądała mu się, jak przelatuje obok, jakby przez okna zbyt szybko jadącego samochodu.

Czuła w brzuchu motyle.

Była tak podekscytowana.

Ari Thór był tak wykończony, że spojrzął za siebie dopiero, kiedy dotarł do komisariatu. Nikogo za nim nie było.

Hlynur wstał i gapił się na Ariego Thóra, który wtoczył się przez drzwi zziębnięty, w opłakanym stanie. Oczy miał szeroko otwarte, przerażone. Minęło trochę czasu, zanim zdołał wykrztusić z siebie spójne zdanie:

– Karl... ten drań... próbował mnie zabić. Jest uzbrojony i niebezpieczny. Wykryłem, że zamordował matkę Pálmiego i kobietę w Danii. – Ari Thór krztusząc się, próbował przedstawić nadciągające zagrożenie.

– Uspokój się, wielebny. – Hlynur przyjął wiadomość ze spokojem, prawie jakby się spodziewał, że Ari Thór pojawi się w takim stanie. – Usiądź sobie i wypij trochę kawy. Wezwałem Tómasa.

– Tómasa? – Ari Thór wziął od Hlynura kubek. – Już dzwoniłeś do Tómasa?

– Parę minut temu dzwonił Karl.

– Karl? – jęknął Ari Thór. – Po kiego diabła?

Hlynur łagodnie położył mu rękę na ramieniu, tym zdrowym.

– Chce złożyć formalną skargę.

– Skargę? – Ari Thór nie był w stanie dokończyć zdania. Czuł się pokonany, osaczony perfidią Karla. Ukrył twarz w drżących dłoniach i zrobił wydech. Morderca ma zamiar skarżyć się na niego?

– Uspokój się – powiedział przyjaźnie Hlynur. – Nie martw się... Wiemy, jaki jest Karl i nikt nie ma zamiaru mu uwierzyć. Ale skarga musi przejść właściwymi kanałami ze względu na formalności.

Ariemu Thórowi odjęło mowę.

– Powiedział, że wdarłeś się do niego i zacząłeś go przesłuchiwać, chociaż było oczywiste, że pije alkohol, a ty nie byłeś na służbie. Chce cię oskarżyć o napaść. Dałeś mu w twarz, prawda?

– Próbował mnie zabić!

Ari Thór wstał gwałtownie i zrzucił kubek z kawą na podłogę. Kubek rozbił się na kawałki, kawa

rozlała się na wszystkie strony.

– Chciał mnie zabić, ten cholerny morderca. Słyszysz?

– Poczekajmy na Tómasa, dobrze? – powiedział Hlynur. Jego głos brzmiał pocieszająco.

– Musisz natychmiast zatrzymać Karla! – wrzasnął Ari Thór. – Może próbować ucieczki, słyszysz?

– Nigdzie nie ucieknie.

– Kpisz sobie ze mnie, Hlynurze? Jemu wierzysz czy mnie? Musisz tam pójść i zatrzymać go! Słyszysz?

– powiedział z wściekłością Ari Thór.

– Spokojnie, wielebny – powiedział Hlynur. – Zrobię ci jeszcze kawy.

– Jeszcze raz opowiedz, co się stało. – Tómas starał się mówić spokojnie i cicho. Ari Thór był wyraźnie zdenerwowany, mówił niespójnie. – Zaatakowałeś go?

– Nie, oczywiście że nie. Miał nóż, musiałem go uderzyć, żeby się stamtąd wydostać! Przedstawiłem mu moje wnioski: że Linda próbowała popełnić samobójstwo i że on to zatuszował, kiedy znalazł ciało i ukrył nóż.

– Dlaczego?

– Ze względu na warunki polisy. Nie dostałby dziesięciu milionów, gdyby uznano to za samobójstwo – wyjaśnił nerwowo Ari Thór.

– Przyznał się do tego?

– Mniej więcej. Nie zaprzeczył.

– Chłopcze, nie sądzę, żeby to wystarczyło – powiedział łagodnie Tómas. – W każdym razie to będzie najwyżej wykroczenie, przeszkadzanie w policyjnym śledztwie.

– Poza tym... uważam, że zabił dwoje ludzi.

– Naprawdę?

– Matkę Pálmiego. Ta staruszka, pani Sandra, wspomniała, że pracował dla matki Pálmiego, robił różne rzeczy, między innymi zwalczal robactwo i szkodniki. Zapytałem o szczegóły: pamiętała, jak kupował w spółdzielni trutkę na szczury. Matka Pálmiego zmarła. Wkrótce potem Karl wyprowadził się razem z rodzicami, a trochę wcześniej kupił dżipa. Kiedy matka Pálmiego umarła, okazało się, że nie ma ani grosza. Musieli się spieszyć, kiedy odkryli, co zrobił. – Ari Thór z trudem łapał oddech między słowami. – A objawy otrucia trutką na szczury mogą być takie same jak jej domniemanej przyczyny śmierci.

– Mój chłopcze, to teoria – powiedział Tómas. – Uważam, że Karl jest zdolny do wszystkiego, ale czy masz jakiś konkretny dowód? Może dodajesz dwa do dwóch i wychodzi ci pięć tylko dlatego, że chcesz?

– On przecież temu nie zaprzeczył!

– Może się z tobą drażni.

– Tak czy siak, mam jeszcze coś... Widziałem raporty policyjne z Danii, wydrukowałem je, są na moim biurku. Był głównym podejrzanym o zabójstwo kobiety. Podczas włamania zginęło trochę biżuterii.

– I znowu, cóż teraz możemy zrobić? Duńska policja na pewno zrobiła, co mogła. Powinieneś iść do domu, trochę odpocząć.

– Nie chcesz go zatrzymać? – Ari Thór był oburzony.

– Porozmawiam z nim. Mówisz, że wyciągnął na ciebie nóż?

– Hm... – Ari Thór zawahał się. – Miał nóż, kiedy przyszedłem, kroił cytrynę.

– W porządku, chłopcze, na razie wystarczy.

Słowo Ariego Thóra przeciwko słowu Karla, myślał Tómas. Chłopak nie był na służbie, pewnie jest trochę niezrównoważony. I najprawdopodobniej uderzył podejrzanego. Tego wieczoru popełnił więcej niż jeden błąd. Ale wyciągnął też parę interesujących wniosków, chociaż pewnie większości nie da się udowodnić. Tak, w chłopcu jest potencjał, ale musi być ostrożniejszy.

Tómas przesłuchiwał Karla w komisariacie, tymczasem Hlynur przeszukiwał jego dom.

Karl był spokojny, opanowany, odpowiadał monosylabami albo milczeniem. Tómas powiedział mu, że jest przesłuchiwany jako potencjalny podejrzany i ma prawo do adwokata.

Kiedy Karl stanowczo zaprzeczył, że ma coś wspólnego ze śmiercią matki Pálmiego, Tómas zaczął go przesłuchiwać w sprawie Lindy.

– Znaleźliśmy ślady ciemnoniebieskiej wełny na nożu. Tego wieczoru, kiedy znalazłeś ciało, miałeś na sobie ciemnoniebieski wełniany sweter. Linda była ubezpieczona na życie, a ty zyskałbyś finansowo na jej śmierci. Więc powiedz mi... – Tómas nie spuszczał Karla z oczu. – Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię teraz aresztować za usiłowanie zabójstwa?

Karl przez jakiś czas siedział w milczeniu.

– Kiedy ją znalazłem, miała nóż w rękę. Nie możesz mnie oskarżyć o napaść. – Wydawało się, że całkowicie panuje nad sytuacją.

Tómas siedział bez ruchu i czekał.

– Nie wiem, co mnie naszło. Schowałem nóż w ogródku sąsiadów dlatego, żeby... cóż, nie zaszkodzić jej opinii. Oczywiście, to było nierozsądne z mojej strony.

– I dlatego, że nie dostałbyś ani groza, gdyby udowodniono, że to samobójstwo. Wiedziałeś o tym.

– Nie wiedziałem.

Uśmiechał się, bo był pewien, że podczas przeszukania domu nie znajdą kopii polisy ubezpieczeniowej.

Tómas zaczął go przesłuchiwać w sprawie wcześniejszych zgłoszeń przemocy domowej, mimo że dysponował tylko podejrzeniami i zeznaniem Leifura, że Karl i Linda często się kłócili. Według najnowszych informacji nic nie wskazywało na to, że Linda odzyska przytomność i będzie mogła zeznawać przeciwko Karlowi.

– Groziłeś nożem Ariemu Thórowi? – zapytał Tómas, próbując zaskoczyć Karla.

– Oczywiście, że nie. Miałem nóż w rękę, kiedy się na mnie rzucił. Dałem mu szansę na rozmowę, chociaż było widać, że jest niezrównoważony, a kiedy zaczął wysuwać oburzające oskarżenia, wstałem i poprosiłem, żeby wyszedł. Właśnie wtedy mnie zaatakował. Mam nadzieję, że moja skarga zostanie właściwie rozpatrzona.

– Oczywiście – odparł Tómas. – Muszę cię poprosić, żebyś chwilę poczekał.

Wyszedł z pokoju przesłuchań i zadzwonił do policyjnego adwokata, który miał dyżur, żeby się dowiedzieć, co robić dalej.

– Wygląda na to, że nie macie żadnych dowodów łączących go z napaścią na Lindę – powiedział adwokat, kiedy Tómas szczegółowo przedstawił mu sytuację. – Co do innych spraw, tych starszych, to nie sądzę, żeby można było coś zrobić. Czysta spekulacja. Według mnie nie ma podstaw do zastosowania aresztu.

Tómas poczekał, aż Hlynur zakończy przeszukanie. Okazało się bezowocne. Potem pozwolił Karlowi wyjść.

– Ale nie wyjeżdżaj z miasta przez najbliższe parę dni – dodał ostrzegawczo.

– Daleko bym nie zajechał, drogi są zablokowane – uśmiechnął się Karl, wychodząc w noc i wirujący śnieg.

Uśmiech człowieka, który wie, że umknął sprawiedliwości, pomyślał Tómas, bo już wcześniej mu się to zdarzało.

Ryby.

Wszystko zaczęło się od ryb.

Gdyby w morzu nie było ryb, nikt nawet by nie pomyślał, żeby tu zamieszkać. Nie zbudowano by pierwszego domu, a Ari Thór nigdy by tu się nie przeniósł. Teraz nie wiedział, czy zachowa swoją pracę, skoro miał w perspektywie oskarżenie o napaść.

Te cholerne ryby.

Roztrzęsiony tym, co stało się wieczorem, Ari Thór spał jednak dobrze tej nocy. Po drodze do komisariatu wstąpił do piekarni, żeby kupić bułkę. Miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą – w piekarni i na ulicy. Ściagały go przenikliwe, pytające spojrzenia, jakby awantura z Karlem była rzeczą powszechnie znaną. Próbował wyrównać oddech. Oczywiście nikt nie wiedział. Musi zorientować się w swoim położeniu, z powrotem stanąć na ziemi. Nie było żadnego spisku miastowych przeciwko niemu.

– Dzień dobry. Dobrze spałeś? – zapytał wesoło Tómas.

Ari Thór kiwnął głową i popatrzył na Hlynura.

– Przepraszam za cały ten cyrk z ostatniego wieczoru.

– Cyrk? Nie ma nawet porównania z informacjami z południa – odparł Hlynur. – Te protesty zdążyły wykipieć. Słyszałem, że nasi koledzy musieli użyć gazu łzawiącego, żeby je opanować.

– Tak to już jest – powiedział Tómas. – Tutaj przynajmniej nie mamy demonstracji.

– Nie mówiłeś kiedyś, że tęsknisz za tłustymi latami w mieście? Może powinieneś wtedy protestować – zażartował Ari Thór. – Rozmawiałeś wieczorem z Karlem?

– Porozmawialiśmy i musiałem go puścić – powiedział Tómas. – Na razie.

Tego Ari Thór oczekiwał, ale i tak był trochę rozczarowany. Nieprzyjemnie było pomyśleć, że Karl jest wolny.

– Dziś rano rozmawiałem ze spółką ubezpieczeniową – powiedział Tómas. – Powiedziałem im, że prowadzimy dochodzenie w tej sprawie i stwierdziliśmy usiłowanie samobójstwa. Jeśli Linda umrze, a to niestety jest prawdopodobne, wtedy Karl nie dostanie ani grosza. Więc jest jakaś sprawiedliwość. Potem zamieniłem też słówko z szeryfem z Akureyri. Chwałą nas za skuteczne dochodzenie w sprawie Lindy. W końcu nie przyślą nikogo do pomocy. Sprawa jest prawie wyjaśniona – dodał.

Ari Thór wydrukował tłumaczenie informacji z Danii, która nadeszła poprzedniego wieczoru. Karl był przesłuchiwany podczas prowadzonego tam śledztwa. Mąż tamtej kobiety wcześniej rano wrócił do domu i znalazł ciało przy drzwiach wejściowych. Miała dwie rany kłute w plecach. Ustalono, że umarła natychmiast po drugim ciosie. Sprawa pozostała nierozwiązana.

– Pytałeś Karla o tę sprawę z Danii? – zapytał Ari Thór.

– Nie można go skazać na podstawie tego, czym dysponujemy – poważnym tonem powiedział Tómas. – Nie ma dowodów. Niestety, Ari Thórze, to bez znaczenia, że jesteś pewien jego winy i jakie wnioski wyciągnąłeś z jego zachowania. Ale uważam, że masz rację.

– A co z matką Pálmiego?

– Cholernie dobra teoria, bardzo przekonująca... Ale myślę, że on nigdy się do tego nie przyzna. Wczoraj nie odpowiedział na żadne pytanie. On nie z tych, co załamują się podczas przesłuchania, ale na pewno się tym zajmiemy. Powiedziałem Hlynurowi, żeby przepytał Sandrę i poprosił ją o złożenie zeznania w sprawie trucizny na szczury.

Ariemu Thórowi poprawił się nastrój.

– Ale nie miej złudzeń, Karla nie wsadzą za tamte morderstwa. Jestem przekonany, że do skazania zabraknie dowodów. Możemy skontaktować się z jego rodzicami, którzy nadal mieszkają w Danii. Zobaczymy, do czego nas doprowadzą. Jeśli masz rację, że wyjechali z kraju, żeby go chronić, to wątpię, żeby go wsypali.

– Zrobię wszystko, żeby go usunąć.

– Wybacz, chłopcze... Nie weźmiesz udziału w śledztwie, bo ciąży na tobie oficjalna skarga. Przesłano ją do prokuratora krajowego, ale nie martw się tym. Jestem pewien, że ją odrzucą, kiedy tylko wyjdą na jaw okoliczności. W końcu ten człowiek miał nóż w ręku.

Wykluczenie ze sprawy nawet się nie śniło Ariemu Thórowi. Zawziął się, że naprawi swoje błędy, że całą energię poświęci śledztwu. Milczał, rozczarowany i zawiedziony.

– Ale rzeczywiście było to nieostrożnie z twojej strony – powiedział Tómas. – Żadnego zastanowienia. Możliwe, że będziemy musieli udzielić ci oficjalnej nagany, ale zobaczymy... Miejmy nadzieję, że obędzie się bez tego. Póki pamiętam, musimy ci dać inny telefon. Twój jest dowodem w sprawie.

Ari Thór pokiwał głową; uznał, że nie ma wyboru. Poprzedniego wieczoru powiedział Tómasowi, że zapomniał telefonu u Karla, bo musiał uciekać, żeby ratować życie.

– A samochód? – zapytał poważnie.

– Samochód? Jaki samochód?

– Dżip Karla. Ten, który kupił za pieniądze ukradzione matce Pálmięgo. Możesz sprawdzić, czy zapłacił za niego gotówką?

Tómas zapisał to.

– Tak zrobię, chłopcze.

Więści szybko się rozniosły, gdy strona informacyjna w Reykjavíku zamieściła artykuł na ten temat w odpowiednio sensacyjnej oprawie.

„Mężczyzna z Siglufjörður podejrzany o morderstwo sprzed dwudziestu pięciu lat”.

Artykuł, rzekomo oparty na „wiarygodnych źródłach”, wspominał nawet o tym, że wymieniony człowiek był podejrzany o dokonanie morderstwa w Danii i że kobieta, którą półżywą znaleziono w śniegu zaledwie przed tygodniem, jest jego dziewczyną.

Hlynur nie powiedział znajomemu dziennikarzowi, że sprawę kobiety w śniegu uważa się w śledztwie za samobójstwo.

Związek Karla i Anny nie dotarł do mediów. Powód był prosty; Hlynur chciał ze wszystkich sił chronić niewinnych.

Leifur patrzył, jak Úlfur nieśmiało wchodzi na scenę starego teatru. Tym razem wszyscy z uwagą słuchali starego dyrektora.

Leifur, stojąc przy ścianie niedaleko sceny, patrzył na salę. Nína stała przy wejściu, niedaleko miejsca, w którym znaleziono zwłoki Hrólfura. Wydawało się, że to było tak dawno.

Pálmi siedział niedaleko pierwszego rzędu, Anna i Ugla trochę dalej, ale z dala od siebie. Pálmi wyglądał na przygnębionego i smutnego. Młodemu policjantowi z południa udało się wyświecić morderstwo sprzed lat, czego nikt się nie spodziewał. Bezlitosny morderca odebrał matce Pálmięgo zmierzch jej życia, a przynajmniej tak to wyglądało, chociaż niczego nie można było udowodnić.

Leifur nie uzyskał odpowiedzi. Ktoś zmusił jego brata, żeby wypadł z drogi, zniszczył rodzinne

szczęście. Dzień w dzień, krok za krokiem, godził się z faktem, że sprawca, który uciekł z miejsca wypadku, nigdy nie zostanie odnaleziony, że na niektóre pytania nie ma odpowiedzi.

Úlfur odchrząknął.

Słowa „przedstawienie trwa nadal” wisiały w powietrzu, niewymówione, niezbyt pasujące do sytuacji. Úlfur wymamrotał coś do siebie i spojrzał na widownię.

– Musimy jakoś sobie z tym poradzić... z sytuacją, w jakiej znalazł się Karl. Doskonale rozumiem, że nie wszyscy mamy ochotę występować na deskach w takiej chwili, ale jestem pewien, że wyjdzie nam na dobre, jeśli premiera odbędzie się w najbliższy weekend. Ja... ja rozmawiałem z Leifurem. Przemyślał sprawę i jest gotów wziąć główną rolę, mimo że tak mało czasu zostało.

Popatrzył na Leifura, który nieśmiało się uśmiechnął. Potem znów spojrzał na widownię. Pálmi nie zmienił wyrazu twarzy; prawdopodobnie już o tym wiedział. Inni, zaskoczeni, zaczęli poszeptywać. Nie spodziewali się, że Leifur ma tyle pewności siebie, żeby przyjąć taką rolę.

– Hm, chyba dam sobie radę – powiedział Leifur.

Decyzję podjął poprzedniego wieczoru. Niezgorzej znał scenariusz, nauczył się go jako dubler Karla, wziął też kilka dni wolnego w pracy, żeby się przygotować. Postanowił zostać gwiazdą.

Pomyślał o swoim starszym bracie, który byłby z niego dumny.

Poczuł, że narasta w nim ambicja. Może powinien skorzystać z okazji i porozmawiać z Anną po premierze? Było w niej coś, co go przyciągało.

Miasteczko nadal leżało pod grubą warstwą śniegu, kiedy Ari Thór poszedł wczesnym rankiem do pontonów w porcie. Twarz miał wymizerowaną po niespokojnej nocy. Śnieg zasypał płoty, w wielu miejscach sięgał aż do okien domów. Na słupku w ogrodzie przycupnął drozd. Patrząc uważnie można było zobaczyć stadko drozdów, które zebrało się, żeby dziobać ziarno, które wysypał dla nich właściciel domu.

Ari Thór wszedł do portu i popatrzył na wzburzone morze, na majestatyczne góry. Do lata było daleko. Czy nadal będzie mieszkał w Siglufjörður, kiedy ono nadejdzie? A może do tego czasu Tómas odeśle go w niełasce do domu? Nawet jeśli tutaj wszystko pójdzie jak najlepiej, jeśli oficjalna skarga Karla zostanie odrzucona, czy nadal będzie chciał tu zostać?

Był dumny z tego, co osiągnął, mimo że nie zdołał odkryć tajemnicy śmierci Hrólfa. Nadal uważał, że jest w niej coś złowrogiego.

W końcu był tam, gdzie powinien być na tym etapie życia. Praca policyjna mu odpowiadała. Jeśli ją utrzyma, będzie musiał dać Siglufjörður szansę.

No i była Uglą. Nie wiedział, czy ją kocha, a chciał się upewnić.

Zrobiła, co mogła, żeby go przekonać, że nie należy wyjeżdżać z miasteczka.

– Zostań do wiosny – zaproponowała. – Czasem wiosną, albo na początku lata budzisz się i widzisz mgłę nad fiordem. Nie widać nawet morza. Z mgły wyłaniają się jeden, dwa szczyty, jakby unosiły się w powietrzu. Potem pojawia się słońce i wszystko nagle się zmienia. Piękno tego krajobrazu zapiera dech. Kiedy tego doświadczysz, nie będziesz chciał stąd wyjeżdżać.

Była bardzo przekonująca.

Z Uglą przekroczył już pewną granicę. Pierwszy pocałunek, potem zaproszenie do sypialni. Chciał z nią sypiać, ale potem sumienie wzięło górę. Uznał, że nie może być aż tak nielojalny wobec Kristín. Najpierw musiał się przekonać, na czym stoją.

Ale, do diabła, trudno zostawić Uglę nagą w łóżku. W dzinsach i białym obcisłym T-shircie była piękna, ale kiedy jej ubranie leżało na podłodze, nie można było się jej oprzeć.

Czuł się jak ostatni idiota, kiedy jej powiedział, że chce poczekać i nie dodał dlaczego. Uglą nie wiedziała o Kristín. To będzie trudna rozmowa.

Ari Thór podniósł wzrok na góry. W Reykjavíku zawsze miał wrażenie, że mieszka w cieniu góry Esja, ale teraz naprawdę dowiedział się, co to znaczy mieszkać w cieniu gór. Esja była daleko od jego domu w środku miasta; tutaj góry były tuż nad nim.

W Reykjavíku, w samym centrum, z rządem bliskim upadku, nie sposób było nie słyszeć demonstracji. Działa się historia, której doświadczyłby bezpośrednio, gdyby nie przeprowadził się na północ. Ale teraz to już nie było istotne. To wszystko działo się daleko, niemal w innym świecie.

Patrzył na fiord i widział wodę nieruchomą jak lustro w jasny dzień. Głęboko zaczerpnął powietrza i zrobił powolny wydech.

Przechodząc przez plac Ratuszowy, Ari Thór wpadł na Pálmięgo.

Pálmi skinął mu głową na powitanie i najwyraźniej chciał iść dalej, ale nagle odwrócił się i zatrzymał.

– Dziękuję – powiedział cicho głosem pełnym emocji. Przeszywał Arięgo wzrokiem zza szkieł. –

Słyszałem o twojej... hm, twojej teorii na temat śmierci mojej matki. Jestem skłonny w nią uwierzyć.

– Tómas rozmawiał z tobą?

– Tak, wczoraj rano.

– Karlowi pewnie to ujdzie płazem, mimo wszystko.

– To bez znaczenia – powiedział Pálmi. – Śmierć matki była czymś strasznym. To stało się tak szybko, że nie zdążyłem się z nią pożegnać. Jeśli to zrobił Karl, wiele spraw się wyjaśniło. Jasne się stało, dlaczego kobieta, która oglądała każdy grosz, umarła w nędzy i jak Karlowi udało się kupić dżipa.

– Tómas skontaktował się z człowiekiem, który mu go sprzedał, wczoraj z nim rozmawiał. Tamten dobrze zapamiętał chłopaka, który przyszedł z gotówką i zapłacił na miejscu – powiedział Ari Thór.

Pálmi pokiwał głową.

– Jeśli to coś da, możecie ją ekshumować, może dzięki temu uda się go zamknąć – powiedział ponurym głosem.

– Zobaczymy – rzekł poważnym tonem Ari Thór. – Wpadnę dzisiaj wieczorem.

Premiera w Towarzystwie Dramatycznym zawsze była wielkim wydarzeniem i bilety błyskawicznie zostały sprzedane. Wszyscy chcieli zobaczyć sztukę Pálmięgo, zobaczyć ostatnie przedstawienie, z którym coś wiązało Hrólfa, to, które prawdopodobnie kosztowało go życie.

W piątkowy wieczór droga do Siglufjördur została wreszcie przebita i Ari Thór czuł się, jakby zdjęto mu ciężar z ramion, chociaż nadal pozostały nużąco długie noce i dokuczliwa klaustrofobia. Nadal trudno było mu zasnąć, myśl goniła myśl, ale z podnieceniem czekał na kolejny dzień. Bardzo chciał zobaczyć Uglę podczas premiery. Zrezygnował z prawdziwego wypoczynku, szedł do salonu i wziął książkę, którą mu pożyczyła, arcydzieło, *Na północ od wzgórz*. Postanowił zacząć książkę Hrólfa na znak szacunku.

To było tak, jakby książka wprowadziła go w magiczny świat swoją znakomitą prozą. Gorzko-słodkie *Wiersze dla Lindy* były czymś więcej niż poematami miłosnymi. Ogarnęły go emocje. Nie mógł odłożyć książki, póki jej nie przeczytał. Spał spokojnie po raz pierwszy od miesięcy.

Siglufjördur: sobota 24 stycznia 2009

Stary teatr na Adalgata kipiał życiem. Znowu zaczął padać śnieg, ale tym razem miękkie płatki łagodnie opadały na ziemię.

Wielu gości włożyło najlepsze ubrania na tę okazję. W powietrzu wyczuwało się oczekiwanie i wyraźne podniecenie.

Gwiazdorska rola Ugli była triumfem, Ari Thór nie potrafił oderwać od niej oczu przez całe przedstawienie. Leifur też był zaskakująco dobry, jeśli wziąć pod uwagę, że był dublerem i zapewne miał ograniczony czas na próby. Sama sztuka zaskoczyła wszystkich; była znacznie lepsza, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Gorzko-słodką opowieść o miłości, w oczywisty sposób osadzona z dala od Siglufjördur, o kochankach którzy nie potrafili ujawnić swojego uczucia. Pálmi istotnie miał talent.

Trzy razy wywoływano aktorów po zapadnięciu kurtyny, na koniec była owacja na stojąco. Uglą, podczas burzy oklasków, wpatrywała się w widownię. Utkwiła wzrok w jednym widzu: Arim Thórze.

Na przyjęciu po przedstawieniu było pełno ludzi. Krzesła odsunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce, uczniowie starszych klas roznosili kanapki. Wszyscy zrobili, co mogli, żeby ten wieczór zakończył się sukcesem. Tego wieczoru znaczyło to więcej niż kiedykolwiek.

Ari Thór i Tómas rozmawiali na scenie z Pálmi, Rosą i Madsem. Obok stała Nína, nadal o kulach. Najwyraźniej czekała na okazję, żeby włączyć się do rozmowy.

– Rano wyjeżdżamy do Reykjavíku – powiedziała po angielsku starsza pani Rosa. – Wreszcie możemy wrócić do domu. Ale to była niezapomniana wizyta. Wspaniale, że mogliśmy obejrzeć sztukę Pálmi na scenie.

– Nie zawsze łatwo było ją zrozumieć – powiedział ze śmiechem Mads. – Przed kolejną wizytą powinniśmy trochę poduczyć się islandzkiego.

Przyłączyła się do nich Uglą, Ari Thór wstydliwie się do niej uśmiechnął. Stracił dla niej głowę. Nie potrafił znieść tego, że oszukuje Kristín, chociaż nie bardziej niż do tej pory. Chyba będzie musiał się zdecydować. Jeśli da szansę Ugli, czeka go bardzo nieprzyjemny telefon do Kristín.

Uglą przedstawiła się duńskim gościom. Kontynuowali rozmowę po angielsku.

Mads wziął ją za rękę.

– Cześć, mam na imię Mads. Przyjechaliśmy z Danii, zatrzymaliśmy się u Pálmi.

Starsza pani wyciągnęła rękę.

– Jestem Rosalinda, ale mów mi Rosa. Wszyscy tak mówią... – zerknęła na Pálmi. – Poza twoim zmarłym ojcem, Pálmi. On zawsze mówił mi Linda.

Siglufjördur: sobota 24 stycznia 2009

Ari Thór aż podskoczył, kiedy wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miejscach. Włamanie, zdjęcie, parasol, dziecko, które, jak głosiła plotka, miał Hrólfur. Zrozumiał, skąd wziął się talent Palmiego; bez wątpienia napisał świetną sztukę.

Nagle wszystko stało się jasne: testament Hrólfura i powód, dla którego przeszedł w stan spoczynku po napisaniu tylko jednej dobrej książki.

– Mówił do ciebie Linda? – Ari Thór zapytał wreszcie Rosę.

Starsza pani kiwnęła głową.

– Może napisał dla ciebie wiersz? – zasugerował Ari Thór.

Rosa wyglądała na zmieszaną.

– Nie, nie. Nie napisał. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Ari Thór popatrzył na Palmiego, który w jednej chwili jakby postarzał się o dziesięć lat.

– Pálmi... – Ari Thór przeszedł na islandzki. – Kto napisał książkę *Na północ od wzgórz*? Wiesz kto?

Było oczywiste, że Pálmi niczemu nie zaprzeczy. Brakowało mu tej energii, którą wykazał się Karl, tej siły woli. Przeciwnie, jakby mu ulżyło, że ktoś wreszcie odkrył prawdę.

Westchnął i powiedział coś cicho po islandzku. Rosa i Mads patrzyli zmieszani, nie rozumieli ani słowa.

– Cóż, napisał ją mój ojciec.

Tómas i Ugla gapili się na Palmiego, jakby nie byli w stanie uwierzyć w to, co słyszą.

– Nie Hrólfur? – zapytał Ari Thór.

– Nie... – Cała energia jakby wypłynęła z Palmiego. – Hrólfur, ten drań Hrólfur! – podniósł głos, potem znów go ściszył. – Ukradł książkę mojego ojca. Ojciec był w Danii, a Hrólfur siedział przy jego łożu śmierci. To było oczywiste, że napisał tę książkę dla Rosy... Lindy, jak ją nazywał, *Wiersze dla Lindy*. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego Hrólfur nie napisał żadnej innej książki, skoro był podobno tak utalentowany.

– Kiedy na to wpadłeś?

– Na dzień przed... przed śmiercią Hrólfura. Rozmawiałem z Rosą o latach spędzonych w Danii. Powiedziała mi, że mój ojciec zawsze mówił do niej Linda. Opowiedziała mi trochę o ich romansie i było w tym tyle podobieństw do tego, co jest w książce Hrólfura. Powiązałem to, co mi opowiedziała, z książką, ale jeszcze nie dodałem dwóch do dwóch. Wiedziałem, że Hrólfur był z moim ojcem tuż przed jego śmiercią, przychodził do niego do szpitala. Nabrałem podejrzeń, zapytałem sam siebie, czy to możliwe, żeby książkę napisał mój ojciec.

Przerwał i głęboko odetchnął, zanim zaczął mówić dalej.

– Chciałem jak najszybciej porozmawiać z Hrólfurem, a pierwsza okazja nadarzyła się tamtego wieczoru... wyszedłem do domu na kolację, tak jak wszyscy...

– Biorąc parasol – dodał Ari Thór.

– Tak, właśnie. I w tym zamieszaniu zapomniałem go zabrać, kiedy wróciłem...

– Nína próbowała oszczędzić ci problemów – przerwał mu Ari Thór. – Zabrała parasol do domu, jakby to była jej własność, mimo że do teatru dotarła, zanim zaczęło padać. Pewnie pomyślała, że parasol skupi naszą uwagę na tobie. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że jest twój, to by nam odpowiedziało, że już wróciłeś z kolacji. Potem, tamtej nocy, włamała się do mojego domu, żeby ukraść aparat fotograficzny.

– Co? Po jaką cholere? – zapytał zdumiony Pálmi. Nína stała obok, wpatrzona w Pálmię. Ari Thór widział w jej oczach uwielbienie, nawet miłość.

– Tamtego wieczoru zrobiłem kilka zdjęć na widowni i w foyer. Na jednym z nich jest twój parasol wiszący na haku – powiedział. – Nína złamała nogę na lodzie tuż przed moimi drzwiami, kiedy biegła do ciebie po włamaniu. Słyszałem, jak myszkuje i o mało nie przyłapałem jej na gorącym uczynku. Usłyszałem, jak ktoś krzyknął z bólu, ale zaraz potem zemdlałem, bo przewróciłem się w ciemnościach. Szpital potwierdził, że jeszcze tamtej nocy przysłała do nich z pękniętą kością nogi... Pokazałem Ugli zdjęcia z miejsca zdarzenia. Powiedziała mi, że to twój cętkowany parasol, bardzo charakterystyczny. I jeszcze to, że jesteś jednym z nielicznych mieszkańców Siglufjördur, który nosi parasol. – Ari Thór popatrzył najpierw na Uglę, potem na Nínę. – Zgadza się, prawda?

Tómas wściekle łypał, ale nic nie mówił. Ari Thór wiedział, że pod jego adresem powinno paść kilka mocnych słów za to, że pokazał Ugli zdjęcia ze śledztwa, w którym była jedną z podejrzanych.

Nína podeszła bliżej, zawahała się i spojrzała na Pálmię.

– Tak było. Ale ja to zrobiłam... dla niego – stwierdziła stanowczo.

– Zabrałaś parasol? – zapytał Pálmi, najwyraźniej zbity z tropu i mocno rozzłoszczony. – Zastanawiałem się, gdzie się podział.

– Chciałam ci go oddać dziś wieczorem i powiedzieć... powiedzieć, że znam całą sprawę. Pálmi, mój ukochany, to miała być nasza tajemnica – powiedziała Nína.

– Nasza...? – Pálmi był zdumiony.

Ari Thór kolejne pytanie skierował do Pálmię.

– Więc poszedłeś do domu na kolację i wróciłeś?

– Tak. Zapomniałem scenariusza. Úlfur i Hrólfur nanieśli kilka poprawek i już wcześniej poprosili mnie, żebym zabrał tekst do domu na czas przerwy i wydrukował ostateczną wersję. Byłem w połowie drogi do domu, kiedy sobie o tym przypomniałem. Kiedy wróciłem, Hrólfur był sam na galerii, a Níny nie było w kasie.

– Byłam na dole, w piwnicy – powiedziała Nína, przerywając mu. – Słyszałam sprzeczkę na górze. Kiedy weszłam, ciebie już nie było. Nie zauważyłam twojego parasola, póki nie przyjechała policja – powiedziała, najwyraźniej zadowolona, że Pálmi zrozumie, jak dla niego ryzykowała.

– Przedstawiłeś Hrólfurowi swoje podejrzenia? – zapytał Ari Thór Pálmię.

– Tak. Zapytałem go wprost, czy ukraść książkę mojego ojca. Trochę za dużo wypił i tylko się roześmiał. Powiedział, że nie można tego nazwać kradzieżą, że uratował tę książkę, dał jej życie. Powiedział, że mój ojciec nie byłby w stanie jej sprzedać, czy w ogóle coś z nią zrobić. Z jakichś absurdalnych powodów myślał chyba, że ma do niej prawo, bo to on wprowadził ją do obiegu. Możesz sobie wyobrazić, że nie przyjąłem jego rozumowania bez protestu. Nazwałem go kłamcą i cholernym złodziejem. W końcu zapytałem, czy w książce jest coś, co sam napisał. „Nie, twój ojciec wykonał wspaniałą robotę”, powiedział z tą okropną, zarozumiałą miną. „Nie musiałem niczego zmieniać”. Powiedział, żebym się uspokoił, przypomniał, że dał mi szansę w Towarzystwie Dramatycznym, żebym naprawił zło. „Przysługa za przysługę”, powiedział. Mój ojciec uczynił go pisarzem, więc on zrobił ze mnie dramaturga.

Pálmi zamilkł, ale ręce trzęsły mu się ze złości.

Rosa i Mads, oszołomieni, słuchali swojego gospodarza. Widać było, że stracił panowanie nad sobą.

– Zapytałem, czy ojciec chciał, żeby ta książka została opublikowana, a Hrólfur przyznał, że tak – mówił dalej Pálmi. – Stary drań. Mój ojciec chciał, żeby książkę wydano i prosił, żeby ona... – wskazał

Rosę, która niczego nie rozumiała – ...żeby ona dostała egzemplarz. Hróful zdradził wszystko, zdradził umierającego. Przyznał nawet, że zrobił wszystko, żeby duńskiemu wydawcy nie sprzedano praw do tłumaczenia. W ten sposób Linda... Rosalinda, nie przeczytałaby książki i nie uświadomiła sobie, jakie są jej prawdziwe korzenie.

Pálmi przerwał.

– Jestem szczęśliwy, że teraz wyszło to na jaw. Mogę powiedzieć prawdę, a ona będzie miała możliwość przeczytania książki, którą mój ojciec dla niej napisał.

Uśmiechnął się do Rosalindy. Starsza pani wyglądała na zdumioną, że stała się tematem rozmowy.

– Więc dlatego uznał za właściwe, żebyś odziedziczył prawa. Był to w końcu jakiś sposób, żeby chociaż trochę to naprawić – powiedział Ai Thór.

– Cholerny stary drań. Jakby to miało cokolwiek zmienić. Całe życie przeżył, korzystając z cudzej pracy. Mój ojciec umarł w zapomnieniu, a Hrófulur żył jak król siedemdziesiąt lat. Ale... ja nie chciałem go zabić.

– Popchnąłeś go? – Pytanie było niepotrzebne.

– Potrąciłem go, w gorączce chwili i uciekłem, kiedy zobaczyłem, że nie żyje. To wtedy zapomniałem parasola. Z przyzwyczajenia powiesiłem go w szatni, kiedy przyszedłem zabrać scenariusz – powiedział Pálmi i zaszlochał. – Nie chciałem go zabić. Od tamtego czasu prawie nie śpiam w nocy. Dzięki Bogu już po wszystkim.

– Pálmi, chyba najlepiej będzie, jak pójdiesz na komisariat – powiedział łagodnie Tómas. – Musimy spisać zeznanie.

– Hm, tak, oczywiście – odparł Pálmi, najwyraźniej skonsternowany.

– Jeszcze jedno – rzekł Ari Thór. – To dziecko, którego ojcem miał być podobno Hrófulur... Czy to kłamstwo?

– Tak – odparł Pálmi speszony. – Bardzo przepraszam. Byłem taki wstrząśnięty, kiedy dowiedziałem się, że prowadzicie śledztwo w sprawie morderstwa. Chciałem was odciągnąć. Głęboko tego żałuję.

Ari Thór nie miał wątpliwości, że Pálmi mówi szczerze.

– A ja wszedłem prosto w pułapkę.

– Miałem na myśli Nínę, kiedy opowiedziałem ci tę historyjkę – powiedział Pálmi, jakby zapomniał, że ona stoi tu obok. – Nie wiadomo, kto był jej ojcem.

Nína aż drgnęła z zaskoczenia, jakby cały świat walił się wokół niej.

– Czy ty... czy ty próbowałeś zwalić winę na mnie? – zapytała z niedowierzaniem.

Pálmi popatrzył na nią z miną winowajcy. Oczy Níny były bez wyrazu, jakby myślą przeniosła się gdzie indziej.

– Pálmi, musimy iść – ponaglił Tómas.

Goście na bankiecie patrzyli ze zdumieniem, jak sierżant policji wyprowadza Pálmiego z teatru.

Úlfur usłyszał tyle, ile trzeba z rozmowy Pálmiego z policjantami, żeby wyciągnąć własne wnioski. Od jakiegoś czasu podejrzewał, że coś jest nie tak. Zdał sobie sprawę, kiedy zostawił Hrófulura i poszedł do domu na kolację, że Pálmi nie zabrał scenariusza. Potem stwierdził, że Pálmi znalazł jednak czas, żeby scenariusz poprawić.

Postanowił nie pytać o to Pálmiego, a jeszcze mniej miał ochotę wspominać o tym policji.

Czuł ogromną sympatię do tego człowieka.

Pálmi obejrzał się za siebie, ze ściągniętymi brwiami, jakby miała go pochłonąć mgła nad Siglufjördur i przytłaczające zamiecie.

Bał się, ogarniał go strach przed więzieniem. Ale nie o tym myślał przede wszystkim.

Najbardziej pragnął wybaczenia ze strony tej małej społeczności na skraju północnego oceanu; bardziej niż czegokolwiek chciał móc spojrzeć w oczy ludziom, których znał tyle lat.

Ari Thór był z siebie zadowolony, nawet dumny.

Potem spojrzął w ponurą twarz Pálmiiego, który po raz ostatni patrzył na widownię.

To było wyjątkowo niesprawiedliwe: Pálmi w rękach policji, a Karl na wolności.

Kiedyś Ari Thór uważał, że świat jest sprawiedliwy.

Cholerna głupota. Doskonale wiedział z własnego gorzkiego doświadczenia – osierocony w dzieciństwie – że sprawiedliwość to tylko ułuda.

Siglufjördur: sobota 24 stycznia 2009

Karl wyjeżdżał z miasta. Złapał okazję do Akureyri. Miał pracować ze starym znajomym, który postanowił zostać tam na jakiś czas, zanim zdecyduje, co robić dalej.

Niezbyt poważnie podszedł do prośby Tómasa, żeby nie wyjeżdżać z miasta. Miał nadzieję, że ujdzie mu na sucho i oskarżenia nie będzie – w tych sprawach zawsze miał szczęście.

Większość rzeczy Lindy zostawił w mieszkaniu, zabrał tylko przedmioty wartościowe. Nie chciał obciążać się zbyt dużym bagażem – ani fizycznie, ani w przenośni. Cholerna strata te dziesięć milionów z ubezpieczenia. Przydałyby się.

Nigdy nie zrozumiał, dlaczego Linda trzymała się go, chociaż tak źle ją traktował. Zbił ją więcej niż raz, hm, nawet parę razy. Oczywiście, na początku był czarujący, omamił ją. Nigdy jej nie powiedział o swoich niecnych uczynkach z przeszłości. Miał wrażenie, że starała się go ratować. Była za dobra, żeby na tym dobrze wyjść. Chyba już nigdy jej nie zobaczy, lekarze powiedzieli, że z tego nie wyjdzie, a on nie miał zamiaru wybierać się do Reykjavíku z ostatnią wizytą.

Informacje prasowe na jego temat były niezbyt pozytywne i pewnie będzie musiał wyjechać z kraju, raczej prędzej niż później. To jasne, że w oczach opinii publicznej był winny.

Samochód jechał przez tunel. Karl nie odwrócił się. Nigdy już nie zobaczy lodowatego miasteczka, jeśli mu się uda.

Leifur był z siebie zadowolony po przedstawieniu. Publiczność chyba go polubiła. Ku swemu zaskoczeniu spodobało mu się, że stał się sławny. Może przy następnej sztuce też postara się występować na scenie, a nie poza nią. Wyszedł ze swojej strefy bezpieczeństwa i poczuł się z tym dobrze. Podczas bankietu podszedł nawet do Anny i poprosił, żeby z nim wyszła. Delikatnie odmówiła. Ale przynajmniej spróbował. A jutro pójdzie do komisariatu i zwróci się z formalnym wnioskiem do Tómasa i jego kolegów, żeby zajęli się wypadkiem drogowym, w którym zginął jego brat. Oczywiście, w głębi duszy czuł, że nic z tego nie będzie. Minęło zbyt wiele lat. Ale uważał, że potrzebne mu jest jakieś zakończenie tej sprawy. Potem będzie mógł spróbować, naprawdę spróbować zrobić coś ze swoim życiem.

Odkąd rozeszły się informacje o domniemanych przestępstwach Karla, Anna zrozumiała, że los jej sprzyjał. Od tamtego czasu nie odezwała się do niego i nie miała zamiaru więcej się z nim spotykać. Miała nadzieję, że już wyjechał z miasta. Na szczęście ich związek nie przedostał się do powszechnej wiadomości. I na szczęście pozostanie tajemnicą, chociaż w takich małych miasteczkach tajemnice mają kłopotliwy zwyczaj wychodzenia na wierzch. Na razie postanowiła skupić się na otrzymaniu pracy w szkole i ta perspektywa ją ekscytowała. Ku jej zaskoczeniu, ten nieśmiały facet, Leifur, podszedł do niej po przedstawieniu – na swój bardzo skromny sposób, oczywiście. To miło z jego strony, pomyślała, ale na razie postanowiła trzymać się z dala od wszelkich związków, legalnych czy nie, a Leifurowi naprawdę brakowało mrocznych i niebezpiecznych cech, które tak przyciągały ją do Karla...

Reykjavik: sobota 24 stycznia 2009

Kristín próbowała dodzwonić się do Ariego Thóra od dwóch dni, ale jego telefon ciągle był niedostępny.

Była zaniepokojona jego decyzją nagłego wyjazdu, odejścia od niej, przeprowadzki na północ prawie bez ostrzeżenia i bez rozmowy z nią, z kobietą, z którą zgodził się spędzić życie. Myślała, że znalazła mężczyznę, którego może pokochać, może nawet takiego, z którym spędzi resztę życia. A on potem zniknął, przeprowadził się do Siglufjördur. Za długo była sama w jego mieszkaniu, gdzie towarzyszyły jej tylko książki.

Kristín nie mogła się zmusić do tego, żeby pojechać z nim na tamten pierwszy weekend. Łzawe pożegnania i długa droga powrotna na południe to byłoby za wiele.

Jak mógł odjechać, nawet się nie obejrzyć i zostawić ją samą?

Te myśli wracały za dnia i w nocy, jak w jakiejś obłąkanej pętli. Z całych sił próbowała skupiać się na podręcznikach. Pierwszy raz pozwoliła sobie na roztargnienie, pierwszy raz było to w ogóle możliwe. Czyli to musiała być miłość. Po raz pierwszy.

Całe tygodnie minęły, zanim zrozumiała swoje uczucia, zanim znów odnalazła kierunek. Coraz boleśnieszce były rozmowy z nim przez telefon – ponure przypomnienie, że on jest tak daleko. Przypominały jej ciepło jego głosu, przypominały, że nie może wyciągnąć ręki i dotknąć go, pocałować, poczuć wokół siebie siły jego ramion.

Niedługo po tym, jak Ari Thór wyjechał do Siglufjördur, ojciec Kristín dostał wymówienie w pracy, a wkrótce zredukowano także jej matkę. Cała stabilizacja ulotniła się. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła teraz zadzwonić do Ariego Thóra i wypłakać się przez telefon. Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek.

Potem przyszło Boże Narodzenie i znów ją zawiódł. Przecież obiecał, że na święta przyjedzie do Reykjavíku. Czekala na to z dziecięcą nadzieją i radością, aż do dnia, kiedy zadzwonił i powiedział, że ma dyżur.

Odebrało jej mowę z rozczarowania, kiedy odłożyła słuchawkę po suchym „do widzenia”. Zaczęła szlochać. Nie robiła tego od dzieciństwa. Tęsknota za nim sprawiała, że czuła niemal fizyczny ból. Przeklinała swoją dumę, swoją nieumiejętność wyrażania uczuć, naprawiania sytuacji. Nie mówiła mu otwarcie o swojej miłości, o prawdziwej potrzebie bliskości.

Gorzko żałowała, że nie zadzwoniła do niego w Wigilię, ale była tak rozgniewana, przepełniona wściekłością i poczuciem straty, że ledwie nad sobą panowała.

Powoli odzyskiwała równowagę; wreszcie przyszedł czas, żeby uporządkować sprawy. Myślała, że poczynili postępy, nawet jeśli telefony były nieczęste. Oboje potrzebowali czasu. Ari Thór powinien już wiedzieć, że ona nie z takich, co pokazują po sobie uczucia i że czasem naprawdę jest zbyt zajęta, żeby rozmawiać. Ale teraz robiła wszystko, żeby uratować ich związek, ich przyszłość. Złożyła podanie o zatrudnieniu na lato w szpitalu w Akureyri, na tyle blisko, że można stamtąd dojeżdżać do Siglufjördur. Dano jej pracę, a także możliwość odbycia ostatniego roku praktyk medycznych w miejscowym szpitalu.

Miała szybko odpowiedzieć. W sobotę próbowała dodzwonić się na komórkę Ariego Thóra, ale była wyłączona. Więc zdecydowała się, przyjęła propozycję i odrzuciła podobną ofertę ze Szpitala Państwowego w Reykjavíku. To miejsce natychmiast zostało zajęte przez kogoś innego, więc nie miała powrotu.

Był późny sobotni wieczór, kiedy zadzwonił jej telefon. Numer komórki był nieznany. Odebrała; po drugiej stronie był Ari Thór.

Przynajmniej mogła przekazać mu dobrą informację.

Epilog

Wiosna

Tómas patrzył na mgiełkę unoszącą się nad fiordem. Był wczesny ranek, miasteczko jeszcze spało. Dni wydłużały się, przypominając ludziom, że wiosna za pasem. Jak na miejsce tak zimne i mroczne zimą Siglufjörður latem zazwyczaj było znacznie cieplejsze od Reykjavíku i południowego zachodu.

Karl wyjechał na dobre. Mimo wysiłków Tómasa nie udało się wysunąć wobec niego zarzutów prokuratorskich. Tómas spodziewał się, że Karl nadal będzie krzywdził ludzi, ale udało mu się przynajmniej uczynić Siglufjörður, swoje miasteczko, bezpieczniejszym miejscem. Linda umarła, nie odzyskawszy przytomności, więc wszelkie nadzieje na oskarżenie Karla o przemoc domową rozwiały się.

Karl nie zajmował się już skargą na Ariego Thóra, więc chłopak miał szczęście. Tómas lubił go, Ari Thór był inteligentny i chociaż miał skłonności do działań pod wpływem impulsu, zawsze miał dobre intencje, a to ważne. Niewiele mówił o swoim życiu prywatnym, ale Tómas nie mógł nie wiedzieć, że zerwał z dziewczyną w Reykjavíku. Potem Ari Thór wyglądał na samotnego i nieszczęśliwego, ale Tómas miał nadzieję, że jaśniejsze, wiosenne dni podniosą chłopaka na duchu.

Tómas był teraz pewien, że to Hlynur, a nie Ari Thór robił przecieki do prasy. Hlynur właściwie coraz mniej skupiał się na swojej pracy. Coś dręczyło tego młodego człowieka, ale Tómas nie wiedział co. Nie miał całkowitej pewności, więc nie mógł oskarżyć Hlynura o przecieki. Poza tym właściwie był zadowolony, że informacje na temat Karla dostały się do mediów, a wiadomość o związku Anny z Karlem nie. Jeśli stał za tym Hlynur, to przynajmniej zachował resztki przyzwoitości.

Tómas stał bez ruchu, patrząc na fiord i stopniowo ożywiające się góry, których stoki oświetlało coraz wyżej wznoszące się słońce, odbijające się w roziskrzonej wodzie. Zapowiadał się piękny dzień. Żona Tómasa postanowiła przeprowadzić się do Reykjavíku na studia. Nie wyjeżdżał z nią, przynajmniej nie teraz. Nie był jeszcze gotów, by opuścić Siglufjörður.

Podziękowania

Chciałbym podziękować mieszkańcom Siglufjördur za to, że pozwolili mi wykorzystać swoje cudowne miasto jako tło akcji tej książki. Szczególnie dziękuję moim zmarłym dziadkom, Þ. Ragnarowi Jónassonowi i Guðrún Reykdal, którzy większość swojego życia spędzili w Siglufjördur. Mam nadzieję, że chętnie przeczytaliby o swoim mieście w takim niezwykłym kontekście. Oczywiście wyjaśniam, że opowieść jest całkowitą fikcją i żadna z postaci przedstawionych w powieści nie odnosi się do rzeczywistej osoby.

Miałem mnóstwo szczęścia, że Karen Sullivan i Quentin Bates przyczynili się do przeniesienia Milczenia lodu do Zjednoczonego Królestwa. Trudno sobie życzyć lepszego, bardziej zapracowanego wydawcy niż Karen. Quentin był niestrudzonym orędownikiem mojej książki w Zjednoczonym Królestwie, a co więcej, trudno sobie wyobrazić tłumacza lepiej nadającego się do tej pracy niż on, znany autor osadzonej w Islandii serii kryminałów z inspektorem Gunhildurem.

Chciałbym także podziękować moim agentom: Monice Gram z Leonhardt & Hoier w Danii i Davidowi Headleyowi z DHH Literary Agency w Zjednoczonym Królestwie, za to, że przedstawili Ariego Thóra angielskojęzycznej publiczności. Dziękuję również mojemu islandzkiemu wydawcy Péturowi Márowi Ólafssonowi i mojemu islandzkiemu redaktorowi, Bjarniemu Þorsteinssonowi, za ich nieocenione wsparcie w powstawaniu serii z Arim Thórem.

Wielu innych, na różne sposoby, odegrało ważne role w procesie przeniesienia Milczenia lodu na teren Zjednoczonego Królestwa. Chciałbym wymienić szczególnie jedną osobę: mojego przyjaciela Boba Cornwella.

Moi rodzice, Jónas Ragnarsson i Katrín Guðjónsdóttir, także zasługują na wielkie podziękowania za to, że od moich młodych lat zachęcali mnie do pisania, i za recenzowanie wszystkich książek i opowiadań, jakie w życiu napisałem i przetłumaczyłem.

Na koniec, choć nie mniej ważne, przekazuję podziękowania dla mojej wspaniałej rodziny za ich nieskończone poparcie i zrozumienie. Dla mojej żony Maríi i moich córek, Kiry i Natalíi.

Table of Contents

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)